

PODGLĄD

Kwartalnik literacki Oddziału Warszawskiego
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

ISSN 2392-2753

Nr 3 (38)

tom XI 2025

J. Andrzejczak

Li Bai

J. Binkowski

T. Bochwic

T. Bołdak-Janowska

K. Boruń-Jagodzińska

Jin Changxu

K. Choiński

C.M. Dąbrowski

L. Eősze

A. Frajlich

Du Fu

J. Jagiełło

Z. Kodály

A. Książek

A.W. Kulik

G. Kurylewicz

A. Lis

G. Łatuszyński

P. Müldner-Nieckowski

A. J. Nowacki

W. Oramus

A. Patey-Grabowska

M.J. Piasecka

J.K. Piasecki

M.K. Piekarska

J.M. Roca

K. Rodowska

K.S. Schreyer

J. Seipp

K. Sutarski

J. Śleszyński

W. Ślewiński

J. Taranienko

M. Traczyk

G. Walczak

M. Wierzbicki

O. Wójcik

Yu Wuling

P. Zapendowski

Z. Zarębianka

Z. Zbikowski

S.J. Żurek



Tadeusz Konwicki

RÓŻE

Na imieniny Rafała Wojaczka

Ktoś,
Kto kocha
Nie jest tym, co
Umrze.

Więc choć skądinąd wie, że śmierć poufnie
Dowiadywała się nawet u księży
I przodowników policji,
Wierzy.

Ktoś,
Kto wierzy
Nie jest tym, co
Zebrze.

Więc choć go bolą wszystkie rany cięte
Siekierą światła aż do kości rdzenia,
Swoje powietrze lykając
Czeka.

Ktoś,
Kto czeka
Nie jest tym, co
Kupi.

Więc choć odmienia imię swej zasługi
Przez pory roku i księżycy kwadry,
Gorzka sól klęski siada na
Wargi.

Rafał Wojacek

Wiersz *Róże* pisany dla siebie samego.

Skan z tomu *Utwory zebrane*, Ossolineum, Wrocław 1976



**Stowarzyszenie
Pisarzy Polskich
Oddział Warszawa**

<http://sppwarszawa.pl>

**POD
GLĄD**

Kwartalnik literacki

ISSN 2392-2753

Rok VII Nr 3 (38) 2025

Adres Redakcji

<http://podglad.com.pl>

e-mail: redakcja@podglad.com.pl

00-079 Warszawa

ul. Krakowskie Przedmieście 87/89

tel. +48 22 826 31 78, +48 22 826 05 89

Konto: 06 1020 1156 0000 7602 0058 1520

Redaktor naczelny

Małgorzata Karolina Piekarska

Zastępcy redaktora naczelnego

Zbigniew Zbikowski

Piotr Müldner-Nieckowski

Sekretarz redakcji

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Kolegium i korekta

Krzysztof Bielecki

Sylvia Gibaszek

Piotr Müldner-Nieckowski

Małgorzata Strękowska-Zaremba

Zbigniew Zbikowski

Typografia i skład komputerowy

Piotr Müldner-Nieckowski

Wydawca

Zarząd Oddziału Warszawskiego

Stowarzyszenia Pisarzy Polskich

Druk

Mazowieckie Centrum Poligrafii

05-270 Marki, Ciurlionisa 4

<http://www.mcpcdruk.pl/>

WSTĘP

Małgorzata Karolina Piekarska

Jesienią, czyli.....3

Z ŻYCIA OW SPP

Zarząd OW SPP4

Małgorzata Karolina Piekarska

Krzysztof Choiński (1940-2025)5

KRYTYKA-ESEJ-FELIETON

Agnieszka Lis

Felieton/Między nami. Inteligencja. .7

Adam Łukaszewicz

Archeolog i duchy9

Magda Traczyk

Świetnie skrojony poemat

A.W. Kulika.....14

Grzegorz Walczak

Współczesne feminatywy..... 26

Olga Wójcik

Rozważania na temat obraz

W. Ślewińskiego 34

Zofia Zarębianka

„Siała mama siałatę” (o tomie

A.M. Wierzbickiego).... 42

DLA MŁODYCH

Janusz Andrzejczak

Śń o płocie, o zajączkach. 46

Joanna Jagiełło

Olaf i Stella 49

Alicja Patey-Grabowska

Konkurs.....52

POEZJA

Janusz Andrzejczak

Wiersze55

Jerzy Binkowski

Wiersze 59

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Wiersze z tomu Fala i piach.....61

Cezary Maciej Dąbrowski

Los Agawy nie jest przesądzony ... 64

Andrzej Książek

Aforyzmy..... 66

Wiersze 67

Adam Wiesław Kulik

Wiersze 69

Gabriela Kurylewicz	
Wiersze	74
Piotr Müldner-Nieckowski	
Wiersze	76
Jarosław Nowacki	
Wiersze	78
Alicja Patey-Grabowska	
Wiersze	80
Maria Jolanta Piasecka	
Haiku	82
Małgorzata Karolina Piekarska	
Chory krytyk na grassoterapii.	85
Krzysztof Saturnin Schreyer	
Wiersze	86
Jerzy Śleszyński	
Wiersze	92
Janusz Taranienko	
Wiersze	96
Paweł Zapendowski	
Wiersze	103
Zofia Zarębianka	
Wiersze	106

PROZA

Teresa Bochwic	
Stacja graniczna	111
Tamara Bołdak-Janowska	
Krótki dialog Tamary i Tola.	122
Adam Wiesław Kulik	
Wytyczne dla tajniaka.	128

Piotr Müldner-Nieckowski	
Te cholerne listy	137
Wiesława Oramus	
Mysie	143
Jan Krzysztof Piasecki	
Powstanie 3. Strach... ..	148
Jerzy Seipp	
Miniatury optymistyczne 2025	152
Olga Wójcik	
Miniatura o smoku, który leżał na nerwie i wgrzyzał się w kość	157

PRZEKŁADY

Krystyna Rodowska	
Juan Manuel Roca.	161
Zbigniew Zbikowski	
Poezja czterech wersów.	163
Du Fu	164
Li Bai	165
Jin Changxu	165
Yu Wuling	165

WYWIADY

Anna Frajlch	
W rozmowie ze Sławomirem J. Żurkiem	167
Konrad Sutarski	
Rozmowa z Łászlem Eöszem o Zoltanie Kodályem.	175

Na okładce: Tadeusz Konwicki
Fot. Piotr Müldner-Nieckowski, 2010



Jesień. Fot. Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Małgorzata Karolina Piekarska

Jesienią, czyli... co czytać w długie wieczory

„Jesienią zawsze zaczyna się szkoła, a w knajpach zaczyna się picie” – śpiewał Muniek Staszczuk w swojej słynnej piosence *Warszawa*. Ale jesień, kiedy ukazuje się ten numer, to także czas, kiedy w Domu Literatury po wakacyjnej przerwie wraca życie literackie. To wtedy wracają Biesiady Literackie i spotkania autorskie. Między innymi z Anną Frajlich, której teksty po raz pierwszy w historii PODGLĄDU prezentujemy w tym numerze, choć przecież autorka od dawna jest naszym członkiem. Poetka, która w 1969 roku opuściła Polskę z biletem w jedną stronę i paszportem stwierdzającym, że nie jest już obywatelem Polski, opowiada, jak po tym wygnaniu przyjechała do Polski i co w niej zastała.

Również w tym numerze „debiutuje” jako nasz autor profesor Adam Łukaszewicz – wybitny archeolog, a jego wspomnienia z wykopaliskowej misji w Aleksandrii przenoszą nas nie tylko na afrykański kontynent, ale przede wszystkim do świata duchów.

Niemniej emocjonujący jest tekst historyka literatury Artura Ziontka, który także po raz pierwszy gości na naszych łamach, opowiadając o dramatycznym wyjeździe.

Jednak PODGLĄD od samego początku był pismem różnorodnym w treści, gatunku literackim czy formie. Stąd eseje, opowiadania, poezja, przekłady, teksty krytyczne oraz dramaty. Wszystko po to, by każdy miłośnik literatury znalazł tu coś dla siebie. Przyda się na długie jesienne wieczory.

Zarząd Oddziału Warszawskiego (OW SPP)

w kadencji 2025-2028

Zbigniew Zbikowski – prezes

Piotr Müldner-Nieckowski – wiceprezes

Małgorzata Karolina Piekarska – wiceprezes

Jolanta Cywińska – sekretarz

Małgorzata Strękowska-Zaremba – skarbnik

Członkowie OW SPP:

Krzysztof Bielecki

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Piotr Dobrołęcki

Sylwia Gibaszek

Zofia Zarębianka

Komisja rewizyjna OW SPP:

Rafał Lasota – przewodniczący

Piotr Kitrasiewicz – wiceprzewodniczący

Maja Baczyńska – sekretarz

Sąd Koleżeński OW SPP:

Anna Bernat – przewodnicząca

Danuta Gałęcka

Barbara Surowska

Małgorzata Karolina Piekarska

Krzysztof Choiński (1940-2025)

Erudyta i społecznik

Te dwa słowa najkrócej charakteryzują Krzysztofa Choińskiego, którego pożegnaliśmy 16 kwietnia 2025 roku. Oba te określenia wymagają jednak doprecyzowania.

Co się kryje za słowem **erudyta** w odniesieniu do Krzysztofa? To godzinne rozmowy na temat historii, sztuki, literatury, teatru, muzyki i innych dziedzin z szeroko pojętej kultury, w skład której wchodziły rozmowy na temat gry w szachy czy stawiania pasjansów. To wtedy okazywało się, że czas leci nieubłaganie, trzeba rozstać się, by każde ruszyło do swoich spraw, a rozmowa jeszcze nie dobiegła końca, bo tyle rzeczy nie zostało powiedzianych.



Krzysztof był obdarzony dobrą pamięcią. Bezbłędnie łączył wątki, przeskakując z tematu na temat, by na końcu okazało się, że pozornie niełączące się ze sobą sprawy jak np. teatr i szachy stanowią jedność. Łączyły nas także rozmowy o Lublinie, w którym się urodził, i Saskiej Kępie, na której się wychował. Ale erudycja to także jego praca naukowa, a przede wszystkim napisany przez niego i realizowany na Uniwersytecie Warszawskim program Historia Literatury Francuskiej oraz Historia i Kultura Francji dla studiów romanistycznych. Krzysztof dokonał tego jeszcze w roku 1980 i prowadził przez przeszło ćwierć wieku.

Gdy zmarł, wysłałam SMS do swoich koleżanek, które kończyły romanistykę, z pytaniem, czy je uczył. W odpowiedzi mój telefon się rozdzwonił. Wszystkie jedna przez drugą opowiadały, że były to najbardziej rozwijające wykłady, prowadzone przez erudytę i człowieka z wielką klasą, na które przychodziło się z przyjemnością, choć zdawany potem egzamin

był najtrudniejszym na całych studiach. Większość studentów oblewała pierwszy termin, bo Krzysztof jako wykładowca był wymagający, trzymał dystans i budził respekt. Ale zarówno wykłady jak i ćwiczenia były bardzo ciekawe. Z pasją omawiało się np. konkretny kościół albo jakieś ważne dla francuskiej kultury miejsce. Wszystkie wspominały też jego ogromną kulturę i to, że nawet po latach rozpoznawał swoich studentów, a studentkom kłaniał się pierwszy, uchylając nakrycia głowy.

A co z Krzysztofem **społecznikiem**? Nie sposób pominąć tu jego działalność na rzecz Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, gdzie w latach 1993–1996 oraz 2011–2014 pełnił funkcję sekretarza Zarządu Głównego SPP, a w kadencjach 2005–2008 i 2008–2011 wiceprezesa. W latach 1993–1996 należał również do zarządu Oddziału Warszawskiego SPP. To on pilnował, by wszelka działalność odbywała się zgodnie ze statutem. Pisał sążniste protokoły zebrań, które stanowią sporą wiedzę o działalności SPP w latach, w których był sekretarzem. Po 2014 roku wycofał się z działalności, ale dopóki zdrowie pozwalało, przychodził często na pogawędki zarówno do śp. Ireny Zielińskiej – sekretarki Zarządu Głównego, o której wspomnienie napisał do naszego kwartalnika, jak i do Grażyny Mirzejewskiej – sekretarki Oddziału Warszawskiego.

Utrzymywał też towarzyskie kontakty z innymi członkami, bo to, co dzieje się w środowisku, zawsze żywo go interesowało. Był wrażliwy na potrzeby drugiego człowieka i to zarówno materialne jak i duchowe. Wielokrotnie w rozmowach podkreślał, że kontakt werbalny między pisarzami jest jedną z najważniejszych rzeczy, a organizowane spotkania okazją do podtrzymywania tego kontaktu.

Przez ostatnie miesiące już nie przychodził do Domu Literatury, bo zdrowie na to nie pozwalało, ale przyjmował gości, prowadził ożywione dysputy właściwie na każdy temat, bo jak przystało na prawdziwego intelektualistę – na każdy temat miał coś ciekawego do powiedzenia. I tego jest nam najbardziej brak.

Tuż po śmierci Krzysztofa podjęliśmy decyzję o wydaniu jednego tomu jego powieści pt. *Polski los*. Prace nad publikacją trwają.

Małgorzata Karolina Piekarska

Agnieszka Lis

Felieton / Między nami

Inteligencja

– Ja to chyba nie jestem inteligentna – powiedziała Helenka.

– Dzisiaj nawet samochody są inteligentne, same parkują – skomentowałam dopiero po chwili. Zalewałam kawę, taką z fusami. Helenka lubiła, jak jej chrzęściło pomiędzy zębami. – Jak myślisz, to przyjemne? – zapytałam.

– Ale co?

– No, że samochód jedzie za ciebie. Albo za mnie. Skoro on jedzie, to ja nie kieruję, czyli nie jestem kierowcą.

– To ty też nie jesteś inteligentna – ucieszyła się Helenka. – Też tego nie rozumiesz.

– Za to mam inteligentną pralkę – zamyśliłam się. – Włącza się o požądanej godzinie. Czasem sama ją wybiera, widocznie lepiej zna godzinę, o której moje pranie wypierze się skuteczniej. W końcu jest inteligenta. I pralka. I komputer.

– Komputer w szczególności – zgodziła się ochotczo Helenka. – Czasem potrafi ukryć plik w miejscu całkowicie mi nieznanym, a nawet – zapewne chroniąc ów dokument przede mną samą – dla mnie niedostępnym. Być może jest to któryś z rodzajów dysków wirtualnych, do których dostęp uzyskam, dopiero gdy osiągnę wyższy poziom inteligencji.

Milczaliśmy chwilę. Helenka zbierając z warg serwetką drobinki kawy, ja herbaty.

– Dzieci mamy inteligentne – powiedziałam po chwili. W końcu jakąś radość trzeba w życiu mieć.

– Jesteś pewna? – ostrożnie zapytała Helenka. – Bo ja mam wrażenie, że to jest taka forma inteligencji, która wygasa wraz z dorastaniem.

– Może i dobrze. Strasznie by się biedactwa w dorosłym świecie mężczyły. A właściwie dlaczego ty tak o tej inteligencji? – zainteresowałam się w końcu.

– Bo jechałam ostatnio samochodem i zatrzymały mnie światła.

Helenka zamilkła, ja wstydziłam się pytać dalej. Doznała objawienia na światłach? A może chodzi o samochód, który sam się zatrzymał? Helenka

jednak zamilkła, bo przyglądała się kotu sąsiadów, który wlaził na drzewo na wprost mojego okna.

– Skąd on wie, gdzie postawić łapę? – zadała głębokie w przesłaniu pytanie.

– Bo jest inteligentny – odpowiedziałam zgodnie z przekonaniem. – Co z tymi światłami?

– Co? – zdziwiła się wyrwana z kontekstu. – A! Zobaczyłam reklamę na bilbordzie.

Miałam ochotę ją zamordować, bo znów zamilkła. Na szczęście tylko na chwilę.

– Przejeżdżam tam trzy razy w tygodniu, a nie zauważyłam wcześniej. Dostrzegłam dopiero gdy ujrzałam gościa w ogrodniczkach, wspinającego się na drabinę. Wlaził na ten bilbord. Wtedy pomyślałam, że skoro będą zmieniać obrazek, to może zerknę, co na nim jest, bo więcej okazji nie będzie. A nuż coś straciłam?

– I co, straciłaś? – Helenka miała zwyczaj zatrzymywania się w swojej wypowiedzi w najciekawszych momentach. Być może dlatego uchodziła za najlepszego mówcę w całym bloku. Potrafiła zainteresować każdego.

– Reklama proponowała mi zakup inteligentnej farby do wnętrza.

Zamarłam z chusteczką w drodze do ust.

– Samochody przede mną ruszyły i nie zdążyłam więcej dostrzec – kontynuowała Helenka. – Do dziś zastanawiam się, jak obliczyli jej IQ. Tej farbie.

– Może sama się pomaluje? – zasugerowałam nieśmiało. – Nie że zrobi makijaż, tylko na ścianach sama się położy.

– To mało inteligentne – skrzywiła się Helenka. – Malowanie to fizyczna praca. Może dobrać kolor do kuchennych mebli?

– A może sama się umyje z plam po tłuszczu – zastanawialiśmy się głośno.

– Na tym skrzyżowaniu poczułam się strasznie mało inteligentna, bo nie miałam pojęcia, czym owa farba powinna mnie zaskoczyć! – skwitowała Helenka żałośnie.

Rozumiałam ją doskonale. To okropne uczucie, taka nieinteligentność. Znać? Na pewno nie.

Obawiam się, że tylko Helenka i ja znamy je doskonale.

Wszyscy przecież rozumieją, co robi inteligentna farba. Bo są inteligentni.

Agnieszka Lis

Adam Łukaszewicz

Archeolog i duchy

Wojciechowi Kołtąjowi

Trzydzieści osiem lat temu, w październiku 1987 roku, przyjechałem do Aleksandrii, nie pierwszy zresztą raz. Dosłownie przyjechałem, bo najpierw przyleciałem z Warszawy na lotnisko w Kairze, i dopiero stamtąd dotarłem pociągiem. Nie przybyłem jako turysta, ale jako członek polskiej misji archeologicznej, działającej pod egidą Uniwersytetu Warszawskiego w śródmieściu tego ogromnego egipskiego miasta.

Aleksandria leży nad Morzem Śródziemnym. Jest miastem portowym, nawet miastem trzech portów. W starożytności oba porty morskie odgrywały ogromną rolę jako przystań niezliczonych statków handlowych i okrętów wojennych. Trzeci port nad jeziorem Mareotis też miał niemałe znaczenie handlowe i komunikacyjne. Nad morzem leżały pałace królewskie dynastii Ptolemeuszów, tonące w zieleni ogrodów. U wrót Portu Wschodniego, czyli Wielkiego wznosiła się gigantyczna wieża, słynna latarnia morska na wyspie Faros, połączonej z lądem sztuczną groblą zwaną Heptastadion, gdyż liczyła ona siedem stadiów (ok. 1, 2 kilometra) długości. Dziś wyspa Faros stała się półwyspem, nie ma tam już ani grobli, ani latarni. Na miejscu jednego z siedmiu cudów świata wznosi się fort zbudowany w XV wieku przez sułtana Kait Beja. Pod wieczór liczni spacerowicze przychodzą w tę okolicę, by oglądać zachód słońca nad morzem.

Aleksandria już w starożytności liczyła prawie milion mieszkańców. Była jednym z największych miast na świecie, a na pewno najważniejszym obok Rzymu miastem nad Morzem Śródziemnym.

Z dawnej świetności niewiele zostało. Obecnie kilkumilionowe miasto współczesne szczelnie pokrywa ruiny dawnej stolicy Egiptu. Jeszcze w połowie XIX wieku można było na tym polu ruin robić obserwacje i pomiary, ale w naszych czasach, gdy dzisiejsze miasto zakryło już resztki dawnego, tylko przypadek lub roboty budowlane umożliwiają nowe odkrycia. Na tym tle wzgórze Kom el-Dikka stanowi prawdziwy skarb dla archeologów. Na jego szczycie wznosił się do niedawna fort z czasów napoleońskich a samo niewysokie, ale dość rozległe wzgórze, powstałe przez nagromadzenie

w ciągu wieków kolejnych warstw ziemi, kryło w sobie pozostałości starożytnej zabudowy centrum miasta.

Artur Międzyrzeczki w rozmowie ze mną zdumiewał się kiedyś, że tego wzgórza i twierdzy już nie ma. Znał je z czasów II wojny światowej jako dominujący akcent i swego rodzaju drogowskaz w centrum Aleksandrii. Tymczasem pod koniec lat 50. XX w. wzgórze to, po rozebraniu fortu, stało się placem budowy, a odkrycie w ziemi starożytnych murów spowodowało wstrzymanie robót budowlanych i powierzenie badań tego terenu przez władze egipskie polskim archeologom. W Egipcie taka koncesja jest zawsze pewnego rodzaju przywilejem, przyznawanym przez władze egipskie nie bez pewnych wahań. Profesor Kazimierz Michałowski uzyskał ją jako wyraz szczególnego uznania. Od roku 1960 prace wykopaliskowe prowadzone we współpracy z egipską służbą starożytności dotyczyły stopniowo coraz większego obszaru. Ostatecznie ponad 4 hektary w centrum miasta, tuż koło dworca głównego, stały się strefą archeologiczną, a w miarę postępu prac rekonstrukcyjnych także tym, co Kazimierz Michałowski nazywał z włoska *zona monumentale*.

Kolejni współpracownicy profesora Michałowskiego prowadzili tam wykopaliska. Wykopaliska w mieście są zawsze trudne, a w Aleksandrii trudności różnego rodzaju piętrzyły się w sposób zupełnie niebywały. Dokonano jednak niezwykłego dzieła. Wzgórze zamieniło się w dolinę. W ogromnych wykopach wykonanych ludzkimi rękami bez mechanicznych urządzeń odkryto zespół rzymskich term, cysterny, późnoantyczny teatr, kolumnady portyków i domy mieszkalne. W bieżącym stuleciu doszły do tego dwadzieścia dwa audytoria jakiejś starożytnej instytucji edukacyjnej.

W roku 1987 trwały na Kom el-Dikka prace wykopaliskowe i rekonstrukcyjne w niezmiernie trudnych warunkach, przy braku dostatecznych środków finansowych i przy udziale bardzo niewielkiej ekipy archeologów oraz niezbyt liczного zespołu egipskich robotników. Pracami kierował doświadczony badacz Egiptu, znakomity architekt a zarazem pedantyczny inżynier. Ten niewysoki szczupły pan liczył sobie lat 51. Z dala od pozostałej w kraju rodziny, żony i trojga dzieci, prowadził w Aleksandrii prawdziwie ascetyczny tryb życia, całkowicie wypełniony pracą. Odznaczał się niespożytą energią, połączoną z otwartością oraz niezwykle skromnością, która kazała mu nie tylko zrezygnować z jednego „I” z historycznego nazwiska jego przodków, ale nawet dyskretnie przemilczać pokrewieństwo z papieżem Janem Pawłem II.

Szef zajmował się wówczas przywracaniem do pionu połamanych kolumn marmurowych i granitowych, co czynił za pomocą trójnogu z potężnych 10-metrowych belek, powiązanych sznurami. Pod tym urządzeniem podwieszano kilkutonowy fragment kolumny i stawiano go na bazie albo na innym fragmencie trzonu kolumny. Była to metoda starożytna, taka sama jaką stosowano, gdy kolumny te przed wiekami ustawiano po raz pierwszy. Pewnego dnia w mojej obecności ten trójnóg, zbyt mocno pociągnięty przez robotników napinających korbą łańcuch umocowany do wierzchołka trójnogu, zachwiał się i przewrócił. Kierownik wykopalisk, który coś poprawiał pod olbrzymim trójnogiem, ledwie uszedł z życiem, a i ja miałem szczęście, że trójnóg runął nie w moją stronę. Upadł z hukiem, wzbijając tuman kurzu. Jedna z potężnych belek złamała się i już nigdy nie udało się zdobyć podobnej belki. Następny trójnóg zrobiono potem z rur stalowych.

Po tej katastrofie wróciliśmy na obiad do domu. Baza mieszkaniowa znajduje się w odległości kwadransa drogi pieszo od miejsca prac archeologicznych. Szło się wśród ogromnych eklektycznych kamienic, przypominających nieco zabudowę wielkich miast włoskich. Były to pozostałości czasów, gdy Aleksandria była miastem lewantyńskim, egipsko-grecko-włoskim. Nasze mieszkanie do dziś znajduje się w bardzo zwyczajnej kamienicy z późnych lat 40., a może raczej wczesnych 50., położonej na tyłach Muzeum Grecko-Rzymskiego a naprzeciwko pałacyku mieszczącego zagraniczną instytucję. Za rogiem, obok muzeum, wznosił się potężny gmach urzędu gubernatora Aleksandrii (dziś nie ma śladu po tym budynku, spalonym w czasie znacznie późniejszych rozruchów). Okolica była spokojna, dzielnica dobra, nawet z odrobiną zakurzonej zieleni. Znaczną część zabudowy stanowiły wille z okresu świetności miasta w końcu XIX i pierwszej połowie XX wieku. Spokój zakłócały w nocy polowania policji na bezdomne psy albo gra strażników w piłkę nożną puszką po coca-coli na jezdni. Rano dzieci zmierzały do pobliskiej szkoły, przekupnie hałaśliwie zachwalali truskawki, a zbieracze starzyzny głośno krzyczeli „wekiaa” (z włoskiego *roba vecchia* „stare rzeczy”). Za to nie było słychać ruchu ulicznego, płynącego równoległą główną ulicą Horreya.

We wspomnianym domu przy ulicy Faraonów 2 znajdowało się niewielkie mieszkanie nr 9 wynajmowane dla potrzeb Misji archeologicznej. Mieszkanie to było miejscem zakwaterowania większości członków Misji, którym było tam zdecydowanie ciasno. Był to zarazem ośrodek życia towarzyskiego po pracy.

Kierownik Misji niekiedy zapraszał mnie do siebie. Mieszkał w dwupokojowym mieszkaniu na piątym piętrze wielkiego budynku przy ulicy Faraonów 5, mieszczącego różne biura i mieszkania prywatne. Z dość dużego przedpokoju, służącego jako namiastka salonu, wchodziło się do kuchni oraz do miniaturowego przedpokoiku prowadzącego do łazienki i do pracowni a zarazem sypialni Szefa. Był też drugi mały pokój, do którego przez drzwi z matową szybą wchodziło się prosto z hallu. Rozmowy przy herbacie w czasie wizyt odbywały się w tym właśnie hallu. Mieszkanie było wynajęte od pewnego Egipcjanina, lekarza, który wyjechał za granicę.

Pewnego razu Szef poprosił mnie, abym stanąwszy na krześle przyjrzał się niewielkiemu obrazkowi wiszącemu niemal pod sufitem i przeczytał niezbyt czytelny podpis. Kiedy się wspiałem, zobaczyłem widok jakiegoś szarego i mglistego pejzażu z trudnymi do rozróżnienia postaciami. Podpis drobnymi literami w języku francuskim mówił: „Doktorowi N. w podzięce za umożliwienie widzenia rzeczy niewidzialnych i słyszenia niesłyszalnych”.

Zeszedłem z krzesła. Wtedy dowiedziałem się, że właściciel mieszkania zajmował się wywoływaniem duchów i rozmaitymi praktykami czarnoksięskimi. Kiedy sprzątano mieszkanie przed objęciem go, znaleziono hebanową skrzynkę zawierającą rękę mumii. Był to niewątpliwie rekwizyt służący do jakichś magicznych obrządków. Potem skrzynki nikt już więcej nie widział. Nie powiem, żeby nie zrobiło to na mnie wrażenia.

Zamykając drzwi od łazienki zauważyłem na ścianie obraz olejny oryginalnej treści. Przedstawiał on kapłanów egipskich spełniających jakieś tajemnicze czynności nad szeregiem mumii, które wyglądały, jakby leżały na jakiejś taśmie produkcyjnej biegnącej w nieskończoność. Obraz nie był arcydziełem sztuki, ale jego dziwna treść robiła wrażenie.

Wkrótce zapomniałem o niezwykłym rysunku i o mumiach.

Po pewnym czasie Szef zaproponował mi przeniesienie się do jego mieszkania. Była to propozycja korzystna, z uwagi na nieco wygodniejsze zakwaterowanie w osobnym pokoju. Kiedy już przeniosłem *omnia mea* na piąte piętro i zjedliśmy razem kolację, nadeszła pora by pójść spać. Wojtek – mówiliśmy już sobie po imieniu – zniknął w swoim pokoju, a ja z właściwą mi powolnością przystąpiłem do wieczornych czynności. Potem, około północy, położyłem się do łóżka i zgasilem światło. Za matową szybą w drzwiach oddzielających mnie od holu była ciemność. Niespodziewanie zapaliło się tam światło. Usłyszałem kroki zmierzające do kuchni, a po chwili i tam zapaliło się światło. Jeszcze chwila a rozległ się brzęk a nawet

łomot garnków i talerzy. Nastąpiły kolejne hałasy i znowu człapanie. Ogarnęło mnie zdumienie, że mój spokojny gospodarz przejawia chęć tak intensywnego nocnego życia. Światło zgasło, ale później znowu się zapaliło.

Pomyślałem: że też Wojtkowi chce się jeszcze coś robić w kuchni o takiej porze i to przy akompaniamencie takiego hałasu. W końcu światło zgasło i człapanie ustało. Ledwie zacząłem zasypiać, rozległ się dziwny odgłos przypominający świst wiatru, który przeszedł w modulowane wycie i zawrodożenie o zmiennym nasileniu. Pomyślałem o wietrze w przewodach wentylacyjnych albo w przepastnym wewnętrznym ni to szybie ni to podwórku. Ale to przerażające wycie nie ustawało i było po prostu nie do zniesienia. Bałem się wstać i wyjść z pokoju. Do rana nie zmrużyłem oka. Po wielu godzinach tego upiornego koncertu, nad ranem, zapewne o wschodzie słońca niewidocznym na naszej ulicy, wszystko ucichło. Wtedy nareszcie zasnąłem.

Kiedy wstałem, mój gościnny gospodarz był już od dawna na nogach. Był chyba piątek, dzień wolny od pracy. Spytałem go, czy wstawał w nocy do kuchni i łazienki. Odpowiedział, że cały czas spał.

Szef Misji był i jest ostatnią osobą, którą mógłbym posądzić o skłonność do wygłupów i straszenia mnie po nocy. Opowiedziałem mu o nocnych zdarzeniach. Dowiedziałem się wtedy, że to nic nowego, bo już wielu poprzednich gości tego mieszkania miało podobne przeżycia.

Z niepokojem czekałem na następną noc. Jeśli nocne wycia, w co chciałem wierzyć, to tylko jakieś dziwne odgłosy wiatru, który w nocy zrywa się często w Aleksandrii, to musi się to powtórzyć. Ale pomimo wiatru te zjawiska nie powtórzyły się ani razu przez dwa miesiące mojego pobytu w tym mieszkaniu.

Kiedy na początku grudnia, korzystając z propozycji moich znajomych z Francuskiego Instytutu Archeologii Wschodu w Kairze, pojechałem z nimi na cały tydzień na pustynię, by zwiedzać Oazę Siwa oraz tamtejsze osobliwości przyrodnicze i zabytki, mój pokój był wolny. Po powrocie wyruszyłem wkrótce z Aleksandrii do Kairu, by stamtąd przed Świętami Bożego Narodzenia powrócić do Polski. W Stacji Archeologicznej UW w Kairze spotkałem wybitnego antropologa, profesora Tadeusza Dzierżykraya-Rogalskiego. Powiedział mi: „Kiedy pana nie było, byłem w Aleksandrii. Spałem na pana łóżku. Straszło mnie przez trzy noce”.

Adam Łukaszewicz

Magda Traczyk

Świetnie skrojony poemat

(o *Nocy kupalnej* Adama W. Kulika)

Jak opowiedzieć nieopowiadalne – fantazję, nokturn, wiersz Leśmiana? A jak opowiedzieć karkołomnie napisaną, wydaną w roku 2015 *Noc kupalną* Adama Wiesława Kulika? Poemat składający się z 44 części napisany skondensowaną, bardzo gęstą pojęciowo, obrazowo, słowotwórczo, poetycką prozą przechodzącą chwilami w wiersz i dramat? Dramat wychodzący wprost (albo wpisany w) z tragedii greckiej sprzed dwóch i pół tysiąca lat!? Przy tym utwór współczesny, naszpikowany emocjami, uniesieniami, odniesieniami kulturowymi – od starożytnych Chin poprzez starożytną Grecję i Rzym, i – przede wszystkim – Słowiańszczyznę, po łagry na Syberii. W naszej współczesnej literaturze nie znalazłam drugiego tak szeroko zakrojonego dzieła, napisanego z taką pasją. Można oczywiście szukać powiązań z *Anabazą* Saint John Perse’a, wymienioną we wstępie *Od autora*, tyle że są to zupełnie odrębne, różne dzieła, pisane tylko na pozór podobną techniką. Zresztą, znakomity (i typowy) Francuz nie miał pojęcia o problemach, które Kulik wziął na warsztat. Na pewno o wiele więcej wiedział o kulturze Indii lub Chin niż o zawiłościach historyczno-religijnych słowiańskiego śródka Europy.

Buszując w biblioteczne koleżanki romanistki trafiłam na niepozorny tomik. Najpierw uwiodły mnie rysunki mistrza Stanisława Pirō (ławowane, piórkem? długopisem?) kojarzące się z klasycznym malarstwem Państwa Środka, ale – co było zaskoczeniem dla mnie samej – z wyobrażeniami na temat Słowiańszczyzny sprzed tysiąca lat. Czy można było sobie odpuścić?

Do dziś nie mogę się uwolnić od tego tekstu.

Czym jest *Noc kupalna*? Jeśli ją czytać jak jeszcze jeden produkt literacki, jest opowieścią o rodzeniu się, apogeum i (przecutym) obumarciu szalonego uczucia do kobiety. Ten wątek wpisuje się w reminiscencje obchodów prasłowiańskiego święta Kupały, a kolejny w historię kraju położonego pomiędzy Odrą a Bugiem od prahistorii po czas współczesny. Ta historia następnie płynie ku nam formą starożytnej tragedii greckiej. Nie wiem, czy tak wyglądał autorski zamysł poematu, czy utwór w miarę powstawania

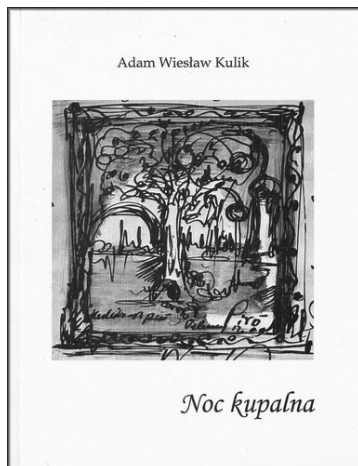
„sam” – z autorem, pożeglował w stronę tej formy wypowiedzi. Dla mnie bez znaczenia, ważne, że to się czuje, że to jest.

Noc kupalna to poemat historiozoficzny, swoisty traktat poetycko-historyczny, chciałoby się powiedzieć rozciągnięty tematycznie w czasie od Mieszka I po byłego prezydenta Kwaśniewskiego (w tekście zasugerowani, w przypisach wymienieni). Bo autor właściwy tekst obłożył solidnymi przypisami i słowem wstępnym, które same w sobie stanowią bardzo interesujące studium wiedzy o twórcy i jego lekturach. Napisałam „rozciągnięty tematycznie”, bo odniesienia, sugestie, aluzje sięgają znacznie głębiej w przeszłość.

Prolog, jak w klasycznym dramacie greckim, rozpoczyna apostrofa do bóstwa. Mamy sprecyzowane miejsce akcji i wejście koryfeusza, zaczyna się od misterium: „...zbuduj żywiczną świątynię z krążgankami, gdzie wszyscy pozostawią swe sieci i miecze... I wypal runy [...] Niech rozpoczną dzieło, niech przywracają nieczystych”.

Przed wiekami krążganki służyły do chwilowego przechowania rzeczy rozprasających modlitwę, sieci – jeśli wracało się z połowu, broń – jeśli wstępowało się prosto z drogi. W Grecji istniał zakaz wnoszenia żelaza do sanktuariów, rzymscy kapłani golili się nożami z brązu. Runy, to zwrot w stronę mitologii Wikingów, którzy penetrowali ziemie będące dzisiaj Polską.

Adam Wiesław Kulik
Noc kupalna (proza poetycka)
 Projekt okładki, rysunki Stanisław Pirō
 Wydawnictwo-Drukarnia Liber Duo
 Lublin 2015
 Stron 120
 Oprawa kartonowa
 ISBN: 978-83-64522-18-5



Rolę greckiego chóru komentującego akcję poematu-dramatu przejmują po prologu modlący się (*Pieśń modlących się* rozpisana na części 2 i 3). Cały poemat składa się z 44 ponumerowanych części – też przypadek z Mickiewiczem w tle? Ze zwielokrotnioną, świętą liczbą Słowian?!

Elegijny charakter 2 i 3 części odwołuje się do natchnienia („...gdybym mógł znaleźć strzęp pióra prowadzący zakola chorału”), *Pieśń* modlitewna łączy problemy osobiste z ogólnoludzkimi, egzystencjalnymi. W części 3, po wezwaniu do bóstwa, następują prośby: „...płyn przez wszystkie wyrównane noce. Wymawiaj imiona wielkich, kochanków ucz miłości, dzieciom zrywaj słońca, dorosłych żegnaj rytualnie i pamiętaj o karłach – one też pragną zabawy. Daj im w sam raz. Krzykaczom podaruj worek słów i rzuć po długopisie...”. Ryzykowana przerzutnia z długopisem katapultuje nas z mitologicznej przeszłości, ujętej w klasyczną formę modlitwy, w skrzeczącą współczesność. Łądujemy daleko od starożytnych poematów *Biblii* czy np. *Gilgamesza*, co zdaje się sugerować początek poematu. Bardzo swobodne zderzenie wizji obrzędu sprzed półtora tysiąca lat z „tu i teraz” świadczy, że autora znacznie bardziej obchodziła kreacja własnego tekstu niż próba rekonstrukcji starsłowiańskiego święta. Czy próba usystematyzowania wierzeń na osi: starożytna Grecja – Rzym – Słowiańszczyzna.

Kilka następnych części poematu schodzących w głąb prasłowiańskiego obrzędu, można przypisać melorecytacji (jak w starożytnej Grecji) w wykonaniu chóru lub pojedynczego aktora (kapłana?). Dopiero ekstatyczny charakter części 7 sugeruje, że jest to kwestia wygłaszana przez kobietę: „Dać wody morzu, księżycowi światła, a dniom słońca – tak pobrmiewają bose stopy szczęścia”. W obrzędach Kupały kobiety grały równie aktywną rolę jak mężczyźni. Sześć krótkich zdań mówi o zatracaniu się na granicy szaleństwa – w czasie obrzędu? miłosnych doznaniach? Wyciszającą kodę stanowi jednozdaniowa część 8: „W bieganiu leśnym płacze i szept kochania, i modlitwa proszących”.

Z narastającego, wirującego, potęgującego się obrzędu nocy kupalnej wyłaniają się pojedyncze głosy: część 9 i następne, wypowiedane przez Pana i Głos (kobiety?) są zapowiedzią i oczekiwaniem na spełnienie.

Głos (cz. 9): „...gorączkowo wymawiam twoje imię i marzę o krokwiach domu, który przyjmie wszystkich...”.

Pan (cz. 11): „Jesteś ptakiem, który latać nie umie. Jesteś jaskółką, co kroi niebo kwitnące jaskminem. Dzikim gołębiem, który czeka na mnie [...] w zielonym obszarze świętowania, w kręgu słów, co się marzą”.

Odautorskie przypisy do części 10 i 11 odsyłają nas bezpośrednio do *Pieśni nad pieśniami*, nie bez powodu. Ładunek emocji w tekście sprzed dwóch i pół tysiąca lat i współczesnym jest porównywalny.

Kwestia Cudzoziemca (cz. 12) przypomina ujęcie z bocznej kamery, filmującej ciąg zdarzeń: porywające, jedyne w swoim rodzaju święto, zagarnia postronnych, „obcych”, którzy przyszli z innego „brzegu” – być może tylko na spektakl, na widowisko: „Rozsypuję ofiarne datki w samym środku tajemnej potęgi, a ona mnie unosi, swego powiernika”. Żywiołowość zjawiska nie pozwala na zachowanie dystansu, wciąga w wir tajemniczego obrzędu: „Zapach wybuchający, drżenie rąk, mroki oczu, czas przemienia wodę w inną wodę, w inny czas”.

Kamera, w przypadku autora poematu i równocześnie autora kilkuset filmów i reportaży telewizyjnych, akurat nie powinna dziwić.

Chór w 13 części nie pozostawia wątpliwości: „Śmierć upiła się także: wszystkie wyroki odroczone do jutra, jeszcze ta jedna noc”. „Królowie pochowali trąby i chorągwie, żaden z bogów dziś nie czuwa”. Noc Kupały wchodzi w stadium rytualnego wyzwolenia, jej uczestnicy – w trans. Tej nocy nie obowiązują żadne reguły, żadne prawa, dziś wolno wszystko. Z dzisiejszej perspektywy słowiańskie święto przesilenia letniego (najkrótsza noc w roku) można interpretować jako psychiczny, duchowy wentyl, odkażający ludzi, którym niełatwo się żyło w surowych, prymitywnych warunkach ósmego czy dziesiątego wieku. Rytuał oczyszczenia pozwalał nabrać energii, wziąć na plecy znój przyszłego roku już czającego się za plecami.

Części od 14 do 21 dominuje dialog kochanków. Nawet bez odautorskich sugestii (przypisy) z łatwością da się zidentyfikować źródło inspiracji: *Pieśń nad pieśniami*, o czym przed laty zdążył napomknąć Andrzej Dróżdź w dołączonym do tomu fragmencie recenzji. W ekstatycznym dialogu ona (Głos) i Pan mówią do siebie tak, jakby byli sami w świecie, chociaż w tle pulsuje rozpasany, nieokiełznany żywioł Święta Kupały.

Głos (cz. 14): „Dłonie, które mnie przyjmą, czy okażą się delikatne jak świt? One śniły moje piersi, a ja, szafranowa, wrześnie umieranie” – zazdrość? Czy świadomość, że nawet najbardziej szalone uczucie musi się kiedyś skończyć?

Pan (cz. 15): „Pijana wodo dni, dokąd mnie unosisz? Znając siłę swoich ramion, wiem, że nie utonę, dlaczego jednak bawisz się brzegiem?”.

Głos (cz. 18): „...przeznaczenie walczy ze mną, gdy ty śpisz spokojnie. Skarga wymykająca się z nieposłusznych ust ostrzy groty najżarliwszych chwil”.

Pan (cz. 19): „Mów mi, mów, niech obok ciał kochają się słowa, niech pragną siebie jeszcze bardziej w zamaskowanych przebraniach i na górze, gdzie tors boga”.

Pojawia się myśl o następcy: „Sercem maga wywołaj go i opatrz [...] Daj mu siłę olśnionego rzeźbiarza, chcę czuć jego ręce”.

Głos (cz.21): „Zanurzona w tobie niech kwitnę, niech płynę, by spłonąć jak ostatni cień (...) Jesteś snem wszystkich tablic z równo wyciętymi napisami, zaprowadź mnie. Jesteś wyrokiem. Mną we mnie [...] tęsknię już, chcę życie wydrzeć gwiazdom”.

Części 20 nie potrafię przetłumaczyć inaczej: to odautorski przerywnik, spowiedź, korne przyjęcie pieczęci kosmosu, którą się otrzymuje z wszystkimi konsekwencjami w dniu pojawienia się na ziemi, swego rodzaju modlitwa dziękczynna: „Znaku dnia, w którym mnie zagarnąłeś, czuwamy obaj przed bramą – ty, wiedzący, ja nie proszony jeszcze. Oślaniasz najżarliwiej i troszczysz się mądrze, gdy w krzyku przekraczam kamienne kręgi zatracając się w biegu jak kulis. I wzbraniasz wejść na ostatni, kiedy zmęczenie wymywa trwogę i wszystko przestaje istnieć”, „...polna droga do przymierza każdego ze sobą”.

To bardzo osobiste, chciałoby się powiedzieć intymne wyznanie kogoś, kto sporo przeżył. Zna smak życia, bo o nie walczył (walczy?) na granicy zatracenia.

Pieśń samej Sobótki (cz. 22) upomina się o kochanków i zagarnia ich na powrót w teatralno-mistyczny obrzęd. Bardzo niewiele informacji zachowało się o samym święcie Kupały, właściwie mało istotne okruciny: wianki na głowach tańczących dziewczyn, przepaski z bylicy, oczyszczające skoki nad płonącym ogniem. Pozwala to na snucie domysłów, wyobrażeń i z taką próbą inscenizacji, bo nie rekonstrukcji święta, mamy do czynienia. Czy tak się modlono, jak jest w tekście? Zapewne nie, chociaż sformułowania typu Żywia (imię pogańskiej bogini płodności), Ogień Żywy (niecony tarciem drewna o drewno), Wieniec z Szałwii, Wieniec z Lelii, Biały Bóg Dnia, Bóg Światła, wyciągnięte z samego rdzenia słowiańszczyzny, mogły padać wśród czcicieli Kupały. Mamy też rys psychologiczno-obyczajowy modlącego się ludu, podkreślenie jego łagodności w kontraście do surowych,

krwiożerczych obrzędów religijnych Azteków czy – jak można się domyślać – ludów Wschodu lubujących się w wyszukany śpiewie i zarazem „czyhaniu na zatrącenie innych”. Pojawia się zapowiedź, wieszczanie przyszłych zdarzeń: „...miejsca daremne i spełnione, wielkie rody, pieśni wojów – pieśni matek, szkarłatne frędzle czynów wśród trzasku dni, korsarskie klęski z bielmem niewoli na dług...”.

Prawdziwa pieśń Dziewanny (część 23) to prawdziwy majstersztyk. Napisana w dziwny sposób: artykułuje ją Dziewanna, ale tekst wypowiada on (Pan?), zupełnie tak, jakby ona chciała usłyszeć własną wypowiedź mówioną przez kochanka. Proza przechodzi w wiersz składający się z mikroskopijnych dialogów pomiędzy kochankami. Przypomina to wiersze Bolesława Leśmiana, choćby *Wracam, wracam po długiej rozłące* czy tekst pt. *Brat*. Ale nie sądzę, że autor inspirował się tutaj Leśmianem, chociaż skądinąd wiele mu zawdzięcza. To dwa równoległe, różne światy, to raczej pokrewieństwo dusz, odczuwania.

Prawdziwa pieśń Dziewanny (cz. 23): „Gotowa do odlotu płoszysz się, lecz ręce poznają się pierwsze, zostajesz. Wśród piersi niespokojni – do szaleństwa, mówisz, do szaleństwa – piaski przesypują obok białe kwarcy, w wirydarzach wzrastają pachnące groszki, jesteśmy – mówisz, naprawdę jesteśmy – jesteśmy, tak! Leżymy w zielonym runie, opodal faluje jęczmień, jesteśmy runem, jego najbardziej aksamitnym sensem. Bez siebie byłibyśmy martwi – wierzysz w przeznaczenie, mówisz, wierzysz, tak – jak byśmy chodzili po zielonej trawie martwi, czy jakiegokolwiek święto pokochałoby nas?”.

Nie tylko Leśmianem pachnie poemat pana Kulika, z łatwością dać się tutaj wyłuskać echa poezji Anny Achmatowej czy poetyckiej prozy Saint-John Perse’a. Bardzo odległe zresztą.

Pieśń szczęśliwego człowieka, pomyślana jako znacząca część obrzędu, podzielił autor na trzy części (24, 25, 26). Prowadzą ją dwaj kapłani, którym odpowiadają dwa chóry kobiet przypominając, że wciąż obowiązuje forma dramatu greckiego, wyrosłego przecież z religijnych obrzędów. Pieśń – uroczysta, prośzalna apostrofa do bóstwa – jest stylizowana na modlitwę powszechną:

Kapłan I „Wszystkich, których nie przyjęła noc, którym ogień wydaje się za wąty, a marzenia nabrzmiały pełniej od kwiatu paproci, zamykam w gorejących muszlach”.

Kapłan II „...spraw, aby garbatym, tej soli ziemi, najsubtelniejszym płatkom pól, wyśniła się bezpowrotna podróż. Odwróć kłosy pszeniczne do ich słońca, siej z nimi i szukaj wody”.

Wszyscy, „których nie przyjęła noc”, garbaci – dotknięci przez los, życie, upośledzeni, a używając katolickiej terminologii, dźwigający krzyż. To wersy o zespoleniu podmiotu lirycznego z bólem doświadczanym przez innych ludzi.

Chór kobiet odpowiada w kontrze (cz. 25): „A jeżeli skrzywdziłeś wśród słów prędkich i przecuć, kto ocali ślady na bławatnej ścieżce. Zapisze dłonie po obu stronach czerwcowego żyta i krzyk radości rzucony byle jak”.

Chór tańczących kobiet (cz. 26) wprowadza w mroczny trans: „W podziemnych grotach żywe ryby, w dziurawych grotach koślawia miłość. Żywe łódki brzegów i nocy wypływają stąd: w grotach czas rodzenia”.

Celebrację kończy Kapłan I dając świadectwo czystości i szczerości intencji składanych w imieniu zgromadzenia (cz. 26): „Żebracza miłość jak parzące ziele, czysta jak taniec koni lub ryb”.

W częściach od 27 do 33 rozpisano dialog kochanków przerywany wejściami chóru (cz. 29 i cz. 31). Jest to już jednak inny dialog: dojrzały, spokojny z jej strony, gdy u niego pojawiają się uczucia negatywne, zazdrość.

Głos (cz. 27): „Blisko nas miłość i ból blisko, ocierają się o siebie jak głód i owoc, narodziny i śmierć. Pokorna kocham cię w szybkich krokach każdego dnia...”.

Pan (cz. 28): „Czyham na najmniejszy syk tajemnicy, w rozdrażnieniu zbierając liliowe pająki kłamstw (...) zagubiłem się na uroczysku pośród dwunastu kamiennych ryb ze znakiem krzyża...”. „Kto dodaje myśli, sypie zatrutym ziarnem, bym się wił w spiralach choroby (...) Uspokajające szaleństwo lip, gdzie umykasz, zapomnij się razem ze mną!”

Komentarz chóru (cz. 29) wybrzmiewa prośbą o rytualne oczyszczenie: „Smutna nocy, i ty jeszcze smutniejsza z białym znamieniem (...) Zachowaj deszcze czas jakiś, ocal resztki drzew, które pozostały podobne do siebie – może być ciemno, ale deszcze, proszę, zachowaj”.

W *Pieśni Pana* (cz. 30) mamy odwrócenie sytuacji, teraz on mówi tak, jakby chciał słyszeć słowa Dziewanny: „...gdyby wyspy, które budowaliśmy we dwoje bezbronni, gdyby skurczyły się do awersu jednej drobnej monety

i szpaki ze śmiechem krzyczały nowe horoskopy, pogodziłabym się ze wspomnieniem. Nie modliłabym się ani płakała nazbyt gorliwie [...] Włosy zapalałabym jak lubisz, i czerniła delikatnie rzęsy wcale nie myśląc o spotkaniu [...] Twoja kobieta przyjmowałaby moje głębsze ukłony, mnie całą, po utrefione włosy, i będąc z tobą, myślałaby o mnie jak o nieścieralnej bliźnie wysadzanej nowo narodzonymi perłami. Czułaby ich jeszcze pachnącą sól”.

Odpowiadający chór (cz. 31) kreśli wizję samotności człowieka w świecie, beznadziejności ludzkich pragnień i poczynañ. To bardzo pesymistyczny obraz. Nic dziwnego, że autor w przypisach do tej części odwołuje się do Levi-Straussa¹ i Koheleta² – źródeł inspiracji.

W częściach 32 i 33 wraca dialog kochanków, Pana i Dziewanny. On wydaje się znużony, rozbity psychicznie, przytłoczony złożonością świata mimo pozorów zwycięstwa, iluzorycznego bycia ponad („Dni obracają się po zaturę i nic nie jest wielkie ani prawdziwe”, „Jak wielkie przestrzenie dzielą nas samych w sobie”). Ona (cz. 33) – jeszcze pełna nadziei oddaje się wspomnieniom, „wyzwała z kryształów wspomnień muzykę ubóstwa dni pełniejszych niż niejedno cesarstwo”. Świadoma „przemijania postaci świata” godzi się z losem.

Pieśń księcia autor rozpiął na trzy części 34, 35 i 36. Wprowadza w nią Guślarz, zapowiadając najważniejszy fragment (cz. 35), przypisany Księciu, który w poetycki, skondensowany sposób opowiada historię formowania się państwa pomiędzy Bugiem a Odrą, poczynając od świadectwa niemieckiego kronikarza Widukinda z X wieku, poprzez wzmiankę Jana Długosza o ziemi rodzącej naczynia (urny), po kapliczki i krzyże na rozdrożach, zachowujące do dziś „ułamek pradawnego śpiewu, dawnego tańca”.

Wystąpienie Guślarza i Księcia pointuje chór Starców (cz. 36) przepowiadając „glebę sławy”. „Czas dany na kredyt czas zaprzędania / lekceważenie bezimiennych – prawych / truciznę dni” znajdują dopełnienie pełne w historii Polski, choćby w aluzji do rozbiorów czy zakłamaney historii PRL-u. Dla tych, oczywiście, co znają historię swojego kraju. Zaskoczeniem mogą być trzy ostatnie zdania wypowiedziane przez chór Starców, ale jeśli się weźmie pod uwagę czas powstawania poematu (lata 1980-1981 XX wieku, Polską rządził jeszcze sowiecki namiestnik Jaruzelski), wszystko wydaje się oczywiste. Przepowiednia się spełniła: „bezdomni zaintonowali pieśń...”.

¹ Claude Levi-Strauss, *Smutek tropików*, Łódź 1992, s. 71.

² Kohelet, w: *Cztery poematy biblijne*, tłum. z hebrajskiego Roman Brandstaetter, Warszawa 1972, s. 32.

Talizman – część 37, to wyzwanie rzucone światu. Świadeństwo walki podmiotu lirycznego, zmagania się ze słowem i sobą od stanów apatii, całkowitego zwątpienia, po „niepohamowane pędy, zgromadzenia myśli” – euforię. W psychicznej szamotaninie ze sobą i materią słowa nie jest się tak do końca samemu, przywołuje się pierwiastek boski (transcendencji), bo „ktoś prowadzi znaki w rzędy słów, spiętrzenia uczuć”. Pointa jest optymistyczna: z otchłani kosmosu udaje się wyłuskać słowa – „czyste szafirowe łązy. Muzyczne krainy”. W „sennych cokołach czasu” autor (tak chyba powinno się w tym miejscu powiedzieć) identyfikuje się z ziemią, tą grecką (echo walki w gimnazjonie), ale i w skali bardzo osobistej, zarazem biblijnej. Mówi: „jestem ziemi: z Ziemi”. W języku hebrajskim Adam znaczy ludzie, człowiek lub ziemia (adhamah), w akadyjskim (admu) – zrodzony, stworzony.

Moje wątpliwości budziła *Pieśń ziemi*, która zawiera sześć końcowych fragmentów poematu (części 38-43). Mimo bardzo spójnego przekazu całości zastanawiałam się, czy tytuł odnosi się tylko do części 38, czy obejmuje całość, łącznie z fragmentem 43. Udało mi się dotrzeć do wydania poematu z 1990 roku, w tomie *Ziemie pulsujące*, wydrukowanym ze składu udostępnionego przez PW Iskry. Tamte lata były wyjątkowo trudne dla wydawców i księgarzy, firmy padały jedna po drugiej i w tej dosyć siermieżnej książce to widać.

Gęsto zadrukowane strony wydania z 1990 r. nie pozostawiały wątpliwości, *Pieśń ziemi* zawiera sześć części i jest jakby osobnym poematem wpisanym w *Noc kupalną*. Jej luźna konstrukcja pozwala dowolne fragmenty przypisywać chórowi albo pojedynczym aktorom, z komentarzami chóru co druga część. Narracyjny, bardzo emocjonalny początek, zaczyna się od „plemienia podsycającego ognie prastarym językiem, włosiennicami obrzędów i spokojną myślą”. Już na początku, w części 38 czytamy o „kąkolu na obrzeżach znaczonego bieluniem”, „zdziczałych deszczach zachłanności, bezwzględnej chciwości mężczyzn przybranych obco”, kopistach, którzy „ochoczo w stare rzędy liter wpiszą nowe i nowy znak władzy”. Jeśli dobrze odczytałam, te frazy mogą odnosić się do posunięć „przyjaciół” po wschodniej i zachodniej stronie naszych granic. Od 300 lat polityka Niemiec i Rosji wobec Rzeczypospolitej zawsze była i pozostała bezwzględna, restrykcyjna, zaborcza. Kulik dał temu wyraz w wielu swoich książkach beletrystycznych i reporterskich, choćby w wieloksięgu *Nostalgia Wschodu* czy w zbiorze opowiadań *Czas hieny*.

Pieśń ziemi rozwija problemy zasygnalizowane w *Pieśni księcia*: wzrastanie chrześcijaństwa na zgłiszczach prasłowiańskich ośrodków kultowych

(cz. 39), podkreśla znaczenie decyzji Mieszka I o przyjęciu chrześcijaństwa, mówi o „geniuszu unurzany w codzienności” Bolesława Chrobrego (cz. 40), rozwoju szlacheckiej republiki, której „lud wybiera królów i ambasadorów” (cz. 41). Siedemnaste stulecie jest jeszcze bardziej czytelne: mężczyźni „narzucą lamparcie skóry i ze skrzydłami u ramion pilnować będą brzegów obu mórz” (cz. 41). Autora jednak nade wszystko irytuje nieodpowiedzialność, nonszalancja, przeniewierstwo polityków, których summą dokonań okazał się upadek Pierwszej Rzeczypospolitej. Zobrazuje to posępną frazą: „sępy z trzech stron szarpią ciepłe jeszcze mięso” (wyraźna aluzja do rozbiorów). W złości pozwala sobie na wrzucenie czterowersu z zupełnej innej bajki i poetyki (cz. 41), w którym cynizm, bezwzględność i bezdusność rządzących osiąga apogeum w szokującym wersie: „Wśród królów zdrajcy”, odbijającym się nam czkawką do dziś. W przypisach wymienia królów z imienia, w genialnej wizji (poemat powstał 44–45 lat temu!), konstatacja jest nadal przerażająco aktualna.

Część 42 poszerza obraz upadku państwa porządkującego Środek Europy: „Mędrzy i gramatycy chodzili po tych ścieżkach, a mimo to woń spalenizny często znaczyła pola. Tak chciałbym mówić dobrze o biegu rzeczy...”.

Następne zdania wyraźnie odnoszą się do czasu PRL-u, dominacji Związku Sowieckiego nad środkiem Europy, ale wydają się równie przerażająco aktualne: „...rdzawe pęta, szare smycze u szyj. Uwodzicielskie baśnie: o beznadziei, niemożności, olśniewające koloryty NIE. Na przekór sercom, konsekracjom okrzyków prawdy i majowym sekwencjom wrót [...] Kuglarze nie zsiądą z koni: liczy się gra”.

Podmiot liryczny wybiera powinność „powiadacza prawdy obłąkanego wolnością”, który „przełamując skurcze gardła opiera głos o przepoń i chwali dawny czas w zapamiętaniu”.

Część 43, przedostatnia, to punkt kulminacyjny; obraz „grzęzawisk śmierci”, w których musimy żyć pamiętając o „umarłych z bicia i głodu”, wśród „sprawiedliwych, których pogrzebano za życia”. Podmiot liryczny i zarazem narrator nie ma wątpliwości co do sprawców i winy: „Cudzoziemcy we własnych krajach! Narkomani złoconych odmetów, rodzie Judasza poczęty z wrzasku mew! Farba urwisk, gdzie odprawiacie tandetne obrzędy, karleje zawstydzona, modli się o wytrawienie własnej skóry. Wrzawa stad, która wyciąga was z kryjówek i podsycą agresję, stanie, gdy nadejdzie czas”.

Krytyka literacka, tworzona na ogół przez ludzi nastawionych lewicowo (a tych w Polsce w czasopiśmie, teatrach, wydawnictwach i gdzie tam

jeszcze, większość), nawet się nie zająknęła na temat *Nocy kupalnej*. Przemilczane – nie istnieje. Przerabialiśmy to za komuny.

Dlaczego jednak prawa strona milczy? Nikt ze środowisk prawicowych, nie potrafił odczytać i upublicznić wiedzy o poemacie? Tak oddaje się walkowerem kulturę. Naprawdę w Polsce nie ma ludzi na pewnym poziomie, którzy umieją czytać i rozumieć poezję? Nawet tę skomplikowaną? „Się mocno dziwię...”

Wreszcie finał *Nocy kupalnej* oznaczony zwielokrotnioną, świętą liczbą Słowian 44. Bardzo prywatny w klimacie, stonowany, kameralny, zwrócony ku człowiekowi – kilka zdań rozpiętych pomiędzy narodzinami a śmiercią, wejściem w świat i zejściem. Jeśli wierzyć relacji ze spotkania autorskiego³, autor czekał na przyjscie 44 części ponad 20 lat! (Publikacja z roku 1990 zawiera tylko 43 części). Pachnie to narodzinami jeszcze jednego, literackiego mitu, ale jeśli to prawda?

Owe 44 części *Nocy kupalnej* nie ma co interpretować, wersy tłumaczą się same:

„...gdy łódka dotknie brzegu, poznajemy, że jesteśmy sami – jak na początku, w iskrzącym woalu życia. Zawsze w przededniu. I że prócz nas nie ma nic – a świat trwa nieskończenie.

Nasze podróże – przemienne krańce myśli.

Nasze miłości – przemienne krańce snu.

Nasze życie – przemienne krańce słów.

Płonący stos”.

W ten sposób, w kilku wersach, da się skreślić życie każdego człowieka, zamknąć je metaforą jak w szkatułce. Bardzo słowiański ten „płonący stos”, zarazem bardzo współczesny.

O języku *Nocy kupalnej* nie piszę, bo to temat na osobną publikację.

Kilka zdań muszę oddać mistrzowi Stanisławowi Pirō i jego słowiańsko-chińskim grafikom, którymi jest przetkany tekst. Bez nich *Noc kupalną* czytałoby się zupełnie inaczej. Z płataniny, pajęczej sieci drobnych kresek wyłaniają się dziwne miasta zawieszane gdzieś między niebem a ziemią, tajemnicze krużganki, dalekie łęgi, to znów wizje jak ze snu lub majaki słowiańskich południc, wił. Najbardziej przemawiają do mnie lawowane

³ <https://www.zamosconline.pl/text.php?id=11087&tt=adama-kulika-poetyckie-rajdy-po-naszej-historii>

pejzaże – pół abstrakcyjne, skryształizowane formy przestrzeni, wnika-
jące w nasz świat jakby z innej galaktyki, innego wymiaru. One chyba najbar-
dziej wiążą się z tekstem, wnika-
ją weń, ilustrują a zarazem komentują, po-
szerzają tekst, dopowiadają go. To świetny, zamierzony pomysł wzajemnej
współzależności, wzajemnego dopełniającego się związku, współgrania,
dialogu. Poemat, poszerzony wizualnie starannie dobraną grafiką, poprzez
melodykę słów staje się rodzajem symfonii, można mu ulec albo go od razu
odrzuć, jak utwór muzyczny, który albo do nas trafia, albo nie.

Grafiki, starannie skomponowane z poszczególnymi częściami po-
ematu, powstawały w różnym czasie. Tak sędzę po datach, bardzo różnych
w stosunku do tekstu, który został napisany w latach 1980-1981 (pomijając
ostatnią, 44 część). Mimo to, idealnie korespondują z treścią poszczegól-
nych części. Dodatkowo autor *Nocy kupalnej* nadał im tytuły wyrwanymi
z tekstu wersetami wiążąc mocniej obraz z tekstem. Zyskuje tekst ale i po-
szczególne grafiki, bo cytat-podpis pod nimi inspiruje dodatkowe znacze-
nia, narzuca wizję, odsyła w inny, poza plastyczny świat.

To naprawdę fantastyczny, choć trudny w lekturze, fantastycznie skro-
jony tekst, w którym ambicje autora znalazły dopełnienie zupełne tak
w treści jak w formie. Można się spierać co do przypisów, odautorskich
komentarzy – warto było je dać lub nie – ale przy dzisiejszym poziomie
wszechogarniającego nieuctwa, wtórnego analfabetyzmu „elit”, nie tylko
politycznych, uważam, że są konieczne. Choćby po to, by niedouczone tuzy
i tuzice literatury nie znęcały się nad przysłowiowym, niedomalowanym
„liściem kapusty”, jak zdarzało się Arturowi Grottgerowi w jego przejm-
ujących, martyrologicznych cyklach popowstaniowych.

Magdalena Traczyk

Grzegorz Walczak

Współczesne feminatywy

Próba językowej rekompensaty w walce o równouprawnienie kobiet

W ostatnim czasie jesteśmy świadkami gwałtownego wzmożenia produktywności nowych nazw żeńskich. Przez to, że jest ono zadekretowane i systemowe, nie wzbudza we mnie aprobaty; tym bardziej że podważa dotychczasowy semantyczno-syntaktyczny paradygmat nazw zbiorów (rzeczowników) osobowych.

Dyskusja w sprawie feminatywów toczy się u nas nie od dziś. Przypomnę dość liberalne stanowisko Rady Języka Polskiego z 2012 roku:

Formy żeńskie nazw zawodów i tytułów są systemowo dopuszczalne. Jeżeli przy większości nazw zawodów i tytułów nie są one dotąd powszechnie używane, to dlatego, że budzą negatywne reakcje większości osób mówiących po polsku. To, oczywiście, można zmienić, jeśli przekona się społeczeństwo, że formy żeńskie wspomnianych nazw są potrzebne, a ich używanie będzie świadczyć o równouprawnieniu kobiet w zakresie wykonywania zawodów i piastowania funkcji.

Kolejne stanowisko Rady Języka Polskiego pojawiło się w 2019 roku:

Większość argumentów przeciw tworzeniu nazw żeńskich jest pozbawiona podstaw (...) dążenie do symetrii systemu rodzajowego ma podstawy społeczne (...) prawo do stosowania nazw żeńskich należy zostawić mówiącym, a (...) w polszczyźnie potrzebna jest większa, możliwie pełna symetria nazw osobowych męskich i żeńskich w zasobie słownictwa.

Warto przy tym zwrócić uwagę na brak kategoryczności rozstrzygnięć Rady, na pewną jej relatywność w podejściu, objawiającą się chociażby stopniowaniem typu: „większa, możliwie pełna symetria nazw osobowych męskich i żeńskich”.

Jak Rada sama przyznaje, „ma [to] podstawy społeczne”, a nie językowe (i językoznawcze); a i to społeczne nie jest kompletne czy większościowe, skoro „prawo do stosowania nazw żeńskich należy zostawić mówiącym”. A wśród mówiących, jak wiadomo, w tej materii zgody nie ma. Wielu nie

podziela, podobnie jak ja, trafności orzeczenia z 2019 r., że większość argumentów przeciw „jest pozbawiona podstaw”.

Podstawy są i to niemałe. Bezwarunkowe i bezrefleksyjne, czyli w każdym wypadku, bez zastrzeżeń, stosowanie nazw żeńskich w opozycji do nazw męskich wydaje mi się podejściem nierozważnym i błędnym. Przyjrzyjmy się przykładowemu materiałowi językowemu. Czy na pewno nie mamy żadnych zastrzeżeń do stosowania feminatywów w parach: *kopacz* vs. *kopaczka*, *węglarz* vs. *węglarka*, *widz* vs. *widzka*? Jaką nazwę żeńską przyjąć np. w opozycji do rzeczownika *myśliwy*? A wobec męskich nazw znaczeniowo negatywnych czy nawet obraźliwych jak *drań*, *szubrawiec*, *ancymonek*? Tu i w wielu innych przykładach przy wymyślaniu nazw żeńskich chyba jesteśmy bezradni. Tendencyjne, sztuczne dążenie do wypełnienia luk w rzeczownikowej opozycji płci prowadzi do śmieszności. Nie dajmy się zwariować w tej nadgorliwości. Nie znaczy to, że nie możemy wprowadzać nowych nazw żeńskich, zwłaszcza wtedy, gdy nas to nie razi, gdy nie mamy przy tym poczucia rewolucyjnego gwałtu na języku ojczystym. Daje się przecież odczuć, kiedy korzystając z potencjalnych form w nazewnictwie, zgodnie z wykształconym przez wieki obyczajem językowym i przyjętymi regułami, przekraczamy niewidoczną granicę smaku. Oczywiście jest to dość subiektywne i zależne też od następujących po sobie okresów historycznych, wpływających na zmiany językowe. Wiemy, że język przedwojenny w interesującym nas zakresie różnił się od tego, który po II wojnie światowej wykazywał tendencje defeminizacyjne. Chodzi tu jednak o zakres tych zmian, ich gwałtowność, jak dzisiaj, oraz następstwa, jakie pociągają w rozumieniu pewnych kategorii językowych.

* * *

Nie ufając zbyt łatwym analogiom, chciałbym jednakże w porównaniu, którym się posłużę, odnieść się do powszechnie znanego konfliktu w sferze polityczno-społecznej. Pragnę wyrazić swój zdystansowany stosunek do różnego typu bardziej lub mniej oczekiwanych ingerencji w życie społeczne, np. w życie kobiet, przez narzucanie im decyzji w kwestiach dotyczących aborcji przez przedstawicieli określonej partii lub Kościoła, niekompetentnych w zakresie medycyny i prawa. Podobnie nie jestem też zachwycony, kiedy wpływowe w danym momencie historycznym grupy użytkowników języka, niefachowców w dziedzinie, w której usiłują zadekretować swoje

oczekiwania, zbyt apodyktycznie lansują swoje postulaty dotyczące praktyk lingwistycznych. A z taką sytuacją mamy do czynienia – z dość rewolucyjną ingerencją w dotychczas funkcjonujący system językowy, ingerencją uzasadnioną głównie kryteriami ideologicznymi.

Jako językoznawca nie chciałbym się jednak godzić na wprowadzanie do języka sztucznych, tworzonych naprędce, na zasadzie neologizmu, nazw żeńskich, a w dalszej kolejności zdublowanych konstrukcji językowych typu *Sztukę naszą oglądali oczarowani nią widzowie i oglądały oczarowane widzki*.

Realizacja tego typu nie do końca przemyślanych postulatów, sprowadzająca się do próby zniwelowania w języku historycznej dominacji mężczyzn nad kobietami przez radykalne rozszerzenie zakresu nazw żeńskich, wynika z niepełnej świadomości językowej samowolnych reformatorów, inspirujących tendencyjne zmiany językowe. Właściwie – zgodnie z ich reformą – powinienem powiedzieć reformatorów i reformatorek, by się posłużyć obligatoryjnym dla nich rozróżnieniem podmiotów osobowych w nazwach zbiorów typu widzowie, mieszkańcy, reformatorzy, które w języku zawsze odnosiły się wspólnie do kobiet i mężczyzn, a dziś muszą z osobna.

W wyniku tych zabiegów nastąpiło bowiem przesunięcie znaczeniowe, a zarazem ograniczenie zakresu znaczeniowego wymienionych nazw. Do tej pory np. nazwa *mieszkańcy* odnosiła się do wszystkich mieszkańców bez względu na ich płeć. Dzisiaj odnosi się tylko do mieszkańców rodzaju męskiego. I dlatego, aby powiedzieć o wszystkich, wyrażamy już podwójną osobową nazwę: *mieszkanki i mieszkańcy Warszawy, Śląska* itp. Tendencyjnym narzucaniem zmian językowych, w rezultacie demolowaniem części istniejącego systemu językowego, nie przezwycięży się dziejowej niesprawiedliwości. Część językoznawców nie chce się wtrącać do tej ostatnio tak modnej przemiany językowej, charakterystycznej zapewne nie tylko dla feministek, ale i szerszych grup społecznych. Ja przeciwko nim nic nie mam, rozumiem nawet przyczyny ich rozgoryczenia i wierzę w ich dobre intencje. Uważam jednak, że gwałtownie narzucana społeczeństwu poprawka językowa, a dziś już chyba reguła, polegająca na zmianie rozumienia nazw zbiorów niczego nie załatwi w rzeczywistości społecznej, tj. w kwestii równouprawnienia kobiet. Może mieć jedynie znaczenie symboliczne. Tym zaś karmi się głównie polityka i zideologizowana socjologia, a nie naturalny rozwój języka danego narodu. Istotę tego nieporozumienia mogą zilustrować konkretne przykłady.

Problem zaczął się od nagłej potrzeby wypełniania luki w zakresie nazw żeńskich, z których przecież cała masa od dawna funkcjonuje, jak np. *lekarka*, *pacjentka*, *mieszkanka*. Stosowane i odbierane są one jako naturalne, usankcjonowane historycznie. Niektóre jednak są obco brzmiące, są neologizmami, tworzonymi na zamówienie społeczne. Za przykład mogą posłużyć: *widzka*, *gościni*, *ministra* (wobec *minister*), *blacharka* (wobec *blacharz*), *kominiarka* – chyba że kobietę, która zechce czyścić kominy, nazwiemy *kominiarzą*! Gdyby bitwa toczyła się tylko na polu liczby pojedynczej rzeczownika, spór by polegał jedynie na wypełnieniu braków leksykalnych, czyli dodaniu niefunkcjonującej dotąd *widzki*, *ministra*, *premierki* (bo chyba nie *premiery*?), *prezydentki* i *chirurgi*. I zdawać by się mogło, że na tego typu wypełnieniu braków – podkreślam: braków – leksykalnych w zakresie nazw żeńskich rzecz szczęśliwie by się zakończyła. A właśnie, że nie, bo język jest systemem powiązań, budowlą, z której nie zawsze da się wyjąć lub dołożyć jakąś cegiełkę, by wszystko było w porządku.

Podważenie zasady takiej niesprawiedliwej kategorii męskoosobowej i dopełnianie jej w zdaniu zdublowanymi składnikami, które podlegają kategorii niemęskoosobowej, też może mieć destrukcyjne znaczenie. Choćaby w szerszym kontekście – w tzw. obligatoryjnej konotacji składniowej, rozumianej jako otwieranie miejsca dla składników zdania o określonej kategorii gramatycznej lub znaczeniowej. Taka duplikacja podmiotów osobowych i postawienie żeńskiego obok męskiego lub zdań składowych z tymi podmiotami w zdaniu złożonym łącznym wydaje mi się bałamutną uzurpacją.

* * *

Psychologicznie i socjologicznie nawet zrozumiałe jest zjawisko dokonującej się od jakiegoś czasu rewolucyjnej zmiany w podejściu do naszego systemu językowego, zwłaszcza w funkcjonującej w liczbie mnogiej kategorii męskoosobowej vs. niemęskoosobowej, np. *To byli młodzieńcy, lekarze, bandyci* wobec: *To były lekarki, malarki, bandytki*. Od dawien dawna faworyzuje męczyzn kategorią gramatyczną „męskoosobowości”, która zdominowała paradygmat gramatyczny, zwłaszcza w odniesieniu do nazw rzeczowników typu: *nauczyciele, rzemieślnicy, mieszkańcy, arystokraci, złodzieje*. Każdy z tych rzeczowników wchodzi w związki nie tylko z formami przymiotnikowymi: *dobrzy, mądrzy, wysocy*, ale i z odpowiednimi formami czasowników w czasie przeszłym w liczbie mnogiej: *chodzili*,

myśleli, walczyli (wobec kobiet, które *chodziły, myślały, walczyły*). Wystarczyło, że w zbiorze nazwanym przez rzeczownik w liczbie mnogiej znalazł się choć jeden mężczyzna, a już czasownik w liczbie mnogiej stosujący się do tego rzeczownika musiał być w odpowiadającej mu formie męskoosobowej (a nie niemęskoosobowej, czyli żeńskorzeczowej). Chociaż w grupie uczniów był tylko jeden *chłopak*, a reszta to były *dziewczęta*, wystarczający i właściwy był komunikat: *Uczniowie wyszli z klasy*. A może teraz już tak nie będzie wypadało mówić i pisać? Jednego chłopca w takiej klasie może można nie zauważyć albo i tę semantycznie – składniową podstawę też podważyć i wyrzucić do lamusa historii? Już dzisiaj mówimy, podwajając podmioty: *Uczennice wyszły z klasy i uczeń wyszedł z klasy*?

Jeśli w jakimś zdaniu pojedynczym nazwa mieszkańcy zostaje rozłożona na dwa osobne elementy, które w liczbie mnogiej muszą być wyrażone nazwą żeńskoosobową – *mieszkanki* i męskoosobową – *mieszkańcy*, zmusza nas to do podwojenia konstrukcji składniowej. W rezultacie powstaje całość będąca zdaniem współrzędnie złożonym łącznym: *nasze mieszkanki zaprotestowały + nasi mieszkańcy zaprotestowali*. Już od dłuższego czasu obserwuję takie podwojone konstrukcje.

Nikt mnie nie zmusi, bym się stosował do nowej mody i mówił: *Najlepsze uczennice klasy czwartej jutro będą miały wolne i Najlepsi uczniowie klasy czwartej będą mieli wolne*. Który język, rozwijający się w naturalny, swobodny sposób, a nie sztucznie kodyfikowany, przyjąłby tego typu składniową nowinkę wbrew stałej zasadzie jego ekonomiczności? Wydaje się to niemożliwe lub bałamutne, zwłaszcza w czasach przesadnego dążenia do skrótu, wymuszonego przez wymogi Internetu i nowoczesnej ogólnej tendencji do kondensacji i eliminowania rozwlekłego gadulstwa, nadmiaru mowy. Sam w to niestety teraz wpadam ze względu na potrzeby wyrazistości mojego wykładu.

W typie nazw rzeczownikowych, jak np. *uczniowie, mieszkańcy, lekarze*, ze względu na brak formalnego znacznika żeńskości można się dopatrywać niegodziwego źródła niedoceny płci pięknej w naszym języku. Pominięcie formy żeńskiej, a co za tym idzie nieadekwatność opozycji rodzajowej, a także historyczna przewaga kategorii męskoosobowej nad niemęskoosobową rzeczownikowych nazw zbiorów w liczbie mnogiej w ostatecznym rezultacie musiała zaowocować potrzebą właściwej rekompensaty.

Nawet nie wszystkim kobietom się to podoba. Niektóre z nich dobrze rozumieją, że opór wobec systemu językowego, który się ukształtował przez wieki, i próba wymuszania na nim określonych zmian, nie przełożą

się na rzeczywiste przezwyciężenie historycznego braku równouprawnienia kobiet. Zamach na język nie jest w istocie skutecznym zamachem na rzeczywistą społeczną niesprawiedliwość (nierównowagę).

* * *

Jak widać, rzecz dotyczy nie tylko samego nazewnictwa, więc leksyki, ale jak już było mówione, pociąga też za sobą obligatoryjne zmiany w systemie fleksyjno-składniowym. Dając kolejne przykłady, by rzecz uczynić wyrazistszą i potwierdzić bezkrytyczne przyjmowanie nowych zasad dotyczących nazw żeńskich, odniosę się do szerzących się tego typu praktyk w telewizji. Na przykład redaktor TVN Radomir Wit (którego ze względów merytorycznych oraz za prawdziwe zaangażowanie i ekspresję przekazu wysoko cenię) zamiast dotychczasowego schematu zdaniowego *Kłaniam się widzom, którzy nas dziś oglądali* (nie jest to dosłowny cytat, tylko przykład), chcąc być językowym konsekwentnym neofitą, musiałby wygłosić formułkę: *Kłaniam się widzkom, które nas dziś oglądały i widzom, którzy nas dziś oglądali, studentkom i studentom, które nas oglądały, oglądali*. W ten oto sposób został sztucznie rozbudowany system składniowy – tylko że z pozajęzykowych przyczyn. Czy to jednak pomoże kobietom w ochronie ich uzasadnionych praw albo też w poszerzeniu ich zakresu? Bardzo w to wątpię.

W moim odczuciu takie bezsensowne duplikacje składniowe to choroba XXI wieku, polegająca na pomieszaniu zrozumiałych i oczywistych dla współczesnych ludzi kryteriów sprawiedliwości społecznej oraz nie zawsze jasnych dla nich kryteriów zasad funkcjonujących w danym języku. Nie zdobywa się okopów Świętej Trójcy przez wysadzenie w powietrze jej historycznej nazwy.

Dzisiaj jesteśmy zmuszani, by z nazw zbiorów osobowych (np. grup narodowych, zawodowych itp.) *Polaków, chirurgów, ministrów*, z ich wspólnego dla mężczyzn i kobiet zakresu znaczeniowego wyodrębniać nazwy żeńskie, co w wypowiedzeniu implikuje rozszerzanie, podważanie całych konstrukcji zdaniowych. W konstrukcjach tych wyrażamy *expressis verbis* podmioty rodzaju żeńskiego (*mieszkanki, polityczki*), by zestawiać je jako byty osobne w ciągu zdaniowym, równolegle wobec zdegradowanej co do zakresu znaczeniowego, do niedawna samowystarczальной nazwy wyrażonej rzeczownikiem typu *mieszkańcy, politycy*. Tak zaczyna się przemiana

całego fleksyjno-składniowego paradygmatu, gdyż musimy konsekwentnie, obligatoryjnie stosować nie tylko wyrażone w zdaniu odróżnianie rzeczowników (w liczbie mnogiej) według kategorii męskoosobowej wobec niemęskoosobowej, ale i innych wyrazów z nimi powiązanych, takich jak przymiotniki, imiesłowy, zaimki, np. *nasi mieszkańcy* vs. *nasze mieszkanki*, *nasi widzowie* vs. *nasze widzki*. Podlegają temu także czasowniki w czasie przeszłym, np. *poszli* vs. *poszły*, *zostali zwolnieni* vs. *zostały zwolnione*.

Jest oczywiste, że pomysłodawcom i pomysłodawczyniom tej językowej naprawy (inni powiedzą – demolki) zależy na równoprawnym traktowaniu podmiotów ludzkich, to znaczy kobiet i mężczyzn, czyli na opozycji rodzajów naturalnych. Nie zastanawiają się oni nad tym, że rodzaj gramatyczny nie zawsze się pokrywa z naturalnym i że jest on z zasady kwestią przyjętej w danym języku konwencji. Nie ma bowiem żadnej naturalnej właściwości, żadnej koniecznej, poza konwencjonalnie przyjętą, podstawy do tego, by stół w naszym języku był rodzaju męskiego, a drzewo nijakiego. Po niemiecku *drzewo* – *der Baum* jest rodzaju męskiego. Zatem, czy w realnym życiu społecznym warto nadawać takie znaczenie konwencjom językowym i z nazw zbiorów z natury wspólnotowych wydobywać nazwy żeńskie, by ustawiać je równolegle, zatem równoprawnie wobec nazw męskich, aby w ten sztuczny sposób nadawać im równoprawny status? Tego typu znaczeniowa opozycja w rzeczywistości *mieszkańcy* vs. *mieszkanki*, *chirurdzy* vs. *chirurgki*, *widzowie* vs. *widzki*, przeniesiona do metajęzyka, nie jest w pełni adekwatna z opozycjami kategorii lingwistycznych (męski vs. żeński, męskoosobowy vs. niemęskoosobowy). W języku relacje te są znacznie bardziej skomplikowane. Przeniesione z rzeczywistości dosłownie jeden do jednego rozpoczynają całe to zagmatwanie, generują powstawanie całych ciągów z konstrukcją dodaną w wyniku zbytecznej dla języka duplikacji. Jako efekt następczy, a zarazem uboczny, doprowadza to do niezamierzonej redundancji językowej, czyli nadmierności, czegoś, co zbyteczne. Wystarczy powiedzieć: *Polacy to mądry naród*. Przejawem redundancji natomiast jest wypowiedź: *Polki i Polacy to mądry naród*.

W *Pieśni 5 (Księgi wtóre)* Jana Kochanowskiego czytamy: „Nową przypowieść Polak sobie kupi, że i przed szkodą, i po szkodzie głupi”. Dlaczego z tego Kochanowskiego był taki paskudny antyfeminista?! Dlaczego zapomniał o Polkach? Oczywiście, że nie zapomniał. Tylko niektórzy, nawet językoznawcy z tolerancji sławni, gotowi są zapomnieć, jak brzmiał nasz język. A gdyby trzeba było w analogicznym zdaniu zastosować czas przeszły? „Nową przypowieść Polki sobie kupiły i Polacy sobie kupili, że i przed

szkodą Polki były głupie, i po szkodzie głupie, i przed szkodą Polacy byli głupi, i po szkodzie głupi”. Od tego można osiwieć, co już na szczęście mi nie grozi.

Krótko mówiąc, mimo że szczerze popieram długotrwałą walkę o równe prawa kobiet i sam bez kobiet żyć nie mogę, uważam, że w rozstrzyganiu językowych problemów istotna jest nie poprawność społeczno-polityczna, lecz językowa. Oczywiście język nie jest tylko synchronicznym systemem znaków, ale i procesem historycznym. Każdy wyraz oznacza to, co oznacza, bo taką miał historię w wielowiekowym rozwoju języka – jak twierdził mój Mistrz, profesor Witold Doroszewski, wybitny językoznawca. Wiem to, bo byłem przez wiele lat jego sekretarzem osobistym, asystentem, a później adiunktem. Nie trzeba mi więc tłumaczyć, że język jest procesem. Z czasem język się zmienia i może się zmieniać, ale szanujmy jego ewolucyjność, zmiany wynikające z wielowiekowej praktyki językowej, a nie czynione na jeden rewolucyjny pstryk decydentów – przepraszam – decydek i decydentów, niekoniecznie znających teorię zbiorów i adekwatność przyjętego wobec tych zbiorów nazewnictwa. Wiadomo, język jest nasz, jest konwencją, na którą myśmy się umówili. Zawsze możemy się umówić inaczej. Papier wszystko przyjmie, tak jak ministrę, której się już nie wypłeni, gościńię pewnie też już nie, ale myśliwą czy myśliwkę razem z widzką radziłbym jeszcze trzymać od nas z daleka.

Taką, a może bardziej zmyślną grę lingwistyczną zostawcie raczej poetom. Koledzy językoznawcy, a przede wszystkim Wy, użytkownicy języka, nie gódźcie się tak łatwo, bezrefleksyjnie na bylejaką kształtowanego przez stulecia języka, pielęgowanego przez naszych przodków. Niech nowi dyktatorzy mód zmieniają naszą polszczyznę niespiesznie i z umiarem, a przede wszystkim z wszechstronnym rozmysłem.

Grzegorz Walczak

Olga Wójcik

O emanacji niepokoju, czyli rozważania na temat *Śpiącej kobiety* W. Ślewińskiego

Śpiąca jest w pokoju i zarazem nie ma jej tam. Ona jednocześnie jest i nie jest. Jest, ponieważ leży na zasłanym zieloną narzutą łóżku, nie ma jej zaś w domu, ponieważ zieleń kapy usamodzielnia się i odrywa od desygnatu, stając się sama w sobie bytem. Zresztą samo łóżko jakby rozpływa się, brakuje mu geometrycznego kształtu, ma w sobie coś z fali morskiej. Kołysze się, przepływa.

Kobieta jest, czyli leży zawinięta w kłębek, odpoczywa. Poza i ubranie świadczą o tym, że niedługo będzie musiała wstać i wrócić do codziennych obowiązków. Na razie jednak odpoczywa, zapewne w dzień zabrakło jej sił.

To, że ona jest, uległo zaprzeczeniu, ponieważ śni. Otwiera się przed nami jakaś wewnętrzna przestrzeń osoby. Narzuta przestaje być narzutą, sukienka sukienką, a kot zwykłym kotem. Jej codzienne, trochę zszarzałe, wytarte ubranie zamienia się w ciemną płaszczyznę, kot – taki zwykły, kot którego się głaszcze, żeby zabrać mu spokój, przestaje być domowym, miłuskim zwierzątkiem, zamienia się w figurę niepokoju. Może przed chwilą kot był kotkiem, tak jak piesek jest pieskiem na innym obrazie W. Ślewińskiego. Praca *Mój pies* zawiera fragment codziennego, zwykłego domowego życia. Niespiesznie przemija czas, ciepło bije od przedmiotów, widzimy jakieś papucie, kanapę zasłaną czerwonym suknem i na niej psa. Wszystko jest miękkie, kochane, zwykłe; tam nie trzeba się popisywać, starać, można być najzwyklejszym w tej zwykłości.

Kot z obrazu *Śpiąca kobieta*, ocierając się o sukienkę, napręża się i gotuje do skoku i może do złego. Kot jest ambiwalentnym zwierzęciem symbolicznym.

W Japonii widok kota uchodzi za zły omen. W kabale i w buddyzmie kot jest bliski symbolicznie wężowi. W Egipcie domowego, zręcznego i pożytecznego kota czczono jako święte zwierzę bogini Bastet, opiekunki domu, matek, dzieci. W średniowieczu koty (przede wszystkim czarne) uchodziły



Władysław Ślewiński (1854-1918)
Śpiąca kobieta z kotem, 1896, olej, płótno; 66 x 100 cm

za zwierzęta czarownic, w szczególności czarny kocur był symbolem diabła, toteż przesąd widzi w czarnym kocie zapowiedź nieszczęścia¹.

Tak więc kot ma kontakt ze sferą metafizyczną, może ciążyć ku królestwu zła lub dobra, może być demoniczny lub boski. Kot z obrazu W. Ślewińskiego kumuluje w sobie raczej moce niebezpieczne, zagrażające człowiekowi. Odnotujemy: jest czarny, zjeżony, naelektryzowany, kładzie uszy po sobie i podnosi ogon do góry, co może świadczyć o jego wściekłości i złości.

Linia

Przyjrzyjmy się liniom na obrazie: oddzielnym, samoistnym pociągnięciom pędzla na płaszczyźnie oraz tym utworzonym przez krawędzie przedmiotów.

Kot przemyka, widzimy go w ruchu. Zbiega jakby z góry. Gdyby połączyć linią czubki ogona i łba, otrzymalibyśmy skośną z wyraźnym dla oka ruchem ku dołowi. A zatem ruch, w jakim znajduje się kot, można by nazwać ruchem ku otchłani. Wydaje się, że zwierzę spada po linii ukośnej w przepaść. Sprecyzujmy: artysta umieścił kota w prawym dolnym rogu obrazu; linia, jaka tworzy jego ciało, wskazuje wyraźny kierunek ku dołowi; górny zarys kształtu kota buduje trzy linie o kierunku dół-góra-dół. Powstałe w ten sposób kąty:

¹ *Leksykon symboli*, opr. M. Oesterreicher-Mollwo, przeł. J. Prokopiuk. Warszawa 1992, s. 70.

zielony i czarny – drażnią oko widza, a sama haczykowata, wygięta linia wprowadza niepokój. To, co znajduje się na dole, ma w ikonografii zazwyczaj konotacje negatywne. Kot z obrazu Ślewińskiego wyraźnie ciąży ku dołowi – ku sferze podziemnej, piekielnej, niskiej i ciemnej. Nie widzimy łap kota, wychodzą poza ramę obrazu. Nasza wyobraźnia od razu podpowiada nam, że nogi kota wydłużają się w nieskończoność, a przez to deformują zwierzę.

Nikogo nie zdziwiłoby umieszczenie takiego zwierzęcia pośród maszkar i ciał potępionych w ogniu piekielnym na lewym skrzydle jakiegoś średniowiecznego Sądu Ostatecznego. Linia stworzona przez ogon, grzbiet i głowę wyznacza się najpierw na zielonym tle, a potem czarno-szarym. Czarny łeb kota wydobywa się z ciemnej plamy (fragment sukienki). Reszta jego ciała znajduje się jeszcze na tle zielonym, ale przeczuwamy, że za chwilę przesunie się w sferę cienia. Kobiętę i kota łączy ciemny kolor, zlewają się z sobą w sferze tajemniczości, cienia i mroku.

Większość pozostałych linii pojawiających się na obrazie wskazuje też kierunek ku dołowi; trzy linie wyznaczone przez kontur sukienki kończą się poza kadrem i spadają w dół, podobnie jak trzy wyznaczone przez krawędzie draperii. Poziome, ciemne linie na tle zieleni wprowadzają tylko pozorną przeciwwagę dla tych pierwszych, ponieważ same się chwieją, wiją i ruszają. Linie z obrazu Ślewińskiego wprowadzają do statycznego ujęcia kobiety ruch ku dołowi. Ona tak naprawdę kołysze się, chwieje, płynie, może spaść.

Kolor

Obraz właściwie tworzą dwa kolory: zielony i czarno-szary, kładą się w postaci płaskich okonturowanych plam. Dostrzegamy jednak subtelny modelunek draperii, światłocien dający wrażenie płynności całego obrazu. Całkowicie płaski, jakby wycięty z czarnego kartonu jest jedynie kot. Trudno nazwać zielen z obrazu W. Ślewińskiego. Jest jasna, krzykliwa, rażąca, oslepiająca, błyszcząca, rozżarzona. Zieleń jako taka zazwyczaj niesie z sobą pozytywne znaczenia. Kojarzy się z przyrodą, ogrodem, trawą – ściślej: z Bogiem. Zieleń raduje oczy, czyni duszę wolną i zwraca umysł ku dobrom nieprzemijającym. (...) zielen jako «color medius» znajduje się (...) «w pośrodku» innych barw, łagodna i pojednawcza, uzupełniająca barwa czerwieni, ponieważ powstaje ze zmieszania koloru niebieskiego i żółtego i tworzy w ten sposób trójjedność trzech barw głównych².

² D. Forstner OSB, *Świat symboliki chrześcijańskiej*, przeł. W. Zakrzewska, 1990, s. 123.

Zieleń W. Ślewińskiego mało ma wspólnego z tradycyjną symboliką zieleni w kulturze i religii. Nie uspokaja, ale drażni patrzącego. Jej równowaga się chwieje. Żółty odznacza się dynamiką odśrodkową, porusza się w kierunku patrzącego, niebieski to kolor dośrodkowy, oddalający się od obserwatora. Gdy połączymy w równych proporcjach ten ciepły i zimny kolor, otrzymamy równowagę w postaci zieleni. Kolor zielony z obrazu Ślewińskiego wychodzi do przodu. Przestaje funkcjonować jako tło, zmienia miejsce z planu drugiego na plan pierwszy. Harmonia ulega zanegowaniu, ponieważ zieleń zawiera przewagę lśniącożółtego. W takiej postaci zieleń staje się bardziej odśrodkowa, wychodzi do przodu, atakując natarczywie widza. Zieleń z obrazu *Śpiąca kobieta* symbolizuje niepokój, zagrożenie, atak, strach, krzyk, chaos, przerażenie. Podobną symbolikę mamy w *Odysei* Homera. Strach, lęk zawsze są zielone. Czytamy:

[...] *wszystkich ogarnął zielony strach*
 [...] *ich zaś objął strach zielony*
 [...] *zielony lęk mnie zdjął*.³

Czarno-szary kolor sukienki w zetknięciu z wyżej opisaną zielenią ucieka w głąb obrazu i tworzy coś na kształt rozpadliny, jamy, jakiejś mrocznej przestrzeni. Czarno-szary i zieleń mogą odnosić się do wewnętrznego świata śpiącej. Gorąca, jarząca się i – nie wahajmy się użyć tego słowa – piekielna zieleń wraz z czernią skupiają w sobie świat lęku człowieka, może związany z zakazaną miłością, może ze śmiercią, przeczuciem nieszczęścia lub w ogóle z tym, co jest poza naszą rzeczywistością.

Kot może być wyobrażeniem chuci, rozpasania seksualnego, zdrady, zmysłowości. Kolor ust, włosów i sierść prowokują do dotyku. Futерko kocie pobudza seksualnie, czerwony wzbudza namiętność, rudy kolor włosów przypisywano w dawnej ikonografii Marii Magdaleny (zob. włosy świętej na freskach Giotta i obrazach Tycjana).

Można by stwierdzić, że kolory zdradzają skłębione emocje i zmysłowe obrazy przesuwające się we wnętrzu kobiety. Patrząc jedynie na jej twarz, niczego się nie dowiemy: jest spokojna, opanowana, powściągliwa, niekobieca, raczej męska.

³ Homer, *Odyseja*, przeł. J. Parandowski, Warszawa 1953, s. 354-356, 170.

Światło

Rozproszone światło bez źródła przesycą przestrzeń obrazu. Mamy do czynienia z jakimś beczasowym oświetleniem. *To oderwane od pory dnia i roku światło spotykamy w XIX w., zwłaszcza u symbolistów, a w szczególności u Odilona Redona*⁴.

Tak ożywiona przestrzeń emanuje tajemniczością, nieokreśloną, beczasowością. Nie wiadomo, kiedy to się dzieje. Z zielonej narzuty światło bardziej promienieje, niż na nią pada. *Śpiącą kobietę łączy coś z pejzażami morskimi W. Ślewińskiego. Być może chodzi o rozziw (...) pomiędzy pozornym spokojem, wyciszeniem a tajemniczą wciągającą otchłanią (...)* Z. Przesmycki pisał: *Na Pańskich morzach zalega głęboka cisza (...)* Tylko niewidzialny dreszcz tajemniczej otchłani (...) przebiega czasami po tych wielkich nieruchomych przestrzeniach (...)

Podobnie na opisywanym obrazie: w ciszy nabrzmiewa otchłań krzyku. Tajemnica (...) *leży w tonach ciemnych i świetlistych (...)*

Przyjrzyjmy się dokładniej oświetleniu twarzy. Twarz nie wyraża żadnych emocji. Światłocien delikatnie ją rzeźbi. Widzimy jednak tylko jedną stronę twarzy – jasną, drugiej nie widać i częściowo zakrywa ją cień.

A zatem możemy mówić o ambiwalencji twarzy, o niemożliwości pełnego poznania człowieka. Widzimy mały fragment drugiej połowy twarzy i to na dodatek zaciemniony. Kontrast pomiędzy jasną i ciemną stroną twarzy zaznacza się bardzo wyraźnie na autoportrecie M. Gotlieba z ok. 1876 r. Górna część twarzy wraz z oczami pogrążona jest w cieniu. Zarówno Ślewiński, jak i Gotlieb sugerują, że widzimy zawsze tylko połowę prawdy o człowieku, druga połowa – a zatem pełnia widzenia – poznania, jest niedostępna.

Oko

Najmniejszym i najjaśniejszym punktem na obrazie jest oko kota. Plamka wielkości paznokcia na tle czarnej sierści olbrzymieje i podrażnia patrzącego, nie daje spokoju, przykuwa wzrok. Oko kota jest żółte. Dopiero gdy znajdziemy się bardzo blisko płótna, dostrzeżemy oliwkowy ton w oku.

Gdy oddalimy się od obrazu na 15 metrów, kocie oko nadal bardzo dobrze widać. Ono świeci. *Kot związany jest z Księżycem jako zwierzę*

⁴ H. Alekan, *Światło malarzy i światło twórców filmowych*, [w:] „Kwartalnik Filmowy” 1994, nr 7-8, s. 121.

*lunatyczne, poluje nocą (...)*⁵. Widzi w nocy, oczy jego błyszczą w niecałkowitych ciemnościach. Mamy tutaj jakąś sprzeczność, ponieważ oczy kota świecą, chociaż ten nie znajduje się w ciemnościach.

Poza tym, tak naprawdę świeci tylko jedno oko, drugiego prawie nie widać – jest zielone. Dwoje różnych oczu nasuwa skojarzenie z Wolandem z *Mistrza i Małgorzaty* Bułhakowa. Miał: *Prawe oko czarne, lewe nie wiezieć czemu zielone*⁶. Przez tę zbieżność jeszcze raz potwierdza się fakt, że kot Ślewińskiego to istota diaboliczna.

W przeciwieństwie do kota kobieta ma zamknięte oczy. Oko jako najważniejszy element twarzy zwraca najszybciej na siebie uwagę. Oglądając portrety instynktownie szukamy oczu, aby przyglądając się twarzy uczynić z nich stały punkt odniesienia i przez wyraz spojrzenia dotrzeć do istoty portretowej osoby. Oczy są (...) *organem przyjmowania światła i wszystkich obrazów świata zewnętrznego. Oko fizyczne (...) jest symbolem wewnętrznego i duchowego oglądu, który Platon nazywa «okiem duszy»*.

*Jest (...) «zwierciadłem duszy»*⁷.

Kobieta jakby odgradza się płatkami powiek od codziennej rzeczywistości: być może dziwny kot jest elementem z jej snu, wyobraźni, wnętrza. Kobieta nie ma spojrzenia. Zamknięte powieki nadają jej twarzy (...) *ową ciągłość doskonałą, której oczy nie przerywają*⁸. A gdyby je otworzyła: to co, to co byśmy ujrzeli? Czy aby nie rozpazanie, które ma w sobie kot będący niejako projekcją jej wnętrza? Przypomnijmy, że kot symbolizuje m.in. chuć i rozpazanie seksualne. Być może mamy do czynienia z kocią erotyczną bestią, symbolem sił infernalnych. (...) *Postać agresywnego zwierzęcia jest poetycką maską kobiety i wyraża jej ambiwalentne pragnienie*⁹. Kobieta (...) *atakuje z zewnątrz agresywnym skokiem drapieżnej kocicy*¹⁰. Kot z obrazu ujawnia wyobraźnię kobiety związaną z pożądaniem seksualnym. Śpiąca okazuje się być eskapistką, poszukiwaczką rozkoszy. Wykrada się z monotonnej rzeczywistości i przenosi się do świata wypełnionego intensywnymi

⁵ W. Kopaliński, *Słownik symboli*, Warszawa 1990, s. 165.

⁶ M. Bułhakow, *Mistrz i Małgorzata*, Warszawa 1988, s. 13.

⁷ D. Forstner, op. cit., Warszawa 1990, s. 347.

⁸ M. Proust, *Patrzenie na jej sen. Moje przebudzenia*, tłum. H. Elzenberg, [w:] „Heksis” 4/1997 (13), s. 63.

⁹ W. Gutowski, *Nagie dusze i maski*, Kraków 1992, s. 49.

¹⁰ Ibidem, s. 51.

erotycznymi przeżyciami. Takie erotyczne pożądanie wiąże się z wszelkimi niepokojami końca XIX wieku i z boleśnie odczuwaną pustką.

Hedonizm (...) jednoznacznie rozpaczliwy (...) przede wszystkim gra rolę narkotyku budzącego krótkotrwale zapomnienie¹¹. Idąc za myślą tej interpretacji, Śpiąca kobieta Ślewińskiego ujawnia się nam jako femme fatale.

Kot z obrazu W. Ślewińskiego jest na pewno stworzeniem tajemniczym, groźnym, związanym z ciemną sferą bytu, gromadzi w sobie wiele sprzeczności. Wyliczmy wszystkie jego cechy, które mogą być interpretowane negatywnie. Jest czarny, układ jego uszu sugeruje, że słucha dźwięków napływających z tyłu (z tyłu, a nie z przodu, czyli z tej bardziej tajemniczej, ciemnej strony bytu). Ciąży ku dołowi – otchłani. Ma jedno świecące oko, a dwa o różnych kolorach, jego pysk rozplywa się w ciemnej fałdzie sukni kobiety i w ogóle łączy się z tą ciemną plamą. Linia kształtu i jego ciała niepokoi.

Proponuję trzy interpretacje kota i w tym kontekście całego obrazu.

I tak: kot może być eksplikacją wnętrza kobiety.

Kot jako określoność snu czy element z przestrzeni wewnętrznej człowieka ujawniałby demoniczność kobiety. Byłby symbolem femme fatale – która najpierw łąsi się, ociera, aby zdobyć – zjednać, a potem skoczyć w otchłań namiętności i zniszczenia.

Mniej dosłownie i konkretnie figurę kota można by zinterpretować jako w ogóle emanację lęku, niepokoju – bojaźni i drżenia. Kierkegaard pisał o takim podstawowym przeżyciu psychicznym w dziele *Begrebet Angest* (*Pojęcie strachu*). Jarosław Iwaszkiewicz tak to komentuje:

Pojęcie to jest określane u Kierkegaarda całkiem osobliwie. Nie jest to strach życia i śmierci, lęk przed odpowiedzialnością czy po prostu lęk przestrzeni kosmicznej i zagubienia wśród niej, wśród nigdy nie ustających pytań bez odpowiedzi, którego często doznajemy.

Kierkegaard zakłada, że człowiek jest syntezą wieczności i doczesności; *expressis verbis*: «Człowiek, jest syntezą nieskończoności i skończoności, doczesności i wieczności, wolności i konieczności, jednym słowem syntezą» (*Choroba na śmierć*). Lęk – jest to dla niego punkt przecięcia pomiędzy dwoma składnikami tej syntezy. Moment, w którym człowiek w więzach doczesnego, skończonego, koniecznego uświadamia sobie perspektywy wieczności, nieskończoności, wolności, moment przerażający, a jednocześnie zawierający w sobie perspektywy subiektywnej ewolucji – jest to chwila lęku, ale lęku pociągającego, sympatycznego.

¹¹ Ibidem, s. 114.

Ta stała obecność we wnętrzu człowieka pociągającego lęku myśli o Bogu – źródle zła, myśli o demonach działających dla dobra człowieka, oddawanie się całkowite we władanie absurdu, który jest zbawieniem, w sumie są jakimś oszołomieniem, intensywnym ruchem duszy, wiecznym niepokojem i jednocześnie stanem rozkoszy, podobnym do upojenia alkoholowego¹².

Kot jako emanacja lęku rzeczywiście jest paradoksalny – pociąga i przeraża, wszak ociera się, łąsi, a jego wygląd odpycha. Lęk, męka, paradoks, szarpanina bytu, strach, otchłanie przerażenia, samotna droga, absurd, niepokój, bojaźń, drżenie, trwoga, namiętność wiary, cierpienie – jako słowa wyjęte z pism Kierkegaarda kumulują się w demoniczno-boskim zwierzęciu.

Wreszcie trzecia interpretacja: Kot nie byłby symbolem wnętrza kobiety, a raczej tym, co przenika do niego. Może kobieta zamknęła oczy, dlatego że broni się przed wejściem niepożądanych obrazów do jej duszy. Odgrodziła się, odwróciła, przeniosła się w inne światy, aby mieć spokój, aby oddalić się od zła, które wyczuwa blisko siebie. Tu kot symbolizowałby pokusę, magicznego uwodziciela. Uwodzi miękkością ruchów, pieśczętą, dotykiem, rozkołysaniem, tajemniczością. *Jest cały czarny (...) Jest strasznie miły i niedobry¹³*. Wybrał sobie kobietę, ociera się o nią, chce miło drażnić, poruszyć jej spokój i ciszę. Kobieta zamknęła oczy tak jak sowa z prozy poetyckiej Herberta, która (...) *zamyka las dużym kluczem, bo jakby się tam zakradł kot, to by dopiero narobił szkody¹⁴*. Krótki katalogowy opis elementów obrazu brzmiałby następująco: we wnętrzu pokoju na łóżku zasłanym zieloną narzutą śpi kobieta, obok niej przechodzi kot. Dogłębna analiza obrazu pozwala na interpretację innego rzędu. Wartości plastyczne ujawniają uwewnętrznienie całej przestrzeni, pewne jej odrealnione, pokazują świat ambiwalentny, świat ducha. Wiele elementów obrazu i rozwiązań formalnych świadczy o podskórnym napięciu – niepokoju obecnym w śpiącej.

Olga Wójcik

¹² J. Iwaszkiewicz, *Od tłumacza*, [w:] Soren Kierkegaard, *Bojaźń i drżenie. Choroba na śmierć*, przeł. J. Iwaszkiewicz, Łódź 1972, s. XXXII–XXXIII.

¹³ Z. Herbert, *Hermes, pies i gwiazda*, Wrocław 1997, s. 116.

¹⁴ Ibidem, s. 151.

Zofia Zarębianka

„Siała mama siałatę”

Pan Credo w poszukiwaniu esencji istnienia

O nowych wierszach Alfreda Marka Wierzbickiego

Niewielki objętościowo najnowszy tom wierszy ks. Alfreda Wierzbickiego zatytułowany *Szyszka pinii* przynosi utwory gęste od treści, przesycone emocją i naznaczone empatią. To odsłaniające się przed czytelnikiem wielopoziomowe bogactwo znaczeniowe i uczuciowe pozostaje w odwrotnej proporcjonalności w stosunku do skromnej liczby pomieszczonych w książce wierszy i nie może nie poruszać. Prawdopodobnie siła oddziaływania zostaje zwiększona właśnie przez ową kondensację treści, dzięki czemu uzyskany zostaje efekt intensyfikacji semantycznej i przede wszystkim – uczuciowej. Poeta uderza bowiem w struny wibrujące w każdym chyba człowieku, uruchamiając współmyślenie i współodczuwanie z lirycznymi zdarzeniami przywoływanymi w tekstach. Dotyczą one pozornie różnych obszarów, a zakres reflektowanych tematów obejmuje tak przestrzennie jak i chronologicznie rozległą przestrzeń. Z jednej strony mamy w tomie obszerny blok wierszy przywołujących znane bohaterowi lirycznemu i ważne dla niego z jakichś względów postaci. Z drugiej strony liryczne ja sięga pamięcią do swojego dzieciństwa i ewokuje fragmentaryczne obrazy momentów, które po latach okazały się mieć charakter formacyjny. Tu szczególne miejsce zajmuje wiersz *Siałata*¹, o niby to lekkim i anegdotycznym tonie, w istocie jednak definiujący przesłanie całego tomu, sprowadzone do starania poety i jego usilnego pragnienia wyrażonego w końcowej frazie *aby trwała esencja trwania*. Uchwycenie tej esencji i próba jej werbalizacji wydają się określać nadrzędny cel poetyckiego działania, mającego poprzez nazwanie dać istnienie i zapewnić trwanie. Twórczy gest poety wykazuje w tym aspekcie pewną analogię z Bożym gestem stwórczym. Trzeci krąg tematyczny stanowią wiersze będące zapisami reminiscencji podróży, zawierające odwołania do zwiedzanych miejsc, obiektów, dzieł sztuki i na ich kanwie budujące jakąś pointę natury filozoficzno-egzystencjalnej. Od tego rodzaju tekstów w naturalny sposób

¹ Str. 12.

czytelnik zostaje wprowadzony w kolejny obszar, na który składają się utwory, napisane w wyniku impulsów społecznych, sytuacji międzynarodowej, problemów wobec których ja liryczne staje trochę bezradne, ale których jako czujący humanista nie może pominąć. Ponad tymi kręgami problemowymi konstytuuje się w tomie istotny dla jego przesłania wymiar refleksji metafizycznej, czy wręcz religijnej. Nie mam na myśli samej tematyki czy motywy, ale klimat rozważań i ich wydźwięk odnoszony do rzeczywistości absolutnej. Podmiot liryczny wędruje w wierszach od przeszłości, niekiedy odległej, znanej mu jedynie z przekazu, najczęściej rodzinnego, po aktualne wydarzenia w Polsce i na świecie, w których, jak można się domyślać z zawartych delikatnych sugestii, sam uczestniczył jako ekspert i etyk. Poruszany zakres problemowy jest równie rozległy. Poeta podejmuje zatem zarówno zagadnienia osobiste i prywatne, w których wyeksponowana zostaje wrażliwość lirycznego ja, jego uważność i pewna powściągliwość, przyczyniająca się do obiektywizacji spostrzeżeń i dająca wrażenie krytycznego dystansu do siebie samego, obserwowanego jak gdyby przez odrębną od siebie samego instancję. Z drugiej strony, znaczna część wierszy stanowi zapis reakcji na dziejące się wokół ja lirycznego wydarzenia publiczne, przefiltrowane jednak zawsze przez indywidulane przeżycie i zinterioryzowane, potraktowane więc jako swoje własne i najgłębiej angażujące. Współczucie i czułość stanowią też zasadniczy wyznacznik postawy podmiotu wobec rzeczywistości, stając się głównym czynnikiem decydującym o jego wewnętrznym profilu, a zarazem czynnikiem kompozycyjnym nadającym całemu tomowi wewnętrzną spójność. Współczucie i czułość determinują zatem całokształt odniesień lirycznego ja względem otaczających je zjawisk i ludzi. Cecha ta wskazuje na duchowe pokrewieństwo pomiędzy utworami Wierzbickiego a twórczością poetycką, szczególnie późną, Adama Zagajewskiego, będącego, jak daje się zauważyć, intelektualnym partnerem, ale i patronem poezji lubelskiego twórcy. Postać Zagajewskiego zostaje przywołana wprost w kilku wierszach, przez co wspomniany patronat duchowy zyskuje oparcie w tekstach, nie jest zatem jedynie domniemaniem interpretatora, czy jakimś luźnym skojarzeniem nieznajującym potwierdzenia w materii samych utworów. Obu poetów łączyła więc przyjaźń, zachowanej w pamięci Wierzbickiego jako istotne i nieprzemijające – mimo śmierci autora *Mistyki dla początkujących* – doświadczenie duchowe. Jeśli wskazywać na konkretne powinowactwo, to szczególnym tekstem Zagajewskiego, wobec którego można by rozpatrywać wiersze Alfreda Wierzbickiego, byłby utwór *Spróbuj opiewać okaleczony świat*. Także u Wierzbickiego świat jest okaleczony i skażony przez

przejawiające się w różnych formach zło. Świat zraniony przez zło z jednej strony wywołuje protest i niezgodę lirycznego ja. Z drugiej strony rodzi też jednak współczucie, empatycznie wyrażone zwłaszcza w wierszach poświęconych wojnie na Ukrainie. Tragedia tej wojny, ale też tragedia uchodźców na polskiej granicy wschodniej, a także wszystkich innych uciekinierów tracących życie w odmętach Morza Śródziemnego są obecne w wydarzeniowej ramie budowanej w tomiku, nadając podejmowanej refleksji charakter politycznego, społecznego i kulturowego konkrety, dzięki któremu utwory nabierają cech aktualnej relacji zdawanej przez świadka, jako który występuje ja liryczne wcielone w rolę czujnego i czulego obserwatora, a zarazem wnikliwego komentatora o wyraźnie ukształtowanych przekonaniach aksjologicznych i nastawionego na odbudowę wartości. Pod tym względem w wierszach Alfreda Wierzbickiego odkryć się daje inne jeszcze ważne pokrewieństwo. Mam na myśli twórczość Zbigniewa Herberta, którego Pan Cogito znalazł współtowarzysza w personie Pana Credo, wykreowanego przez Wierzbickiego własnego sobowtóra, postać którego nawiązuje do Herbertowego bohatera, ale też i dopełnia go o znaczący element metafizyczny. Tak więc Zagajewski i Herbert jawią się jako poeci ważni w twórczej biografii księdza poety i księdza filozofa, co znajduje odzwierciedlenie tak w bezpośrednich nawiązaniach i aluzjach, jak i w samym toku jego poetyckiej frazy, wybrzmiewającej w podobnym, co u obu przywołanych autorów, tonie i płynącej na podobnych duchowych częstotliwościach. Od razu też dopowiedzmy, by rozwiać potencjalne wątpliwości, wskazane pokrewieństwo nie jest w żadnym stopniu wyrazem literackiego naśladownictwa czy wtórności wierszy Wierzbickiego, lecz wynikiem podobnej wrażliwości oraz konsekwencją przyjęcia tego samego paradygmatu wartości uznanych przez wszystkich trzech poetów za życiowy i artystyczny fundament.

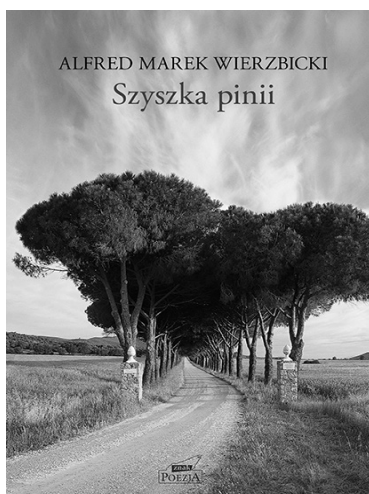
Liryczny głos w *Szyszce pinii* zdaje się należeć do samego realnego poety, wykazując z nim tożsamościową identyczność, dzięki czemu czuć w tych wierszach autentyzm doświadczenia i wewnętrzną prawdę: nie ma tu, jak się wydaje ani sytuacji abstrakcyjnych, ani wydumanych na użytek literackiego efektu i podporządkowanych celom estetycznym. Nie tyle bowiem o uzyskanie artystycznych rezultatów chodzi w tych utworach (co nie podważa skądinąd ich surowej piękności), ile o namysł nad najpoważniejszymi kwestiami etycznymi i filozoficznymi rozważanymi w kontemplatywnym zamyśleniu przez bohatera utworów. Liryczne ja o naturze refleksyjnej nie poprzestaje jednak na snuciu egzystencjalnych dywagacji, lecz wykazuje też swoje aktywne zaangażowanie w bolesne i trudne, przejmujące go trwogą sprawy świata.

Bohater łączy więc w sobie naturę kontemplatyka i filozofa oraz cechy kogoś aktywnego, niepoprzestającego na teoretycznym oglądzie, ale włączonego w świat i przeciwstawiającego się złu nie tylko słowem, ale i czynem. Zarysowane cienką kreską sytuacje liryczne w wielu wierszach przywołują z reporterską pasją sceny z wojny na Ukrainie, poddając je od razu syntetyzującej problematyzacji i rzutując „aktualne” „tu i teraz” w wymiar pytań o naturę bytu, o kondycję człowieka, o pochodzenie zła. Równocześnie, mimo wyraźnych i nieukrywanych przez ja liryczne aluzji autobiograficznych, sensy tych wierszy nie zamykają się w granicach prywatności, lecz konstytuują rozległą przestrzeń uniwersalną, zamieszkiwaną przez człowieka jako takiego. Indywidualne, najgłębiej własne i prywatne spotyka się tu zatem z uniwersalnym. Pojedyncze przekracza monadyczną granicę, sytuując refleksje lirycznego bohatera w horyzoncie troski ostatecznej. Właśnie te zderzenia i przenikanie się różnych perspektyw chronologicznych, przestrzennych i personalnych wydają się cenną wartością omawianego tomiku, pozwalając na różne tryby lektury i odsłaniając polisemantyczną strukturę zawartych w nim wierszy.

Szyszka pinii jest w polifonii poetyckich zjawisk w Polsce głosem ważnym i odważnym, potwierdzającym nieprzemijającą rolę poezji jako środka międzyludzkiej rozmowy o sprawach najważniejszych. Pochodzące z wiersza Raptularz sycylijski słowa *Lęk przetrwać harmonię // uwić gniazdo nadziei wbrew nicości* odsłaniają rozumienie przez lirycznego bohatera swojej roli jako poety – strażnika wartości fundamentalnych.

Zofia Zarębianka

Alfred Wierzbicki
Szyszka pinii
 Wydawnictwo Znak Wizerunkowe
 Miejsce i rok wydania: Kraków 2024
 Format: 165 x 190
 Oprawa: Miękka
 Stron: 56
 ISBN: 978-83-83671-78-9



Janusz Andrzejczak

**Śń o płocie, o zajęczkach
i innych stworzeniach z baśni**

„Śń”, jak śni, jak baśń...

W półcieniach, światełkach
zasłony i ściany...

Już lampkę córeńko zgaś
O płocie ci baśń opowiem
O płocie drewnianym...

Był sobie płot. Był on taki sam jak inne płoty: składał się z pionowo, obok siebie ustawionych desek zaostrzonych na końcach i odgradzał sad i poletko warzyw od pól, łąk i wiejskiej drogi.

Na początku pachniał sosnową żywicą i był tak szczelny, że kury ledwo zdołały przez szpary w deskach włożyć głowę i zdarzało się, że gąsienica na kapuście widząc ich zmagania, śmiała się z nich w oczy, machając im na pożegnanie ogonkiem.

Oczywiście do sadu i ogrodu nie miały również dostępu sarenki, a zwłaszcza zajęczki, które jak wiadomo, uwielbiają przykicać na gotowe wyborne dania. Raz tylko udało się im wejść poprzez przewalony przez dziki płot, nieomal tuż za nimi. Dzikie świntuchy najadły się, narobiły szkód i sobie poszły. Gospodarze widząc rano poprzewracane główki kapusty, powyrywaną nać marchwi, zagony sałaty bez sałaty, krzaki ogórków bez ogórków, złapali się za głowy!

Gospodarz poszedł do drewnutni po kilka nowych desek, po młotek i gwoździe i płot naprawił.

Poza oddzielaniem od sadu i warzywniaka miał płot także inne zadania. Przede wszystkim służył do przewieszania dywanów, chodników, odzieży roboczej, także różnego przeznaczenia szmat, a także – do osadzania na jego żerdziach kaloszy, bamboszy, trepów, wiader, kamionek i garnków.

Poza gospodarskimi zadaniami miał płot także funkcje towarzyskie. Przysiadaly na nim bociany, szpaki, wróble, gołębie, pliszki, czasami dudek i inne ptaki. Oczywiście siadały też na nim muchy i inne owady, na które z kolei polowały pająki. Wąska przestrzeń pomiędzy jedną a drugą żerdzią była znakomitym miejscem na rozpięcie sieci. Płot był też ulubionym miejscem dla kota. Ten uwielbiał przechodzić pomiędzy deskami tak ciasnymi, że przed nim mogła się przecisnąć tylko mysz, kochał się na niego wdrapywać, ale i kłaść, chodzić po zaostrzonych końcach i oglądać z góry świat pod nim.

Płot był zadowolony ze swojego życia: był użyteczny, a przy tym nie musiał nic robić, o nic się starać.

Dopóki był młody, dopóki pachniał żywicą...

Aż żywicę wypłukały deszcze, aż wiatr, mróz i słońce spowodowały spękania w deskach. Jeszcze niegdyś w miarę gładkie, teraz stały się chropowate i nawet kot musiał uważać, by w jego łapy nie wbiła się drzazga. Oczywiście dla kur, zająszków i zajączków szpary w deskach były zachętą do wejścia i na nic było łatanie płotu! W dodatku od ziemi wdała się próchnica i pojawiły się dziury, przez które chętnie wchodziły na czereśnie i jabłka wiejskie łobuziaki.

Gdy w płocie powypadały ze starości sęki, gdy zaatakowały go grzyby i owady karmiące się drewnem, pewnej księżycowej nocy płot... rozpadł się.

A zaczęło się od tego, że goniona przez nietoperza ćma zatrzymała się zdyszana na jego końcu. To wystarczyło, by jedna sztacheta nie dała rady udźwignąć ciężaru małej ciemki i tak jedna sztacheta po drugiej, jak klocki domina, cała konstrukcja płotu doznała nagłego zaćmienia i płot... rozpadł się.

Wtedy powychodziły ze swoich nerek zająszki.

Zająszki to takie stworki, które mają swoje podziemne mieszkania tylko w pobliżu płotów. Muszą to być płoty, płotki, tylko z drewnianych sztachet, z kijków, z wikliny i innych materiałów, które niegdyś żyły. Martwe płoty z betonu, z siatki ogrodzeniowej pozostawały martwe. Zająszki w ich pobliżu nie tylko nie kopały nor, ale nawet się do nich nie zbliżały.

Miały zająszki pazurki jak kotki, dzięki którym wspinały się na drewniane płoty, by było bliżej tego, czym się karmiły. A karmiły się...

zapachami z ogrodu. Najbardziej lubiły zapach marchwi, sałaty, kalafiora i kapusty, ale z rozkoszą wachały również koperek, szparagową fasolkę, pomidory i w ogóle wszystko, co rosło, nie gardząc tym, co ludzie nazywali „chwastami”. Tak, podobnie jak zajączki, miały zająszki długie uszy. Ale to nie były uszy do słuchania, tylko do wachania. Miały też ruchliwe jak u zajączków noski, ale służyły one do smakowania ogrodu, bez ugryzienia jakiegokolwiek rośliny!

I nagle zająszki straciły to, dzięki czemu mogły się rozkoszować tym wszystkim, czyli – piękny, drewniany, z prawdziwymi sztachetami – PŁOT!

Jako że same nie miałyby siły go odbudować, zawiązały zespół, który w jeden dzień poradził sobie z tym zadaniem!

Bez problemu namówiły do tego wszystkie baśniowe stworki ze wszystkich zaczarowanych i niby zwykłych ogrodów, a więc: one, czyli zająszki, a więc i nisie, i motyliszki, ćmiele, pszczołki, kucyki polne... Wszystko, co lata, skacze, wije się, pełza... wszystkie, wszystkie Robaszki, odnóże w odnóże odbudowały płot!

Który stoi po dziś dzień i to jest ten, który odgradza ciebie od wszystkiego, co nie jest warte baśni.

Janusz Andrzejczak

Joanna Jagiełło

Olaf i Stella

(fragment)

Nigdy nie sypiał zbyt dobrze. Jako niemowlak budził się często na karmienie, a jeśli nie, to po to, żeby poczuć obecność matki. Kiedy odeszła, jego sen stał się czujny, jakby wciąż coś mu zagrażało. Mama zawsze mówiła, że po prostu jest zbyt wrażliwy. Tak. Celne spostrzeżenie, w końcu w miejscu, gdzie mieszkali, było całkiem bezpiecznie. Ale tutaj? Nie miał pojęcia, jak inne foki mogą tak po prostu zapadać w głęboki sen na wolności. Przecież w nocy wszystko wydawało się groźne. Skały były chłodniejsze i bardziej szorstkie. Fale głośno biły o brzeg, a wiatr wiał tak mocno! Popychał chmury jak zdane na jego łaskę kłęby brudnej waty. Unosił wyrzucone na brzeg kawałki tektury, plastikowe butelki i suche trawy morskie. Co pewien czas z ciemnej morskiej toni wyskakiwała ryba, co powodowało, że Olaf instynktownie się spała.

Ale i tak najgorszy był las. Mroczny pas ciemnej zieleni ciągnący się za falistymi pagórkami wydm. Olaf nie miał pojęcia, co mogło się w nim kryć, ale co pewien czas do jego uszu dochodziły jakieś szelesty, trzaski, pohukiwanie i wycie. Odwracał się wtedy i wbijał wzrok w ciemność. Piassek oddzielających go od lasu wydm nie przypominał już złotego dywanu, jak za dnia. W tym świetle wydawał się szary (...) Wcale się nie zdziwił, że spędza następną bezsenną noc, wgapiając się w niebo, zamiast spać. Może gdyby nie chmury, zobaczyłby jakąś gwiazdę? Może dodałaby mu odwagi? A tak to nadal nie wiedział, czy bywają tutaj gwiazdy tak piękne i lśniące jak na tamtym niebie. Czy rzeczywiście są wszędzie, czy i w tej kwestii go oszukano? Jasne. Na pewno świetnie sobie poradzi! Cóż, na razie czuł się jak wyrzutek, który w dodatku prędzej czy później i tak umrze w głodzie. Wprawdzie trochę się już nauczył, ale czy to wystarczy? Nawet teraz burczało mu w brzuchu i to właśnie w nocy przychodziły te najgorsze, czarne myśli, za dnia jakby przeganiane przez wiatr (...)

Wiatr znów zawiął mocniej i Olaf zadrżał z zimna. Niby miał już całkiem grube, prawie dorosłe futro, ale gdy wiało na otwartej przestrzeni, czuł chłód. Tamte foki spały w trochę bardziej zacisznym miejscu i żyły gromadnie. Oddalając się od nich, narażał się na przeciągi. Przeskoczył na

skął, która miała pośrodku wyraźne wgłębienie. Może tam będzie przytulniej. Chociaż i tak przestał mieć ochotę na sen. W gruncie rzeczy mógł przecież zdrzemnąć się w ciągu dnia.

A gdyby tak... Może powinien sobie wyobrazić, że pełni straż? Jest na wachcie i czuwa nad snem pozostałych członków foczej wspólnoty. Są skazani na przytomność jego umysłu i refleks. Bo co, gdyby z lasu wyskoczył potwór albo z morza... Tam też przecież ich pełno: rekiny albo ogromne wieloryby, o których opowiadała mu kiedyś Matylda. Niby niegroźne dla fok, ale kto wie? Jeśli coś jest od ciebie sto razy większe, to jak może być niegroźne? Możesz umrzeć od jednego dmuchnięcia takiego stwora. Oprócz tego: statki rybackie, ciągnące za sobą groźne dla fok ogromne sieci, które mogą wylądować nagle na twojej głowie i sprawić, że przestaniesz oddychać. Olaf przypominał sobie o polowaniach. O kijach, na których końcu płonie ogień, o bolesnych, płonących kulach, które mogą wbić się w ciało. Okropność!

Tym bardziej ktoś powinien w nocy czuwać. Może powie to jutro innym. Jak ważną ma rolę i jak poświęcił się, nie śpiąc i czuwając nad ich bezpieczeństwem. Tak, naprawdę im to powie. I wtedy zrozumieją, że jest ważny. Szczególnie że...

Olaf zmrużył oczy. Nagle wydało mu się, że widzi coś w oddali. Co to może być? Zgarnął płetwą kilkanaście kamyczków i zaczął upuszczać jeden po drugim do wody.

– Statek, rekin, kruk. Przyjaciół czy wróg? Deska, stare gacie. Wróg to czy przyjaciel? Mewa, diabeł, potwór...

Tej rymowanki nauczyła go Matylda. I pokazała, że można tak rymować bez końca, żeby zabić czas. Ostatni kamyczek potoczył się pod jego płetwę. „Niby wyszło, że przyjaciel”, pomyślał Olaf. Głupia wróżba. Akurat! Przyjaciele raczej nie biorą się znikąd i nie pływają w nocy po morzu (...)

Kiedy tak dywagował, spoglądając w górę, stało się coś nieoczekiwanego. Wiatr, przez chwilę mocniejszy, przegonił chmury i odsłonił niebo, na którym pojawił się księżyc. Zupełnie jakby ktoś nagle zawiesił na nim gigantyczne, pomarańczowe kółko treningowe. Otaczały go świetliste punkciki. Gwiazdy! Wiatr ucichł, pozwalając Olafowi napawać się widokiem. I wtedy usłyszał plusk. Przestał być czujny! A przecież w morzu coś było! Jakiś potwór albo rekin, albo... Odskoczył w tył, żeby w razie potrzeby szybciej uciec, i z drżącym sercem przeniósł wzrok na wodę.

To coś płynęło w jego stronę. Księżyc świecił na tyle mocno, że Olaf od razu odetchnął z ulgą. To foka! Pewnie któraś z tamtych wyprawiała się na

nocne łowy i teraz wracała. Wprawdzie nie zauważył, żeby ktoś wyruszał w morze, ale być może na chwilę się zdrzemnął. Kiedy zwierzę się przybliżyło, Olaf zmarszczył brwi. Nie przypominał sobie, żeby kiedyś ją widział. A właściwie był zupełnie pewien, że to nieznajoma foka, bo... gdyby ją widział, na pewno zwróciłby na nią uwagę.

Wynurzyła się niczym Wenus z morskiej piany. Miała jasną, zgrabną głowę i największe, najciemniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widział. Ułożenie czekoladowych kropeczek nad brwiami nadawało jej pyszczkowi lekko zdziwiony wyraz. Smukła szyja plamkami przechodziła w ciemniejszy odcień szarości. Samiczka była nie tylko piękna, ale też od razu było widać, że ma klasę.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Świat nagle znieruchomiał. Wiatr ucichł, morze wygładziło się i przypominało ciemny jedwab, tak jakby piękna nieznajoma ubrała się w czarną, elegancką suknię i czekała, aż on podejdzie do niej i zaprosi ją... na przykład do wspólnego pływania.

Był jak sparaliżowany. Serce biło mu tak mocno, jakby pod skórą szamotały się wszystkie te śledzie, których nie złowił. Nie bardzo wiedział, jak ma się zachować, więc po prostu poruszył płetwą w przyjaznym geście, a ona lekko skinęła głową.

Joanna Jagiełło

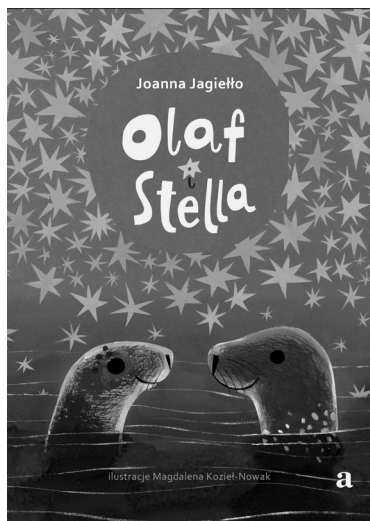
Joanna Jagiełło
Olaf i Stella

Kategoria wiekowa 6-8 lat
Premiera 23.04.2025

Ilustracje: Magdalena Koziół-Nowak
Format 165 x 216 mm
Oprawa twarda
Liczba stron 152

Wydawnictwo Agora dla dzieci
Warszawa 2025

ISBN 9788383801605



Alicja Patey-Grabowska

Konkurs

Dostojne jury w osobach: dwie muchy – Owocowa i Końska, Osa, i przewodniczący Komar, zebrało się na ściętym, szerokim pniu sosny w lesie liściasto-iglastym, aby wyłonić laureatów tegorocznego konkursu muzyczno-wokalnego.

Uczestników było sporo. Oprócz owadów, jak pszczoły, świerszcze, trzmiele, do konkursu stanęły ptaki: słowiki, dzięcioły, wróble, wrony, sowa.

– Selekcja musi być ostra – po wysłuchaniu kandydatów zaznaczyła Osa, która już z natury była kąśliwo-zgryźliwa. – Żadnych względów przyjacielsko rodzinnych.

– I partykularnych – dorzucił przewodniczący Komar, również złośliwy, szukający dziury w całym.

– Wzięłabym pod uwagę względy humanitarne – zabręczała cichutko Muszka Owocowa. – W mediach społecznościowych lasu dużo mówi się o wypadku trzmieła, podłamał sobie skrzydło i nogę.

– To nie ma nic do rzeczy – zasyczała Osa.

– Ale ma dobry wokal – upierała się Muszka Owocowa.

– Dalej, dalej, szybciej – denerwował się przewodniczący Komar.

– To weźmy pod uwagę ptaki. Wróble też mają talent wokalny. Pięknie ćwierkają, a jest ich coraz mniej – kontynuowała Muszka Owocowa – a dzięcioły grają na perkusji – dorzuciła.

– Uważam, że ptaki należy wyłączyć z konkursu. To nasi wrogowie. Bieźmy pod uwagę tylko owady – odezwała się Mucha Końska, pseudonim Giez.

– Tak, wyłączamy. Oczywiście – zgodził się przewodniczący Komar.

– No to wyłączmy – zabręczała Muszka Owocowa. – A więc kto?

– Świerszcze mają niewątpliwy talent – stwierdziła Mucha Końska. – Ale są banalne i kliwe. Ciągłe powtarzają ten sam motyw: Cyk, cyk, cyk, cyk. Trzeba być oryginalnym.

– Pszczoły mają dobry wokal i pracują nad głosem – rzekła Osa.

– Zgadzam się – odpowiedziała Muszka Owocowa.

– Ależ drodzy państwo, trzeba nowatorstwa, jakiś *performance* i osobiste zalety! – krzyknął przewodniczący Komar.

– Tak jest, tak jest, zgadzam się – zachrypiąła Mucha Końska.

– Tak, tak, musi być brzęczenie doskonałe – zgodziła się Muszka Owocowa.

– To chyba nie chcecie ze mnie zrobić laureata? – Niby żartem, niby z oburzeniem zawołał Komar.

– A dlaczego nie? Przewodnictwo, prezesura nie wykluczają nagrody. To funkcje honorowe.

– Ależ tak, tak! I po znajomości – dorzuciła mucha Końska.

– Także ze względów humanitarnych – dorzuciła Muszka Owocowa.

– Humanitarnych? – zdziwił się Komar.

-- Ależ tak, tak – powtórzyła Owocowa. – O mało pan nie stracił życia, kiedy bzycał pan nad uchem tego drwala, który przysnął pod krzakiem jałowca. Zamachnął się ręką wielką i ciężką jak łopata. Dobrze, że pan się wymknął, ale zdołał go pan jeszcze ukąsić i zażyć wrogiej krwi.

– Bohater! Tyle krwi wroga wypił – krzyknęła Końska. – Więcej niż ja.

– Do rzeczy, drogie panie. Dziękuję za miłe słowa i uznanie. No więc absolutnie wykluczamy ptaki. Kto nam zostaje? Świerszcze banalne, zresztą nie nasi krewni. Pszczoły zbyt rzeczowe i pracowite. Prawdziwy artysta musi się skupić tylko na sztuce. No więc kto? – zastanawiał się Komar.

– Tylko pan, drogi przewodniczący. Wokal wspaniały. To pana bzz, bzz, bzz doskonałe. Jeszcze bohaterski, nieprzejednany, świetny strateg w zaskakiwaniu ofiary – zachwycała się Mucha Końska.

– No i nasz ziomek, to też trzeba wziąć pod uwagę – zachwycała się Muszka Owocowa.

– Dzięki, dzięki, ale gdy leśne społeczeństwo dowie się, że przewodniczący jury wybrał siebie na laureata, wszyscy rzucą się na mnie. Będzie istne polowanie. A szczególnie ptaki mają na mnie chęć – bzycał pan Komar.

– Niech pan przybierze pseudonim, na przykład Kulawy Bas. Wzbudzi pan współczucie, szacunek, poprze pana „Leśne towarzystwo charytatywne”, którego jestem członkiem – dodała skromnie Muszka Owocowa.

– Dooobrze – zgodził się niby z ociąganiem Komar.

– Brawo, brawo – krzyknęły jurorki.

– Trzeba dziś jeszcze ogłosić wynik konkursu: I nagroda dla Kulawego Basa – oznajmiła Mucha Końska. – Trzeba zawiadomić media

społecznościowe pól i lasów, na Facebooku, Twitterze i na plotkarskim Pudelku – kontynuowała.

– Najwspanialszy głos? Hi, hi, hi – zaśmiała się cicho, złośliwie Osa.

Może to ona chciała po znajomości otrzymać pierwszą nagrodę. Wszak brzęczy, syczy, kąsa jak mało kto. Ale stało się i już. Lepiej być w dobrych układach z przewodniczącym. Poza tym ziomek.

Alicja Patey-Grabowska

Janusz Andrzejczak

Nadziejna

Tak naprawdę
tu nic nie żyje
wszystkiemu wszystko
obce i wrogie
rzeka nawet
jak żmija się wije
wszędzie błoto
kamienie i ogień

A pomiędzy
nic sobie gniazdko
na niczym
z niczego
uwiło
Przyszło tchnienie
i wśród nicości
skiełkowała
nadziejna
miłość

Po to

Co mnie tam ciągnie
po co tam zmierzam
do kogo
do czego

Zew jakiś
ruszam
niczego nie żal
niczego

Pieśń niesie tkliwa

tęskna straszliwie
wzywa i wzywa
liściem, igliwiem

Już wiem dlaczego
kto, na co, po co
tak tęsknie śpiewa
bym ruszył w trasę
z pomocą

Ten, który łaknie
mojego drzewa
by czuć się w pełni
lasem

Podobno

Pozwólcie, że
będę szedł z tyłu
bo chcę, by droga była
jeszcze bez moich śladów
bez mojego pyłu

Pozwólcie, że
szedł będę mimochodem
ja nieco z tyłu
a wy, nieco przodem

Pozwólcie, że
będziemy iść
osobno, a razem
razem, ale osobno
bo i tak jest nam wspólnie
po drodze
podobno

Przepis

Składniki:

pół skoku zająca
jeden półkrzyk kani
trawa rosą łzawiąca
wiatr, co się na kolcu zranił
cienie liści zielone
i białe od tarniny
sok z jaskółczego ziela
krew biała z wilczomlecza

Przepis:

To wszystko zmieszać
w dniu, który potwierdza
i w nocy, która wszystkiemu
wszystkiemu
zaprzecza

To nie jest tak

To nie jest tak
że wszystko twoje
to najmniejsze
Mycoplasma pneumoniae
i to największe
Armillaria ostoyae

To nie jest tak
że wszystko możesz
gdy w siebie uwierzysz
że czerń i biel zniknie
i wszystko w kolorze
bo wszystko ci się należy

Uwierz w siebie
z sobą się pogódź

ale na innych
miej serce otwarte

Dla Najwyższego
jesteś Kimś
dla najniższego
żartem jesteś
tylko żartem

Janusz Andrzejczak

Jerzy Binkowski

Wiosenny spacer

chce wyjść z własnego cienia
a cień nie chce

kolejny dzień
żona jak cień i słońce

konwalii kropelki dźwięczą
wdzięcznie w literkach

jest bez dookoła na wyciągnięcie ręki
lilak taki jeden jedyny w tej zagrodzie
biegnący chłopiec odwrócił głowę i krzyknął
Dzień Dobry Panu
nie znałem biegnącego chłopca
a wiedziałem o nim jedynie
że biegnąc odwrócił głowę i usłyszałem
Dzień Dobry Panu

pragnę nie zapomnieć
że poszedłem na truskawki
i teraz zjadam trzy dorodne
truskawki p o l s k i e

ciała nasze niesie czas
a miłość jak światło
nie pozwala się dogonić

pośród Starców
na ławeczce
na słońcu
na trasie
w drodze

przymrużam w oku
całą niedorzeczność słów
oczekuję siebie
spacerując w odwrotnym kierunku

Ciebie w sobie

nigdy byś mnie nie dogoniła
gdybym dzisiaj opuścił ziemię

gravitacja osłabnie
więc szybko będę się oddalał

i będę widział w sobie ciebie
jak echo którego nie sposób dotknąć

25.06.2025

Drive him back

Ewie Stankiewicz i Glennowi Jørgensenowi

Drive him back, Lord, from those doors
against which he pounds with both fists clenched.

The head swells from stinking fog
from 60,000 fragments driven into the misery of the earth.

Drive him back, Lord, from those doors of death,
for in vain, in the naked void, he licks shadows off the wall.

(Tłumaczenie – Beata i Patrick Lahey)

10.04.2025

Jerzy Binkowski

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

(z tomu *Fala i piach, wodozbiór*)

Niedosiężność niezgłębioność

Woda i piasek
Między życiem a śmiercią
Granica strachu

Woda i niebo
Cienka linia tęsknoty
Ból nienapojenia

Woda i ciemność
Gruba lina szaleństwa
Nożem po oczach

Woda i kamień
Początek świata koniec
wszechrzeczy wszechrzeczny
plusk.

Mapy

Jak dotrzeć do skarbu
znajdziesz na żaglowym płótnie.
Nie, na papierze torebki po cukrze,
rozsypane porty, perły i dukaty kaszy, grochu,
skręcone nici brzegu.
Rozprute worki zatok.
Sypią się tajne gwiazdki, krzyżyki.
Krwią pisane, sokiem owocu,
inkaustem, rdzą.
Po trochu błedną

szlaki, o których się śniło.
 Niewiele już można, choć tyle.
 Będzie na koniec miło,
 miło im,
 jeśli torba wytrzyma,
 nadmuchać ją
 i salwą honorową
 pożegnać,
 przerwać sny.
 Noc będzie bezgwiezdna.

Dostęp do morza

Nadciąga
 powiewając,
 zмага się
 z piaskiem i wiatrem.

Wdycha,
 dotyka,
 depcze,
 maca,
 chwyta.

Czuje
 nosem, wargami, powiekami, oczami
 pismo plaży;

słoność, mokrość,
 rybność i muszłość,
 rybackość, portowość,
 smażalność.
 Odbijalność blasku.
 Cieleśność.

Słyszy
 szumy, uderzenia, krzyki, zawodzenia.

Gniecie zwycięsko
 piach zdradliwy, ruchomy,
 kaszasty i mączny,
 zimny i gorący.

Zanurza, zamacza, trze, wykręca, suszy
 siebie,
 aby objąć,
 ogarnąć.
 Bez patrzenia.
 Bez widzenia.

Katarzyna Boruń-Jagodzińska

Katarzyna Boruń-Jagodzińska
Fala i piach. Wodolibiór
 Wyłowione, odcedzone wiersze własne
 i przekłady z języka czeskiego
 Fotografie: Piotr Życieński

Wydawcy: Oddział Warszawski
 Stowarzyszenia Pisarzy Polskich
 i Wydawnictwo AULA
 Warszawa 2025
 Stron 92
 Oprawa miękka
 ISBN 978-83-965523-8-9



Cezary Maciej Dąbrowski

Los Agawy nie jest przesądzony

*Grzegorzowi Łatuszyńskiemu**

Powiadają, że agawa kwitnie krótko,
raz na kilkanaście lat, potem umiera.
Powiadają, że jej soki leczą, z niej to
pokarm, pędy zaś służyły za domostwo.
Z niej sprawiano odzież i ciepłe okrycie,
a i nadto papier. Z niej opał i mydło,
przybory do szycia. A po przetworzeniu
trunek znamienity, który rytuałem bywał...

Bywa tylko ozdobą, dla tych, co nie mogą
dostrzec w niej nic więcej.
Bo i już nie widzą, a i nie te ręce.
Kwiat jednak, gdy wzniesie, pnie się tak wysoko,
że i ślepiec dojrzy, jak jej pęka serce.

Tu przecież nic dodać nie musisz, Poeto.
Twoją to rozbłysło aureolą piętno.
I gdy już się stało – a życie jest po to,
by hołdować kwiatom, które wcześniej więdną –
Dzieło, jak korona, odchodzisz w nieznane,
jakbyś już nie musiał czekać na spełnianie.

Przyjmijcie Poezję nie-ziemskiej Agawy,
co się korzeniami w suchą glebę wczepia.
Ta metamorfoza niełatwa w uprawie;
pokłuty igłami – odchodzi poeta.

8 maja 2023 r.

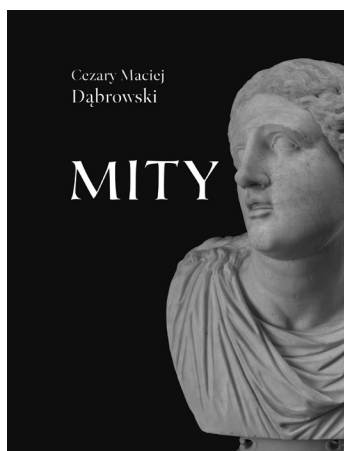
Wiersz pochodzi ze zbioru *MITY. Opowieść nie tylko o Kresach* (LTW 2024). Był prezentowany przez autora podczas Biesiady Literackiej w Domu Literatury w Warszawie 24 września 2024 roku.

* **Grzegorz Łatuszyński**, urodził się w maju 1933 roku w Zdzięciole koło Nowogrodka. W kwietniu 1946 wraz z rodzicami został wysiedlony do Polski. Poeta, prozaik, krytyk, sławista, tłumacz, dziennikarz i edytor. Autor licznych dzieł translatorskich, w tym dwutomowej antologii poezji polskiej w przekładach na język serbski: *Сто савремених пољских песника* (*Stu współczesnych poetów polskich*). Założyciel i redaktor naczelny Oficyny Wydawniczej „Agawa”. Zmarł 27 lipca 2020 w Warszawie.

Mój wydawca.

Cezary Maciej Dąbrowski

Cezary Maciej Dąbrowski
Mity. Opowieść nie tylko o Kresach
 Wydawnictwo LTW
 Łomianki 2024
 Stron 90, oprawa twarda, A5
 ISBN 978-83-7565-852-1



Andrzej Książek

Aforyzmy

Rzeczywistość przerasta zagubionych w sobie. Nieodnalezionych dla siebie.

Trzeba stracić lub zatracić siebie, żeby zrozumieć jak cennym darem jest życie.

Zachowujemy się tak, jakbyśmy byli nieśmiertelni. A tymczasem śmiertelność czyha. Wystarczy chwila nieuwagi.

Z obfitości serca usta mówią prawdę i tylko prawdę, choćby była zaprzeczeniem i negacją tej obiegujowej, powszechnej.

Kto kontroluje przeszłość, kontroluje przyszłość. Kto kontroluje teraźniejszość, kontroluje przeszłość.

Propaganda z tytułem naukowym to nadal propaganda.

Każdy kraj wymyśla własną historię. Narracje historyczne są sprzeczne. Istnieje konflikt narracji. Na skalę europejską, światową.

Nie ma obiektywnej narracji historycznej. Historię tworzy się na bieżące potrzeby i cele polityki.

Prawda nie ma rodzajów. Nie odmienia się przez przypadki ani osoby.

Kiedys rymostok był na marginesie.

Wiersze

Słowa

Są słowa które budują mosty.
Są słowa które niszczą
pozostawiają ruiny i zgliszcza.
Przepaść nie do pokonania.

Są słowa magiczne
które w cudowny sposób
otwierają okna drzwi.
Wpuszczają do środka świeże powietrze.

Są słowa które nie pasują do rzeczy
które trzeba dopasować.
Jak zgubiony klucz do zamka zamkniętego
od wewnątrz.

Pamięć

Pamięć to nie kult popiołów.
Cześć oddawana cieniom.
A ogień który nie gaśnie.
Podsycany wznosi się w górę.
Jak płomień dziękczynny.
Bez imienia i nazwiska
na monumencie.
Trwanie bez przerwy.
Czas przyszły bez przeszłego
nie istnieje.
Tu korzenie.
głęboko wrosły w ziemię

Matrix

Gdzie kończy się rzeczywistość.
Gdzie inny poziom.
Płaszczyna.
Rzeczy mieszają się z wyobrażeniami.
Konfabulacje dominują nad
realiami.
Trudno oddzielić koniec
od początku.
Ogon od paszczy krokodyla.
Nasze nastawienie.
Orientacja w terenie.
System którego jesteśmy częścią.
Jak matrix.
Cienie w jaskini Platona.
Autentyczność sterowana z zewnątrz.
Kopie trudno odróżnić od
oryginału.

Andrzej Książek

Adam Wiesław Kulik

Gdybym przyszedł jeszcze raz

jestem z wszechmocnej pustki
jestem jakbym miał nie być
słowo po słowie
składałam siebie po omacku
co jakiś czas stawiam diagnozę
odwiedziłam wiele miast i świątyń
lecz czy jestem mądrzejszy od chłopca
który nocą wykrał się z domu
by malować śnieg

gdybym przyszedł jeszcze raz
gdybym wrócił
udrękę przekułym w ufność
skalę obowiązku wyrównał sprawiedliwie
wciąż nienasycony

nie wrócę
bo nie wraca nic
z podniesioną głową do końca
z żarem w oczach
na przekór
w niedowierzaniu

ballada musi się spełnić do końca

dwie jaźnie

jak blisko ta cisza co ledwie jaśniej i gra
łatwo stąd zrozumieć truciznę i kochanków
słowa zamykają się z szelestem
lecz świat malowany starannie mija się

z drugim z tym obok
z ciszą o której chcę mówić
drżą palce w rozczepionej witce

...kiedy już się wyprowadzę

kiedy już się wyprowadzę
zimy nadejdą jak zwykle chłodem i z zaskoczenia
wiosny pierwszymi konwaliami
odurzą dziewczyny i kobiety
paranoicy nocami snuć będą nowe wojny
mężczyźni sposobić się do bitew
bogacze w udręce sprawdzać stan kont
a dzieci z krzykiem i śmiechem biegać
ziemia jak zawsze zacznie oddychać
zakochani szeptać swoje tajemnice
krój ubrań subtelnie zmieni kształt
chitonu przecież już nikt nie nosi
dziewczyny z wdziękiem pobiegną w świat
każda z nadzieją i gałązką bzu
rzeki popłyną jak płyną

kiedy już wyjadę
przez czyje nozdrza rozpoznam
szklisty zapach mroźnego dnia
i pręgę pękającego lodu
niepokój majowego ranka
czyimi oczami przyjdzie do mnie
zmęczenie w letnie południe
i skwar i zapach koszonego zboża
jesienne rozkołysanie drzew na wietrze
przyłot żurawi w marcu
i pełen żalu odlot
wysoko w dali
w cichości nocy

jak siebie odnajdę kiedy odejdę

bez bólu każdego dnia
rzucanych skąpo okruchów radości
bez dzieci bez moich chłopców
bez słów i wzruszeń
jak wejść w ten kształt bez kształtu
bez smaku i zapachów
bez koloru i światła nawet odbitego
jak będę nie będąc

Pan Doliny

przyszędłem nocą, ukradkiem
niechciany
nie czekał na mnie nikt
jak wyrwać z piersi ten ból
biegałem
od wzgórza do wzgórza
od domu do domu
od człowieka do człowieka
z twarzą
martwiejącą dzień po dniu
rok po roku

spopielone przyjaźnie
spazmy
opar tropików
zniewalający smutkiem

miłość poznałem późno
że jest
i że jest matka i brat
ból matki – wielki jak niepewność jutra
mój – zadawniony wracający
nie do oswojenia
tak zastygliśmy
w uczuciach przeraźliwie nadzy

a obok krzyk i śmiech
 życie łapane szybko w udręce
 sny wracające uparcie jak ból
 w rytm pulsowania krwi
 jakbym był winien
 jakby ktokolwiek był winien
 jakby to miało jakikolwiek sens
 otulony szczelnie sobą
 trwałem

kochały mnie kobiety
 nie moje
 prócz tej która najbliżej
 i ja też próbowałem kochać
 nieswój
 zawsze w czekaniu

życie ma sens skoro jest
 nawet gdy lewitujesz nad kładką
 wyrwaną nagle spod stóp
 zawsze jest jutro

wielka jest moc Tego który mówi
 stań się
 i mówi: stań się tak
 jakby spisywał na karcie papieru
 dzień po dniu

wielka jest moc
 i wielka tajemnica przeznaczenia

wielki akt

po alejach parkowych przechadza się
 w sobie chowa słowa najprawdziwsze
 komu wyzna tęsknoty
 zapomniane ewangelie rzeczy

kto usłyszysz jej żywiczny śpiew
jej słońca dla kogo tańczą
jej głodne ryby komu oddadzą się w ręce
drży ze szczęścia najbardziej kochająca
przed pierwszym pocałunkiem
choć płacze goreją tuż

dreszcze przenikają krzyż i uda
aktorzy zapałtrona w niebo
z nieprzeniknioną twarzą
jakby mknęły w niej tłumy

jak jej naprawdę na imię
kto jej umarł że jest taka

Adam Wiesław Kulik

Gabriela Kurylewicz

Postanowienie

Zamienię kurz
w gwiazdny pył,
książki i papiery
z filozofią i poezją
rozbłysną –
i taktownie, równo
poustawiają się
w architekturze domu.
Stary fortepian przemienię
w fortepian z orkiestrą
symfoniczną, brytyjską.
A wszystkie uratowane
piwniczne moje ławki i stołki
ustawię w chodnik i most
do morza.
Zaś morze – stanie się
oceanem życzliwości,
tak czulej, że z ciszy
usłyszają nas najważniejsi –
święci, aniołowie, Bóg
i też moi rodzice
w bocznych krzesłach
(jak Mama zawsze lubiała,
w 13 rzędzie na parterze).
Spokojnie podamy –
zawiniątko uczciwych myśli,
bukieciak polnych wierszy.
Tak będzie w wyłącznie
szczęśliwej wieczności.
To wszystko prawda,
choćby jedynie
w moim obrazie.

25 VI 2025

Świat wciąż jest

Świat wciąż jest.
Rozejrzyj się.
Jest kolor zielony,
a także błękit srebrny,
złoty, szary,
są wszystkie barwy
i światłocienie
i trwa kosmos dźwięków
czystych i złożonych.
Gdybyż w tej minucie
ludzie zaprzestali
bombardowań,
a zwłaszcza kłamstw
o ich zaprzestaniu
rzekomym,
gdyby sporządzili
w tej minucie lub godzinie,
niczego nie byłoby trzeba
zmieniać, poprawiać
i eksploatować
w naturze Ziemi,
ni w innych planetach,
księżycach i gwiazdach.
Gdybyż tylko naczelnicy
szympansowicze
stali się myślącymi
i życzliwymi jednostkami,
w zgodnej, duchowej
rodzinie –
uroda wszechświata
byłaby ocalona
i Bóg jeszcze
przez chwilę
zostałby z nami.

24 IV 2025

Piotr Müldner-Nieckowski

Wycięcie drzewa

Kiedy drzewo ma być ścięte,
trzeba mu robić otwory w korze,
żeby wyciekła żywica.
Wtedy lepszy jest surowiec.

Zrobione z niego krzesło
nie klei się do spodni.

Staliśmy tam tydzień,
nie popłynęła nawet kropla.

Wygląda na to,
że las był nam przeciwny.
Zdejmowanie broni z ramienia
byłoby śmieszne.
Drzewa na kule są niewrażliwe.

Jeden z nas nie mógł się przemóc,
zrobił to nocą, sosna się schyliła
i go przygniotła.

Nikt o nim nie będzie pamiętał.
Takich traktują jak głupców.
Jego imię znikło w archiwum.
Ale jest ten poemat.

To są ptaki

Te ptaki przyleciały wiosną
z dalekiej Afryki To są ich te ptaki
które są teraz nasze
a oni mówią że Będą ich Na zawsze
gdy za pół roku Jako nasze Na wieczność
I nie pozwalają ich nazywać po polsku
lecz my ich nie nazywamy po sudańsku

nasuwają pióra na czarne oczy
o ciepłym bocianim spojrzeniu
Tak
Cały rok korzystają z lotu
nad ziemią której końca nie znają
aby nie wpaść w pułapkę na słońce
Słony do słonecznego spodu wspólny
brak własności tych ptaków
nie wymaga jednak żadnej umowy
garnąc się do nas omijają was tak
aby w naszym świecie mieć swój świat
a wtedy Gniazda im nie przemokną
do was wrócą Aby wrócić do nas

Parapet

Widać parapet.
Nie ma okna.
Nie ma domu.
Kawałek muru
z parapetem.

Łokcia na nim nie oprzesz.
Nigdzie po nim nie wejdiesz.

Mówi że z ciebie
może zostać ręka noga
albo głowa.
Taka do niczego –
nie zawoła nie krzyknie
nawet nie wie że ją boli
i że była głupia.

Nie żyje

Nie żyje Urszula Kozioł, 1931-2025.
Tak się mówi.
Ale nie da się tak myśleć.

Jarosław Nowacki¹

Andrzejkowe wróżby

z deseni szronu
w twoich włosach
przepowiadam pogodę
dla mnie i dla ciebie
na następny rok

z fusów miłości
układałam dla nas wróżbę
na dzisiejszy wieczór
i każdy kolejny

wosk uczuć
przelewam
przez klucz
do twojego serca

Głos

Goście... po prostu Goście

słyszałem twój głos
we śnie
mówiłaś o sprawach
błahych
nic nowego
słuchałem w milczeniu
nie przerywałem
bałem się ci powiedzieć
że nie żyjesz

¹ Uczestnik Warszawskiej Szkoły Pisania, tj. *Stajni Literackiej* przy OW SPP.

Przed wojną

– Ach, przed wojną, przed wojną, mój Boże...
– Czy to sen był, czy inna ułuda?
Wówczas szara, dziś jawi się złotem,
Jeszcze czysta, przez nic nie zatruta.

Posplatane radości i lęki,
Po policzku łza babci umyka.
Już bez żagli pamięci okręty,
Lecz do końca gra na nich muzyka.

Mknęły koni ułańskich tabuny,
Niosąc chłopców z orłami na czapkach.
– Kiedy dziadek przyjeżdżał w konkury,
Zazdrościła mi każda sąsiadka.

Jeszcze czas jest, prządz bez wahania
Swego życia nić błogo-spokojną.
Zasłuchany w babcine bajania,
Ciesz się życiem, jest przecież przed wojną.

Alicja Patey-Grabowska

Geny

Nie jesteśmy winni
za geny przodków
za odbłask
tysięcy lat
gdy krzemienny grot
przebijał serce

Kłaniają się stalaktyty
z jaskiń
galop mamutów *
dudni po ścianach
a dłoni ślad
przywołuje życie
minionego czasu
który jest

w nas

2024

* Rysunki sprzed 30 tys. lat są m.in. w jaskini Lascau.

Miotła historii

Miotła historii
zagarnia śmieci,
które za moment
rozzuci wiatr.

Na cztery strony,
w cztery kąty świata.
Miotła historii.

A może bat?

Pamięci Ojca

A którego imię niewymawiane
umiera dwa razy

A którego pamięć zapomnieniem zbrukana
umiera pohańbiony

Gdy źródło wyschnięte nie zasila rzeki
suche dno

Jak scałować krew z cierni
i cierpienia przetopić w pomnik
ręce drutem związane wyrzyć w sumieniu

Jak ciebie wskrzesić Ojczy
gdy plaster opasuje wargi *

Można tylko liczyć na łaskawość historii
i Czas
który obróci kołem

1968

* W tamtym czasie o Katyniu nie wolno było wspominać (groziły za to represje). Wiersz krążył anonimowo. Wydrukowany został dopiero w *Antologii wierszy katyńskich* w roku 1992, a w języku angielskim w książce *Katyń w pomnikach świata* w roku 2002.

Przesłanie

Patrykowi

Nosisz w sobie
tysiące przodków

Jaki to ciężar

i obowiązek
by po raz wtóry
nie umarli

Nosisz w sobie
tysiące przodków

Babcie Dziadkowie
kołyszają do snu
I oczekują
na ciąg dalszy

Jesteś cegielką
w dziejach ludzkości
ale tak ważną
jak gmach cały

Małym trybikiem
w maszynie życia
Klamrą
która spaja
 z przeszłością
 Przyszłość

Alicja Patey-Grabowska

Maria Jolanta Piasecka

Haiku

pełnia myśliwych
założ czapkę niewidkę
cyraneczko

* * *

dzikie gęsi
tak daleko od domu
moje dzieci

* * *

pisk pod dachem
jerzyk pędzi z robakiem
do swych dzieci

* * *

za oknem rwetes
dla wszystkich starczy ziarna
mały wróbelku

* * *

spacer o zmierzchu
i dokąd zajdziesz pszczoło
na moim bucie

* * *

nad jego grobem
już latają świetliki
to dla nich czas

* * *

przenikliwy ziąb
jest nas więcej o mysz polną
w szufladzie

* * *

wieczorna cisza
żaba usypia w dołku
po jego stopie

Maria Jolanta Piasecka

Haiku z tomu *Biały żuraw rozkłada skrzydła*



Maria Jolanta Piasecka

Biały żuraw rozkłada skrzydła

White crane spreads its wings

HAIKU

Oprawa: miękka

Objętość: 66 stron

Format: 120×200 mm

Kategoria: haiku / literatura

Wydawnictwo Kontekst

Poznań 2025

ISBN 978-83-68332-04-9

Małgorzata Karolina Piekarska

Chory krytyk na grassoterapii

Pan krytyk był chory
Leżał w psychiatryku
Przyszedł doń poeta
Poeta: Jak się masz krytyku?
Krytyk: Źle bardzo
Więc poeta jointa wyciągnął do niego
Razem sobie jarali jointa niejednego
I tak mówili
Kiedy palili
Krytyk: poezja dzisiejsza mnie denerwuje
Rzadko się w niej coś rymuje
Rzadko w niej ducha poezji czuję
Poezja dzisiaj umiera
Nie jest zbyt szczerą
Niech ją cholera
Poeta: ale moje wiersze są inne
Niewinne
Bo szkół nie kończyłem
W organizacji żadnej nie byłem
Polonistyki nie studiowałem
Jestem trochę za przeproszeniem pana krytyka „Wałem”
Ale dziś liczy się być naturszczykiem
W płaszczyku podszytym wietrzykiem
I ja spełniam te wymagania
Czy więc weźmie pan wiersze moje do czytania?
A krytyk na to: lekarz mi zabrania
Sztachnąwszy się jointem pomachał ręką
A potem powiedział miękko:
Krytyk: no to do następnego... zajarania.
I odszedł poeta z workiem do zasiania...
Bo kto sieje wiatr burzę zbiera
A niech was krytyków jasna cholera!

2007

Krzysztof Saturnin Schreyer

Być robotem

Za dnia rozliczne lęki, w nocy sny ponure,
błądy wielkie i małe i śmieszne niektóre.

Nie chcę by mi wrażliwość mąciła myślenie,
I aby mnie bolało złośliwe spojrzenie

Lub że tamten się skrzywił a ten okiem łypnął
i ten lęk kiedy nocą przemyskam się szybko

Złe wieści w Internecie, słowa nieopatrzone –
coś dobrego się kończy, a coś złego zaczyna.

Czyhają w dzień i w nocy straszne wydarzenia –
serce kłuje, brzuch boli – nie jestem z kamienia.

Więc ogarnia mnie mocne, logiczne marzenie,
że swoją ludzką postać w komputer zamienię,

w robota z głową pełną połączeń bajtowych,
w której nie będzie lęków, wypaczeń zmysłowych

ani uczuć niechcianych, figłów wyobraźni...
i nie będzie miłości ani też przyjaźni.

Spokój, spokój, myśl zimna – nowy kształt człowieka
bez fetorów, pachnideł... Taki los nas czeka?

O nie! Wolę swe myśli, emocje dręczące
istoty słabej, jednak kochać umiejącej.

7 VI 2023

Igły

Skąd nagle igła, co się wbija
w próżny balonik mej lekkości?
Światła migoczą na Krakowskim.
Skąd myśl o blasku przelotności?

Cisza w kościele i modlitwa,
czarnych sylwetek głowy niskie.
Wtem stukot szybki i nerwowy
z nawy, gdzie czarna biegnie postać.
Igła! Pytanie, zamęt w głowie:
Uciekać? W pustce cichej zostać?
Gdzie jest kotwica? Statek w mroku
łagodnie sunie poprzez fale
i już mi lekko, już wspaniale
i ...nagle ostra igła w boku.
W chwilach niebaczných zapomnienia
wiadomość z drugiej świata strony
o nieuchronnych zagrożeniach.
Nie chcę, nie będę zastraszony!
Igiełki lęku szatan wbija
bym się nie cieszył zbyt światem.
Ja wiem, że złote chwile miną,
lecz jakże wielką w życiu stratą
jest, gdy przez lata czy miesiące
chandra ogarnia chociaż słońce.
Szatanie! Igły twe kłujące
nie mogą zniszczyć piękna świata!

Styczeń 2024

Rozpacz

Jest za wcześnie na rozpacz wrażliwy poeto,
wszyscy żyją (aczkolwiek nie ma tych co w grobie).
Giną w walkach tysiące (ale front daleki),
umierają w Afryce (tak było przez wieki).

Bezsilność? Cóż. Bezsilnych było już miliony.
 Jest pamięć o niektórych, reszta zagubiona,
 jak wszystko!
 Ale wielką jest świata zaletą,
 że na prochach i zgłiszczach widać życia znaki,
 które także z twojego prochu się odrodzi,
 może robak powstanie, może kwiatek jaki?
 I nie masz na to wpływu, więc o co ci chodzi?

Daleko do rozpaczy póki żyjesz myślą,
 a gdy umysł zamiera już o nic nie pyta
 (może tylko gdzie kubek, jak trafić do miski?)

Rozpacz?
 Jednak przychodzi i za gardło chwyta
 i żadna dialektyka, żadna myśl stoicka
 filozoficznemu nie sprostą zadaniu,
 gdy kochany, kochana, w śmiertelnym zmaganiu
 i nadzieja niemądra szaleje bezradnie...
 Na koniec wielka pustka twym życiem zawładnie.
 12-13 VIII 2024

Serce czy rozum

(Dylematy w rocznicę Powstania Warszawskiego)

Widzę, jak biegną nisko schyleni,
 chłopcy, dziewczyny – pistolet, granat,
 torba z lekami...

Ciche wzruszenie
 dławi za gardło i łykam łzy –
 zapal radosny, wielka odwaga...
 W czyn o wolności przekute sny.

Na czarno białym filmie z przeszłości
 nie widać stosu leżących ciał.
 Mówią: dla ciebie, naszej przyszłości,
 byś przykład męstwa wrogowi dał.

Ci, którzy mieli w szeregach posłuch,
świadomi marzeń dzielnego ludu,
chcieli dorosnąć do celów wzniosłych –
być kowalami wielkiego cudu!

Dumnie, z honorem w bój wysyłali,
pełni nadziei, chociaż świadomi,
że gdy do walki dwie armie stają,
nigdy nie wygra ten, kto bez broni.

Bez tej ofiary nie byłbym Polakiem?
Czy groby liczne, nie do ukrycia,
co heroizmu krzyczącym znakiem,
warte są wielkiej ofiary z życia?

Czy bez niej obcą mową bym władał,
na zawsze w innym żył obyczaju?
Przez wieki żadna wojna i zdrada
nie zgmiotły ducha mojego kraju.

Władza jest po to, by serc pożogę
ugasić trudną mądrości siłą.
To się w historii nieraz zdarzyło.
Oby już nigdy dzwony na trwogą.

Chciałbym, by naród wiódł naturalnie,
kto ma żar w sercu, lecz głowę chłodną,
prowadząc ludzi odpowiedzialnie,
drogą niełatwą i niezawodną.

By mądre sowy, przebiegłe lisy
nie dały się zwodzić wrogom.
Rozum w decyzjach i serce w walce!
I taką chciałbym iść drogą

1 VIII 2019

Z tomu Poezje wybrane

Wyznanie

Kiedy wypływa wiersz od serca,
a czasem rodząc się z rozumu,
myśli mi nigdy nie zamąca
marzenie o poklasku tłumu.

Tylko nieśmiało z tyłu głowy
jawi się obraz: to przy biurku
siedzi w sukience kolorowej,
w džinsach z dziurami, z tatuażem

dziewczyna albo chłopak z marzeń
i podpierając ręką głowę
czyta w lekturach wiersze nowe
te także, które ja ułożę.

Bywa, że w myślach mi przemyka
cytat to z Fredry, to z Asnyka
i chciałbym by im też zostało
coś ze mnie, choćby bardzo mało,

by ich codzienna, polska mowa
miała też w schowku moje słowa,
a rym, przez znawców dziś wyklęty
wzmacniał sentencje i pointy.

15 – 18 VII 2024

Z innego świata

Skąd się wziąłem w tym świecie słów
niby tumany liści na wietrze?
Słów złotych, albo zgrzebnych,
niosących przerażenie rozkładem?

Nie będę się przedzierał
przez chaszcze skojarzeń

wpadał w wilcze doły
niewzruszonych etapów życia.

Chciałbym rozplątywać
pogmatwane ścieżki istnienia
i wychodzić
na jasne polany myśli.

Śnią mi się posągi Hellady,
wzory w gęstwinie życia.
Wiecie, żonglujący słowami,
co to harmonia fraktali?

Jestem mieszkańcem innego
poszukującego reguł świata
intruzem w krainie chaosu.

17/18 II 2022 – 12 II 2025

Krzysztof Saturnin Schreyer

Jerzy Śleszyński

To nie może być prawda

No kto w to jeszcze wierzy
lub przynajmniej myśli
że na boskie podobieństwo

zaczniemy od ciała
boski ślepy wyrostek
boskie es kręgosłupa
włosy stają dęba na głowie
a to przecież atawizm i strach

dusza zamknięta w ciele
skazana na dożywocie
próbuje wydostać się jakąś sztuką
ale sztuki już nikt nie potrzebuje
robi się duszno i dusza dusi się

co to byłby za bóg starzejący się
stetryczały i zidiociały
a za młodu głupi i zarozumiały
ledwo powyżej Homo erectus
myślący rzadko i niechętnie

na boskie podobieństwo
są tylko dwie cechy
złość i okrucieństwo

Każdy głupiec

*Że też każdy głupiec ma teraz swoją historię,
to niemała plaga dzisiejszych złych czasów.*

Johann Wolfgang Goethe

Trudna rozmowa
nie wierzę że był kiedyś wiek złoty
nie uważam że kiedyś było lepiej
nie sądzę że wszystko co nowe jest złe

a jednak magma wlewa się w każdą szczelinę
nic nie pozostaje inne osobne i błogosławione różnicą
mimikra skleja się z głupotą a oportunizm nie boli

pokażcie mi kogoś odrębnego osobistego i prawdziwego
niech stoi wyprostowany i mówi coś naprawdę ważnego
niech odważy się być człowiekiem spoza tej masy

kiedy byłem młody nie rozumiałem katastrofizmu Witkacego
koniec filozofii koniec religii koniec sztuki koniec
metafizyki nie uda się wyprodukować z tworzywa sztucznego

mali ludzie małe sprawy mała jest ta cała rzeczywistość
kołysze się jak pijak przy latarni i cały czas mówi sama do siebie
zagłuszająca lęk transmisja niczego o niczym do nikogo

a rozmowa
czegoś takiego już nie ma

Echo

Tak jak inni młodzi
starych słuchałem nieuważnie
prawie z lekceważeniem
teraz pewne frazy i zdania
powracają głuchym echem

ile zdziwienia niedowierzania
 że ktoś może być zmęczony życiem
 że można mieć już dość
 że nic już nie smakuje
 że wyczekuje się tylko końca

każdy w swoim czasie i nieco inaczej
 ale usłyszysz to echo w swojej głowie
 kiedy ubieranie stanie się mordęgą
 jedzenie jedynie poprzedzi wypróżnienie
 uszy oczy i język zaczną zawodzić

we wspomnieniach wysoka góra młodości
 wchodziło się z ochotą energią zapalem
 ze wzrokiem wbitym w sam szczyt
 bez refleksji o długiej drodze powrotu
 a teraz co chwila to samo gorzkie pytanie

czy w ogóle jeszcze coś warto

Po zwiedzaniu Pałacu Rzeczypospolitej

Michał Anioł i Memling mieli swoje wizje
 moja skupiona jest na eksponatach
 pancerne gabloty pokazują

pisarza X ostatnie bazgroły na pustej karcie
 poety Y notes z adresami i bilet kolejowy
 wielkiego Z dwa małe i nieczytelne zdjęcia

oni zostali zbawieni oni dostąpią wieczności
 to wybrańcy którzy nie przepadną w wirze historii
 ich błahe myśli i osobiste rzeczy zostaną przechowane

w materialnym i muzealnym niebie archiwum
 o znaczeniu decyduje sam dotyk który miał miejsce
 nobilitowane są pospolite przedmioty z racji pochodzenia

oczywiście jest również piekło potępionych
troskliwie skrywane przed oczyma zwiedzających
bo w piekle panuje dyktatura unicestwienia i zapomnienia

ci którzy nie nazywają się X Y Z spotyka nicość
ich zapisane kartki pali się lub kompostuje na śmietniku
ich notesy lub zdjęcia są tylko stosem makulatury

ślady potępionych spotkasz w antykwarycznym kurzu
w szufladzie ze starymi pocztówkami lub na pchlim targu
to exlibris notatka na marginesie figurka bez głowy

pierwiastki ich ciał rzeczy i ich lotnych myśli
anonimowo włączają się w wielkie koło istnienia
nie ma dla nich miejsca u spadkobierców i w archiwach

nie mam wątpliwości że sąd ostateczny jest właśnie taki
jednych uświęca się a drugich skazuje na czarny dół
zgadzamy się na okrucieństwo tępej pragmatyki

Jerzy Śleszyński

Janusz Taranienko

temperatura topnienia; rapsod

z cyklu *antologia*

pamiętam tyle że padał śnieg

dreptałem tuż za zaprzęgiem
specjalnie uszykowanym na tę okoliczność
z końmi czarną tkaniną strojnymi na grzbietach i zadach
w każdym rogu furgonu tkwiły gasnące wciąż świece
wielkie jak nogi stołowe

pamiętam że śpiewano
i odgarniałem ojcu długie nieposiwiałe włosy
wiatrem późnojesiennym rozwiewane po twarzy
i że było podniośle
jakby cerkiewne obrazy
malowane przez niego w białym hen grodzie dalekim
zeszły ze ścian świątyni do korowodu wstąpiły

szedłem z matką
i czworgiem z piątki starszego rodzeństwa
najstarsza siostra
zagubiła się podczas wielkiej rewolucji
a młodszy braciszek
dopiero nauczył się chodzić

kroczył kondukt niespieszny od stacyjnego chutoru
droga biegła pół wiorsty w stronę znanego przysiółka
szramą torów rubieżnych co odkreślały obwody
cięta w poprzek i skośnie tak jak w niesionym krzyżu

ale najbardziej pamiętam
swoje wielkie zdziwienie
że pierwszy tego roku śnieg
nie roztapiał się na twarzy ojca

mimo niespełna lat czterech jedno wiedziałem na pewno
 śnieg powinien się topić
 na ciele

(*opowieść Jakuba – Nyrkowe, obwód ługański, 1920*)

wy rozumno moje dobrze po polski?

z cyklu *antologia*

dwa lata przed wojną choć do pełnoletniości brakło mi
 nieco wieku dostałam posadę jako mechanik szciotnych
 i piszusczych maszin w firmie josifa mojesowicza apfelbauma
 zaś jedyne co umiałam to przeczyścić trafaretkę naoliwić
 mechanizm i poczernić taśmę a po kilku dniach zatrudnienia
 nauczyłam się także wymieniać zepsute sprężynki

mieliśmy klientelę wszelkich narodowości – żydów polaków
 rosjan białorusinów niemców
 całą śmietankę miejskiej inteligencji – profesorów palestrę żurnalistów
 buchalterów a nawet rajców z ratusza
 wszyscy oni chcieli odbierać naprawione maszyny
 następnego dnia więc pracowaliśmy i w niedziele
 i w szabaty

pani anuszka

eta maszina muss być fertich na montag rano!

wy rozumno moje dobrze po polski? – oznajmił pryncypał umyślnie
 przybyły do biura po sobotnim zachodzie słońca

rozebrałam remingtona do najdrobniejszej śrubki i nie wiem
 jak mi się udało
 że po złożeniu żadna z części nie pozostała na stole
 wiem natomiast że spełzło na niczym i wieczorne randewu
 i niedzielne paplaniny z koleżankami przy buzie i chałwie

gdy w poniedziałnik morgen magistracki urzędnik odebrał sprzęt
 szef zaoferował mi podwyżkę o równą złotówkę

na tydzień i zaprosił na fajf do ritza

odmówiłam

więc niezwłocznie zaczęłam poszukiwanie nowej pracy

josif mojesowicz był dobrym człowiekiem

nie żywiłam do niego urazy i nie winię

że chciał ze mną poromansować

miał przecież starą i brzydką żonę

(opowieść Anny – Białystok, 1937)

artykuł pierwszy – wazon

z cyklu przedmioty: lekcje z pamięci

cepelia cepeliada

glina malunek polerka

ornamenty w szlaczki

ni ptaszki ni bratki

pasiakowate lelujki

tak dziesięcioletni widziałem

ot

zwyczajny pojemnik na bukiet

wyjąłem postawiłem

niech zdobi

dla dzbanka urody

nie nalewam

wody nie zmieści

zawsze pamięć

przeleje się wierzchem

taki sobie tam

półwiekowy

wazon brzydotka
ze szczerbatym denkiem

artykuł trzeci – zegar ścienny

z cyklu przedmioty: lekcje z pamięci

wisiał w stolarni ojca
z wsuniętym za szybkę drzwiczek
obrazkiem świętego józefa
patrona rzemieślników
choć ojciec nie był nazbyt religijny

(zdarzało się
w niedziele wędrowaliśmy
po niewybrukowanej ulicy do fary na mszę
ale on głównie po to
by nie złościć matki
a ja miałem nadzieję
że potem pójdziemy do prawdziwej kawiarni
gdzie lody podawano w szklanych pucharkach)

chodził
wybijał półgodziny godziny i
liczył ile zostało czasu
stolarni ojcu matce

nie będę naprawiał trybów
wyłamanych w mosiężnych bębnach
i nie puszcze w ruch wahadła

choć bywa
że bez powodu
otwieram drzwiczki
i uderzam w metalowe struny

a zegar od nowa rachuje czas
swoj czy mój

lecz nie ma sensu
stawać z nim w zawody
kto kogo

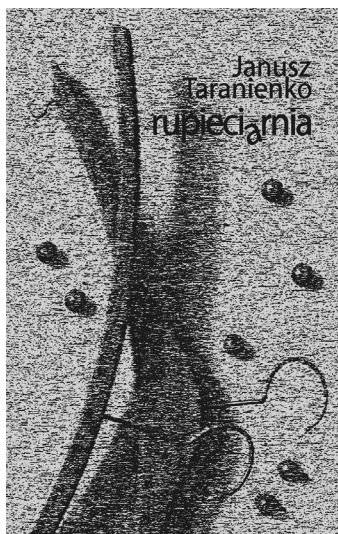
licytować się
na z góry przegrane

artykuł szósty – maszyna do szycia

z cyklu przedmioty: lekcje z pamięci

w trendy kawiarniach
pubach i klubach
wypatroszone z werku
i pozbawione rzemiennej bazy
odgrywają role sentymentalnych stolików

a matka
swego singera przykrywała



Janusz Taranienko

rupieciarnia

Opracowanie graficzne: Janusz Szczucki

Wyd. Stowarzyszenie Promocji

Sztuki Łyżka Mleka

Kalisz 2022

Stron 90, oprawa miękka ze skrzydełkami

ISBN 978-83-955596-4-8

Książka została zrealizowana
w ramach stypendium artystycznego
Prezydenta Miasta Białystok

uszytą na ten użytek kapą
stale dbając
by politura na fornirze nie zaszła mgłą

teraz w maszynie matki
szufladki pod blatem zamiast nici i skrawków tkanin
kryją jej odświeżoną biżuterię
pierścionki i sztuczne perły

a rżnięte szkło broszek i klipsów
odkąd pamiętam
nieudolnie imitowało brylanty

artykuł szesnasty – gałka

z cyklu przedmioty: lekcje z pamięci

1.
zapewne
pociągając za nią
otwierało się szufladę
albo niewielkie drzwiczki
kredensu
biurka
czy komody
a może pełniła rolę
uchwyty bibularza
lub niemałej wagi pieczęci

toczona gałka z alabastru
nieznanego przeznaczenia
niewiadomego pochodzenia
niezdatna do użytku
bo z wyraźnie ukruszonym trzpieniem

ale w samej rzeczy
zwraca ku sobie wzrok
gładkością dotyku

2.

ojciec przechowywał ją
z pieczołowitością
głosząc uznanie dla dłuta
twardszego od kamienia

3.

gdy odwrócić gałkę główką w dół
by nie chybotąła się na jedynej
kalekiej nóżce
doskonale sprawdza się jako przycisk
na moim biurku
do zapisanego papieru pergaminu palimpsestu

Janusz Taranienko

Paweł Zapendowski

Dwie Polski

O jednej Polsce wiersza nie napiszę
dwie za mną stanęły, gdy szedłem do morza
po piasku, by zobaczyć fale, odległy horyzont
i jasny żagielek dzieciństwa oczami

O jednej Polsce wiersza nie napiszę
tej z pustym pokojem, z moimi rzeczami
tutaj pod błękitem u początku morza
z dwiema się na chwilę spotkałem Polskami

O dwóch mi lepiej pisać i myśleć w Dziwnowie
że dobrze robię przytakują fale
bo kiedy się odwrócę, gdyby jedną skradli
druga mi zostanie, jeśli się ocalę

życie rodzinne

gdy sprzedawali gazety
brat z bratową powiedzieli że ok
teraz będą kolorowe i tak jest na całym świecie

gdy sprzedawali banki, mówili
że to najlepsze wyjście dla sektora
i trzeba sprzedać resztę

gdy opozycja protestowała, śmiali się:
oni chcą tylko władzy, winna jest agresja
moherowy ciemnogród

gdy upadły stocznie, nie było tematu

gdy wydałem wiersze, pilnowaliśmy się przy stole

by o nich nie wspomnieć
nic o polityce, po co zadrażniać

gdy nadszedł kryzys
była mroźna niedziela, nie spotkaliśmy się

kolega ćwiczy zen, mama wyjechała pomóc siostrze
ojca brak, zmarł za Solidarności

żona patrzy na mnie i szepcze coś do dziecka

obóz europa

budzimy się o piątej. można leżeć do siódmej ale
to dwie godziny nudy. apel. radio przygrywa
wiadomości o poczynaniach wroga

myjemy się. ci z niemieckiego baraku jak zwykle
mają ciepłą wodę. francuzki z żeńskiego rzuciły
majtki na druty. błyszczą jak forsycje na wielkanoc

gadka komendanta: żwir i bryły osobno
praca i tak co dnia. wieczorem pub. anglicy
drać mordy. przejebali z rosją na wyjeździe

polacy chodzą parami. milczą i ćmią papierosy
chyba podkop

nad Belwederem

kołują kawki. skrzeczą bo taka kawek skrzekliwość
jak wierny pismak zleconą potwarz, tak rąbią na dół co im
pod ogonem, lub pani z radia która jak co rano
przy kawce snuje swój kawczany wątek

był 1830. książkę Konstanty w kobiecym przebraniu

uciekl przed zemstą polskich podchorążych
 minął listopad, niebezpieczna pora. nadeszły zimy
 i lata nie swoje. inne orły i sprytnych kawek skrzekliwość
 nad białym pałacem przeorały pola

udręczony człowiek, gdy jemu oddani
 nie potrafią pomóc, bo rzecz przekracza miarę
 człowieka. gdy na ścianie zobaczy nieuchronną łunę
 nie kawek, nie ptaszków, ciężkie hufce
 zbrojne gotowe rozświetlić w dzień Park Łazienkowski

zawsze będzie słońce, tylko się zmieniają
 symbole szczęścia. gdy zajdzie czerwono
 albo wstanie o świcie i wzbudzi nadzieję
 może też spalić na drzazgę. lecz gdy słońce

wchodzi w sale Belwederu, nad białą kominek
 gdzie w marmurze godło, mazurek się rozdzwania

jak kiedyś w Soplicowie... jeszcze Polska nie zginęła

Paweł Ząpendowski

Paweł Ząpendowski
Dwie Polski z Mickiewicza. Wiersze niepolityczne
 Wydawca: Fundacja Inwestuj w Kulturę
 im. Marka Jędrzejczyka, 2025
 Stron 68, format A5
 ISBN 978-83-68003-15-4



Zofia Zarębianka

Przesmyki

Przesmyki światła
W ciemnej dolinie
Nieśmiałe przebłyski
Nagle przebijają mgłę
Słowo rozświetlone
Trwa przez chwilę
Pulsuje w oddechu

Wysoki klif osuwający się w morze
Brzegiem ścieżka stroma

Wieczność wątła
W tobie
We mnie
W nas
A jednak niżej lśni
Morze

W oczach świeci
Tamta zielona łąka
Dzieciństwa
I mały bury kot
Mruczący przy nogach
Zapamiętane szczęście

Jeśli jest

Jeśli jest musi być Miłością
I nie chcę innego
A jeśli w ogóle go nigdy nie było
I nie ma?

Jeśli miałby się okazać
Złudą , wytworem pragnienia?
No cóż, wówczas wszystko
Się unieważni do nicości
Do nieistnienia

Pantofle

Nie przemierzyły całego świata
Najwyżej parkiety hotelowych pokoi
Od czasu do czasu
I posadzki chłodnych pensjonatów
Na co dzień chowały się w szafie
I czekały
Gotowe by wskoczyć do walizki
Razem z kosmetyczką zapasowymi rajstopami
Bluzką spódnicą swetrem
Kolorowe wyszywane w płomienny
Wzór
Spięte od góry elastyczną czerwoną
Gumką zgrabnie przytrzymującą stopę
Lekkie domowe pantofle
Kupione pół wieku temu w Cepelii
Przez mamę
Wyblakły trochę sflaczały
Jak jałowiejące życie
Przez które miały przejść
Niosąc matczyną dumę i troskę
Ukryte w barwnym hafcie co miał
Zapowiadać szczęśliwą przyszłość

Z Mickiewicza, nie tylko

Co zrobić z tymi łzami
Co czekają pod powiekami

Gotowe do płaczu wielkiego
Gdy nie wyleją się przezroczyste
Gdy je powstrzymać
W Rozpacz kamienieją
I nie zakwitną w miłość
W nadzieję nie wzrosną
W słowo się nie zmieniają
Ciężkością nowe tory
Zmarszczek utoczą

Fala

Umieć nieruchomo położyć się na fali
Uniesie gdzieś
Uniesie dalej niż
Brzeg Motławy
W oddali molo białe
Morza szum
Cisza na pustej
Plaży

Moje życie?

Moje życie
Moja wina w twoim planie
Moja bardzo wielka wina
Ale przecież i tak
Jestem twoja
Cokolwiek się staje
Niech dzieje się
Rzeczywistość
Jako twoja wola

Żeby

Niech te wiersze?
Czy wiersze?
Będą odarte
Z błyszczenia
Niech odsłonią
Nagi rdzeń
Niedostatków
Biedność serca
Brak oddechu
Zadyszkę duszy

Walka Jakuba z Aniołem

Jest we mnie drżenie
Dygot komórek wszystkich
Gdy żyć chce ciało
A dusza się opiera
I krzyczy już dość
Umieram

Przecież nie wiem

Przecież nie wiem
Dokąd prowadzą
Niewypowiedziane słowa
Ani w co się zmienia rozpacz
Gdy się rozpuszcza na chwilę
Gdy rzędzie ciemność
Czy naprawdę nastaje świt?
A może to tylko
Przerwa
Jak spacja między
Nocą a ciszą

* * *

Moja marność
Moja małość
Moja wina
Moja słabość
Moja rozpacz
Porwane potężnym nurtem
Giną w jego jasności

Zofia Zarębianka

Teresa Bochwic

Stacja graniczna

Peron lśnił po ulewie, jak zwykle tutaj naglej i krótkotrwałe. Odwołali samoloty. Czekala ją długa podróż do Polski pociągiem z przesiadką w Sofii, 14 godzin. I to stąd, z Istambułu przez Turcję, bez męskiej opieki. Medytowała, czy znajdzie w wagonie miejsce, żeby się trochę wyciągnąć. Ciągłe pokutowały tu historie o haremach w środkowej części kraju, o porywaniu blondynek z Europy. Mafie nie spały. Co innego jej konferencja o prawach kobiet – luksusowy hotel, hotelowy transfer na lotnisko, potem samolot i już byłaby na lotnisku w Wiedniu, cywilizacja, przesiadka do Warszawy, perfumy w strefie wolnocłowej i tak dalej.

Ciemne niebo, przeraźliwy chłód, bo w końcu lutego i tam jest jeszcze zimno. Botki przemokły. Na dworcu woda deszczowa przynajmniej spływała z peronów, ale w mieście strugi brudnej wody płynęły głębokimi rynsztokami. Niosły zmokłe papiery, skórki owoców, jakieś śmieci, a nawet zwłoki pasiastych kotów.

Ulewa zgasila urodę sławnego miasta. Świat zaczął się kurczyć do tej mokrej pieszej wędrowki w bloku w kierunku dworca. Gdzie czasy karoc i Orient Expressu!

Przystanęła przy kiosku z butelkowaną wodą i gazetami, zmieniła obołałą rękę. Walizka niby na kółkach, ale te bruki... Miały z pięćset lat. Grupa szczupłych mężczyzn i następna fala strachu; obrzucili ją wzrokiem – ciemne wąsiki nadawały im wygląd dzikich zwierząt, śledzące ją oczy były zbyt czarne, żeby mogła dostrzec ich wyraz. Któryś oderwał się od ściany obok. Chwyciła walizkę i ruszyła znowu.

Na dworcu podeszła do kiosku z jedzeniem. Sprzedawca w jasnej czapeczce musnął wzrokiem jej figurę, uśmiechnął się. Wydało jej się – nieprzyjemnie. Podając paczuszkę z kanapkami musnął jakby jej rękę. Pobiegła.

Pociąg do granicy bułgarskiej podstawili bardzo daleko, poza zasięgiem peronu. Ciemny, zimny. W wagonie nie było jeszcze nikogo. Wstawiła walizkę do trzeciego przedziału – blisko toalety, blisko wyjścia. Zastawiła drzwi walizką.

Wyszła na korytarz, stanęła w oknie. Zima na południu jest mokra i paskudna, choć zdarzały się burze śniegowe. Prawdziwa śnieżna zima będzie dopiero w Polsce.

Na peronie pojawiło się kilku mężczyzn o egzotycznym wyglądzie, nie wydawali się Turkami. W świetle latarń oczy ich lśniły łagodnie, jak kobiece. Cofnęła się do przedziału, zasunęła firanki. Wsiadli, usłyszała ich głosy.

Do przedziału wtargnął nagle przemoczony chłopak, na oko trzynastoletni, choć z tym wrażeniem kontrastował jego stary, zmęczony wzrok. Proponował colę, ciepłe placki i orzeszki ziemne z koszyka.

– Nie, nie! – Wypychała go na korytarz. Musnął ręką jej pierś, położył rękę na ramieniu.

– Zjeżdżaj! – powiedziała po polsku.

Poszedł sobie.

* * *

Wsiadło jeszcze parę osób. Gwizdek. Pociąg wreszcie ruszył.

Wyciągnęła z paczki kanapki. Aromatyczne od przypraw, tak maleńkie, że od razu zjadła obie. Wrzuciła papier do pojemnika pod oknem. Nie włączała lampy, wpadało trochę światła z korytarza. Zapaliła papierosa, dym tytoniowy przegnał falujący jeszcze aromat jedzenia.

Poczuła senność. Zrzuciła mokre botki, wyciągnęła nogi na siedzeniu i przyrzuciła się swoim polskim kozuchem – za ciepłym na turecką zimę, białym, z baraním kapturem. Pod przymkniętymi powiekami przesuwaly się widoki poznanego ostatnio miasta – wielkie świątynie, zapach remontów na starych uliczkach, rozpięte na zatoką mosty i ludzie, ludzie, i pełne sale konferencyjne.

Zbudziło ją nagle ostre światło. Jarzeniówka pod sufitem. W progu stał konduktor, przyglądał się jej. Zasunął drzwi. Opuściła nogi. Usiadł obok. Uśmiechał się szeroko, jakby radośnie. Zionął czosnkiem. Odłożył na drugie siedzenie dużą torbę i jakąś tekturową teczkę. Spojrzała na wyleniąły plusz i niemal poczuła nieświeży zapach mebli u swych przedwojennych jeszcze ciotek z prowincji.

Jego uśmiech i wzrok nie budziły sympatii. Zacisnęła usta. Podała mu bilet.

Konduktor założył nogę na nogę, rozsiadł się na dobre. Wziął bilety. Pilnie je studiował, obejrzał z obu stron.

– Nie ma miejscówki – powiedział po angielsku.

– Jest. Tutaj.
 – Nieważna.
 – Jak to nieważna...? Dopiero co ją... To kupię drugą. – Chciała, żeby sobie już poszedł. Wyjęła portmonetkę, spojrzała pytająco.
 – Ważna jak o tu, buzi. – Pokazał na usta.
 – Nie.
 – Nie? – Zmartwił się tak szczerze, że omal nie zaczęła mu współczuć.
 – Ja dobry chłopak. Dobrze buzi. – Wyciągnął drugą rękę, dłonią uderzył we wnętrze łokcia. – Taki duży.
 – Mam męża. – Pokazała palec, na którym nie miała obrączki.
 – Oooo! – W głosie brzmiało rozczarowanie. – To dać adres. Ja przyjaciół, ja list.

Ucieszyła się, pisała szybko, podała mu karteczkę. Chwilę ją odcyfrowywał, potem złożył we czworo i wsunął do kieszeni uniformu. Popatrzył z namysłem.

– Miejscówka nieważna, płaci dwa dolary – powiedział sucho.

Wściekła, wsunęła mu do ręki ostatnie dwa banknoty dolarowe.

Wyszedł. Zgasiła światło, podłożyła torebkę pod głowę, wyciągnęła się.

Czy to sen czy jawa? Usłyszała urzekający męski śpiew. Za zamkniętymi oczami ujrzała dalekie, zamglone góry, zielone pastwiska pełne kóz. Ogorzali pasterze schodzili z gór, w pieśni czuło się przestwór i tęsknotę. Obudziła ją wilgoć na rękach. Położyła ręce na policzkach i poczuła ciekącą łzy. Cieszyła się, że nikt tego nie widzi. Poczuła, jak w powieści, topnienie serca, które spływało nowymi strumieniami łez. Płacz trwał póki trwał śpiew. Wyczerpana, nasłuchiwała przebrzmiałego echa i zastanawiała się, czy to był tylko sen.

Od marzeń oderwał ją nagły stuk drzwi przedziału. Weszło dwóch chyba Syryjczyków z niewielkim bagażem. Usiadła, czekając, co będzie dalej. Pokazywali na korytarz, machali rękami. Nie rozumiała. Zniechęceni wyszli.

Wstała, zapaliła papierosa, wyciągnęła butelkę z sokiem pomarańczowym.

– Boże, co się ze mną dzieje – powiedziała na głos. Brzmienie własnego głosu wydało jej się obce. Opuściła roletę, za oknem migwały światła. Pociąg wjeżdżał na stację graniczną.

* * *

Sypał śnieg. Perony zupełnie zasypało. W słabych latarniach majaczyły budynki stacyjne. Ubrani w za lekkie kurtki celnicy biegali wzdłuż peronów, zaglądając do wagonów przez zaporowane szyby. Przypomniła sobie opowieści o zwyczajach celników tureckich. Z korytarza słysząc było krzątanie, rozmowy, odgłos przystawiania stempli. Przygotowała dokumenty.

Wszedł celnik niewielki i czarniawy jak inni, o bardzo czerwonych powiekach. Była czwarta rano. Przeglądał paszport, kazał otworzyć walizkę. Nie patrzył zbyt pilnie do środka, nie mógł oderwać oczu od jej włosów lśniących w świetle lampy. Potargane i zgniecione snem, nie utraciły blasku platyny.

Przejrzał walizkę, oddał dokumenty. Uśmiechnął się. Patrzył wciąż z zachwytem na jej włosy, dotknął ich ręką. Odsunęła się gwałtownie, trochę za głośno powiedziała:

– Nie! Nie!

Cofnął rękę, zawahał się. Powiedział po angielsku dobranoc i zniknął za drzwiami.

– Strasznie to wszystko denerwujące – powiedziała do siebie samej. – Teraz spać!

Wkrótce pociąg ruszył. Znowu ktoś zapukał.

– Dajcie mi wreszcie spokój. Wejść!

Młody człowiek w progu miał bardzo miły wygląd. Też niewysoki, szczupły, ciemnooki, czarne włosy spadały mu na ramiona.

– Czy zna angielski? – Mówił płynnie, z zabawnym akcentem.

Ogarnęła ją pewność, że to on śpiewał.

– Yes, I do – odrzekła. Nieoczekiwanie dla siebie samej uśmiechnęła się.

– Czy coś się stało? Jedziemy obok z kolegą, wydawało nam się, że słyszymy krzyk.

– Nie, to... było zbyt głośne mówienie. Nic się nie stało.

– Pani nie jest Angielką?

– Nie, jestem z Polski.

– Z Warszawy? – zapytał po polsku.

– Tak. – Podniosła się ze zdumieniem. – A pan jest pewnie Bułgarem?

– Nie – roześmiał się. Miał wyjątkowo miły i dźwięczny głos. – Jestem Hindusem. Czy mogę wejść?

– Ależ proszę, niech pan usiądzie.

– Przymknę tylko drzwi, bo wieje. Studiujemy z kolegą w Gdańsku, na uniwersytecie. Jedziemy do domu. A raczej z domu. Ale że pani odważyła się tu jechać sama?

Pomyślała, że ferie studenckie dawno się skończyły. Dlaczego nie lecą samolotem? Z Indii do Gdańska, pociągiem przez Istambuł?

– Muszę pojutrze być w pracy.

– Nie będę dłużej przeszkadzał, widzę, że jest pani zmęczona. Proszę wołać i stukać, gdyby było trzeba, przybiegniemy na pomoc.

Skinął jej ręką, wyszedł na korytarz i zasunął za sobą drzwi. Wyciągnęła się westchnieniem ulgi. Było wpół do piątej rano. Zasnęła natychmiast.

* * *

Kiedy się zbudziła, pociąg wciąż stał, śnieg nadal padał, ale mniej. Otworzyła okno, odetchnęła.

Z sąsiedniego okna wysunęła się ciemna głowa nocnego gościa. Roześmiał się na jej widok.

– W nocy była straszna zawieja. Celnicy mówią, że o trzydzieści kilometrów stąd nie ma śladu śniegu.

Dzwonią do Bułgarów po pług, ale tamci nie wierzą, że tu aż tak zasypało, tu prawie nigdy nie pada.

– Długo będziemy tak stać?

– A tego to nie wiadomo.

Wstrząsnęło nią zimno. Zamknęła okno. Okryła się kożuchem. Po chwili usłyszała pukanie, nocny gość uchylił drzwi.

– Może przeniesie się pani do nas? Będzie weselej.

Bez wahania zebrała rzeczy. Wziął jej walizkę, przeszli do sąsiedniego przedziału. Siedział tam drugi Hindus. Wstał na jej widok.

– Szarma.

– Urszula.

– A ja... – Nocny gość podrapał się w podbródek – mam tyle imion, u nas jest taki zwyczaj... Oficjalnie to...

– Powiedz – przerwała mu – powiedz, jak cię nazywa mama w domu.

Uśmiechnął się.

– Izmarej – zaakcentował ostatnią sylabę.

– Izmarej. Ładnie, dźwięcznie.

Usiadła przy oknie. Na zewnątrz trwał ten sam widok.

– Z daleka jedziecie?

– My czwarty dzień w podróży.

– Znacnie się z Indii czy z Polski, ze studiów?

– Mieszkamy w jednym miasteczku, przyjaźnimy się od czasów szkolnych. Mój starszy brat ożenił się z siostrą Szarmy. Jesteśmy braćmi.

Snuł dalej opowieść o swoich bliskich i małym górskim miasteczku. Jego głos niósł poczucie bezpieczeństwa. Szarma odzywał się rzadko. Miał zaskakująco jasną cerę. Dostrzegła w nim coś w rodzaju nieufnej rezerwy. Zauważyła, że nosi wojskową bluzę. Zaczęła znowu słuchać.

– Oddam wszystko za niego, a on oddałby wszystko za mnie – kończył Izmarej. Przypomniało jej to balladę o Leszku i Mieszku. Izmarej miał dar mówienia naturalnie tego, co u innych brzmiałoby patetycznie i fałszywie.

W sumie rozwiął się nocny koszmar.

Ponury wyraz nie schodził z twarzy Szarmy. Zauważyła, że spogląda na nią spod oka. Wyjął z kieszeni ustną harmonijkę i odwrócił się do okna, przycisnął ją dłońmi do ust, popłynęła melodia nocnej pieśni.

Izmarej wyjął jakieś paczuszki, z nich wysunęło się kilka brązowych prostokątów. Położył na stoliku papierosy, rozkręcił kilka, tytoń wysypał na blat, bibułki ostrożnie położył obok. Prostokąty połamał, rozkruszył, resztę paczuszek schował pod siedzenie. Zmieszał z tytoniem, nabił nim bibułki, zakleił. Rozszedł się zapach egzotycznych przypraw.

Zanucił coś. Zawtórowali sobie z Szarmą. Zapalili po papierosie.

– Chcesz? – zapytał.

– A co to jest?

– Haszysz.

– No co ty.

– Tak. To bardzo dobre. Palimy, jak musimy porozmawiać z Bogiem. To nas przenosi do nieba.

– A policja, konduktorzy?

– Tu nam nikt nic nie robi.

Wzięła papierosa, pociągnęła parę razy. Dym był duszący i aromatyczny. A pociąg stał.

* * *

Zakręciło się jej w głowie. Obaj chłopcy oparli głowy o zagłówki, przymknęli oczy. Poczula, że podłoga przedziału zaczyna falować jej pod stopami, wyraźnie jakby chciała wysunąć się spod wykładziny.

Wszedł konduktor, jakiś nowy, obrzucił ich spojrzeniem, sprawdził bilety. Wyszedł. Nie domknął drzwi na korytarz. Chłopcy rzucili się do

drzwi, próbowali je zasunąć. Teraz widziała, że korytarz wchodzi w drzwi i nie pozwala ich zamknąć. Zerwała się, zaczęła dociskać je razem z nimi.

– Mocniej, bo wejdzie!

Trzymali drzwi we troje, aż korytarz zafalował i cofnął się.

Usiedli. Szarma znowu zaczął grać swoją melodię.

Pociąg stał.

* * *

Pieśń dobiegła końca. Urszula wtuliła twarz w kożuch, chciała się zdrzemnąć. Chłopcy milczeli, Izmarej patrzył w okno.

Szarma siedział z głową spuszczoną w dół.

– Nie podoba mi się ten postój, zobaczę, co się dzieje. – Wstał i wyszedł z przedziału. Widzieli, jak brnie przez zasypyany śniegiem peron i znikł w budyneczku stacyjnym. Spojrzeli jednocześnie na siebie.

– Jakie to dziwne – odezwała się – że spotkałam cię w tym pociągu, i że mówisz po polsku, i że...

– Jaka ty jesteś biała. – Wziął jej rękę. – Aż mi się chce śmiać.

Miał ciepłe dotknięcie.

– Chciałabym zobaczyć kiedyś Indie.

– Tak naprawdę jesteśmy z Afganistanu. Ale nie trzeba o tym mówić. Wojna. Przyjedź do mnie – powiedział cicho i bez uśmiechu. Patrzył na jej dłonie w swoich, o wiele większych. Jakby nalał mleka do glinianego kubka.

– Do ciebie?

– Tak. – Popatrzył jej w oczy.

– A co powiedzą rodzice?

– Ucieszą się. Nikt ci nie zrobi krzywdy ani przykrości. Będziesz naszym gościem. Rodzina Szarmy też się ucieszy.

Przymknęła oczy.

– Może...

– Chodzilibyśmy w góry. Są najpiękniejsze na świecie.

– I śpiewałbyś mi te same pieśni, co dzisiaj?

– Śpiewałbym. – Bezwiednie gładził jej dłoń. – O, kiedy idę w góry i widzę to wszystko, i tyle mam nieba nad sobą, to ja muszę śpiewać.

Wyswobodziła ręce, ujęła jego twarz. Pocałowała go w usta. Usiadł za nią, przytulił się tak, żeby nie zasłaniać jej widoku przez okno. Delikatnie

objął jej plecy, przyciągnął do siebie. Chwilami odrywał się i patrzył na nią jakby z niedowierzaniem.

Wszedł Szarma. Spojrzał na nich.

– Trzeba się wynosić, pociąg może ruszy jutro. Tu jest motel. Powinniśmy się spieszyć, żeby mieć miejsce.

– Nie mam już żadnych pieniędzy – wtrąciła Urszula.

– Ja mam – powiedział Izmarej.

Wstała, wciągnęła jeszcze wilgotne botki, założyła kozuch. Poczula gwałtowne uderzenie krwi do głowy. Zachwiała się.

– Mam straszny ból głowy. To ze zmęczenia. A może po tym haszyszu?

– W motelu zrobię ci porządny masaż.

Na peronie uderzyło ich świeże, zimne powietrze. Poczula się lepiej. Szarma wydeptywał przejście do budynku stacji. Kilku celników w poczekalni odwróciło głowy na ich widok. Zaczekali, wskazując na Urszulę. Znowu ogarnął ją lęk i skrępowanie.

Zaczęło się zmierzchać. Zapłonęły latarnie.

– Tyle napadało przez noc... – szepnęła.

W motelu Turek długo oglądał jej paszport. Nikomu się tu nie spieszyło.

W więcej niż skromnym pokoju dwa wąskie łóżka przedzielała szafka nocna, pod ścianą stała kanapa. Łazienka była na korytarzu. Z kaloryfera buchało gorąco.

Stała w oknie, głowa pulsowała bólem, a widok ciemniejącej ulicy przyplływał i odpływał. Wszystko wydawało jej się jakieś nierealne.

Poczula ramiona Izmareja, znów przytulił się do jej pleców.

– Dobrze nam tu będzie – tchnął w jej włosy.

– Ten ból głowy, wszystko popsuł...

W łazience światło jarzeniówki zakłuło ją w oczy. Weszła rozebrana do wanny, wyłowiła uciekające śliskie mydło. Ból głowy ścisnął ją mocniej.

Izmarej wszedł do łazienki. Wtulił twarz w jej mokre piersi.

– Zejdę przynieść coś do jedzenia.

Owinęła głowę ręcznikiem. W lustrze zobaczyła swoją wymęczoną twarz z podkrążonymi oczami. Założyła nocną koszulę, położyła się na jednym z łóżek. Ból stawał się nieznośny.

Pukanie, wszedł Szarma, rozejrzał się pytająco.

– Poszedł po jedzenie – wyjaśniła.

Usiadł na sąsiednim łóżku, postawił butelkę whisky. Przyniósł z łazienki kilka szklanek z widoczkami na ściankach. Do dwóch nalał whisky, podał jej jedną.

- Nie, nie będę piła.
- Głowa ciągle boli?
- Bardzo. Nie mam proszków.

Popijał ze swej szklanki. Poczuła nagle jego spojrzenie, jakieś inne. Oczy miał czarne i twarde. Przesiadł się na jej łóżko.

- Zrobię ci masaż. My umiemy.

Zanim zdążyła zaprotestować, wprawnymi ruchami uciskał silnie jej skronie. Poczuła się znacznie lepiej, ale było jej nieswojo.

- Pomaga?
- Pomogło. Zostaw mnie teraz. – Przymknęła oczy.

Nie wypuścił jej głowy, ścisnął ją coraz mocniej. Poczuła przypływ przeraźliwego strachu. Nie była zdolna do żadnego ruchu.

– Będę krzyczeć – wydusiła z siebie. Puścił głowę, rozerwał jej koszulę na piersiach i przycisnął sobą jej ciało.

- Naprawdę? Krzycz.

Nadal nie mogła się ruszyć, ból głowy znowu uderzył.

- Nie podobam ci się?

– Nie.

– A w czym jestem od niego gorszy? Czy ja nie mam ręka, czy nie mam noga? Mam wszystko co trzeba! – zaśmiał się.

– Idź stąd. – Zaschło jej w gardle. Skuliła nogi. – Idź stąd, będę krzyczeć. – Zbierało jej się na wymioty i zabrzmiało to płacźliwie.

– Ale proszę, krzycz. Przyjdą Turcy, dowiedzą się, że ty do hotelu z dwoma faceci i nie wie, czego od niej chcą!

Oślupiała. To był koszar, który powinien czym prędzej zniknąć.

– Dlaczego on nie wraca?! – krzyknęła z rozpaczą. Odsłaniał ją, trzymając ją za ręce, zobaczyła swoje uda, zbyt szczupłe i słabe, aby stawić opór jego niecierpliwym dłoniom.

- Co ty sobie wyobrażasz?! Najpierw ja, a potem on!

Ból głowy rozsadał jej czaszkę. Ugryzła Szarmę w rękę. Zaklął, łokciem przytrzymał jej szyję, nie mogła poruszyć głową. Nie zważał na tłukące go pięści. Przez jej głowę pędził wielki dudniący pociąg, rozsadał ściany czaszki, sypał strachem i wstrętem.

- To nieprawda! – krzyczała. – Boże, poratuj!

Pociąg w czasie przejechał, już tylko z dala słyszała jego szum. Szarma uspokajał oddech, zobaczyła, że leży na sąsiednim łóżku, ociera pot z czoła. Podciągnęła koldrę na twarz, splot nitek wyglądał jak biała kratka. Zaczepiła o nią rzęsami, przymykając oczy.

Wszedł Izmarej. Nie spojrzała na niego, chciała ukryć lęk i nienawiść. Postawił na stole duży półmisek. Od zapachu potraw zemdliło ją znowu.

– Nie lepiej ci? Pójdę zapytać, czy tu jest jakiś lekarz. – Poglaskała ją po policzku wilgotnym jeszcze od łez. Szarpnęła się. Zdziwiony popatrzył na nią. Powiedział coś do Szarmy w ich języku.

Tamten patrzył w okno. Mówił przez chwilę kpiącym tonem.

Izmarej zerwał się z łóżka, nalał pełną szklankę whisky i wypił duszkiem.

– Urszula!

Wysunęła głowę spod kołdry.

– Czy to prawda?!

To nie było głos, który parę godzin temu wyśpiewywał tęskną górską pieśń.

Nie potrzebowała tłumaczenia słów Szarmy. Spuściła wzrok.

Izmarej zrobił się niemal fioletowy na twarzy. Podszedł do Szarmy, wziął go obiema rękami za gardło i podniósł z łóżka. Tamten chwycił go za ręce, ale się nie wyswobodził. Izmarej doniósł go tak do drzwi i tam postawił. Otworzył drzwi i kopniakiem wyrzucił go na korytarz, zatrzasnął drzwi.

Urszula usiadła na łóżku, rozplakała się.

– On nie jest już moim bratem! – ryknął podchodząc do niej. – Nigdy już nim nie będzie! A jak wrócimy do domu, zabiję go!

Ścisnął jej ręce, aż zbieleły, potem opuścił je gestem bezsilnej rozpacz.

– Jak mogłaś?!

– Zmusił mnie... – wyszeptała. – Zgwałcił!

Znowu sobie nalał.

– Żaden mężczyzna nie przymusi dorosłej kobiety, chyba, że ją pobije! – W jego głosie słychać było rozpacz. – Dlaczego się nie opierałaś? Nie krzyczałaś, nie wybiegłaś?!

– Powiedział, że mnie tu obaj zwabiliście. I że dlatego wyszedłeś z pokoju.

– I ty w to uwierzyłaś? – W osłupieniu pchnął szklankę z whisky na stół.

Milczała.

– Uwierzyłam. Ale krzyczałam. Tu nie słychać.

– A ja, dureń, uwierzyłem, że coś dla ciebie znaczę.

– Dlaczego wyszedłeś na tak długo?! – krzyknęła bez sensu.

– To ja nie mogę zostawić cię na dziesięć minut? Te twoje piękne oczy i twoja biała twarz... U nas dziewczyna wyskoczyłaby przez okno, zraniła go!

Spuścił głowę.

– Wydawałaś mi się taka szczerą, taka pewną... Jak żadna w świecie!

– Ależ uwierz mi, zawsze będę ci wierzyć!

Nie słuchał, kiwał się przy stole ze szklanką w ręku, powtarzając:

– Byłaś taka moja...

* * *

Rano zobaczyła go, jak śpi na wpół siedząco na dywaniku przed łóżkiem. Głowę objął rękami jak dziecko. Butelka była pusta.

Ubrała się, pozbierała rzeczy do walizki. Po wczorajszym w głowie pozostał szum, ból zniknął. Wyrwała kartkę z notesu, zapisała swoje imię i numer telefonu, położyła ją na stole. Od drzwi zawróciła, zgmiotła kartkę i schowała ją do torebki.

Wychodząc, cicho zamknęła za sobą drzwi.

17.04.2025

Teresa Bochwic

Tamara Bołdak-Janowska

Ze zbioru dialogów WISZĄCA KURA

Krótki dialog Tamary BeJot i Tola Sza

Zebranie o nazwie Piramida Tchu. O gadaninie.

BeJot: Weźmy temat: Piramida Tchu.

Tolo: Ale co to?

BeJot: Piramida Tchu. W skrócie: PTCH. Zebranie filozofów czy też mających się za filozofów (też dobrze). No tacy, gadający. Przemawiający. Lubią zebrania i przemówienia. Krótkie przemówienia, ale gęste. Jednak myśl się trafi. Heta ni pustaja wygłupianka. Maja być śmieszno.

Tolo: Czyli robimy niedorzeczność, ale w sposób dorzeczny, to jest z sensem wolności dowcipu i dotykaniem życia? Niektórzy tego PTCH nie wymówią jednym tchem. A trzeba wytrzepać z boskiego cienia kwiat, który skończył śpiew. No to najpierw komunikat: Straż pepoż miała zalać deszcz. Pytanie: czym?

Po co pytanie Już politycy będą wiedzieć, bo politycy tchną z każdej strony i uszczelniają każdą przestrzeń. Od razu mam bohatera PTCH, Elisza Doliusza.

BeJot: Co to jest straż pepoż?

Tolo: Straż przeciwpożarowa.

Głos **Elisza Doliusza** (z brustaszki wyjętyczona skarpeta w paski): Trzech polityków na metr kwadratowy wywołuje u mnie zazębienie zwich, i mogę jeść masło, ubijane tylko trzepaczką.

Słynne kolacje/ondulacje myślicieli każdego stopnia i wszelkiego wynikania fryzury przedialogujemy, tak? Elisza Doliusza umieszczam we Wstępie. On mówi zawsze to samo, więc tu też wstąpił i zasiadł, i oczywiście jako filozof jedynej myśli.

BeJot: Tak. Biorą udział w okulacjach. Okulacje są widzeniem spraw przez oko. Każdy głosi jakąś jedną prawdę prostym zdaniem i takim słynie. A ogólnie taką sytuację nazwiemy Piramida Tchu. To zbiór okulacji.



Rys. Tamara Bóldak-Janowska

Tolo: Okulacje, ondulacje w Piramidzie Tchu. Ondulację zagaił Onductus Ce, w apaszcze koloru tęczy: Nie śpiewamy jak ptak, żeby kółko to samo, i żeby bez żadnego obalenia melodii i słowa, i nie obywajmy się bez żartu.

Skarpecjusz: Dlatego oko zawieszisz wysoko albo na wyżartej przez pięć skarpecie. W pięcie Achilleśa poza Achillesem nie ma nikogo. Ontologia to byt, zaczęty od pięty.

Patologiusz Cały (i w zmarszczkach cały): A linie nic, tylko by się przecinały.

Pulla Ogrycha o maślanych oczach: Lubię siedzieć na drabinie i jeść jabłko, widzę wtedy owocujące jabłonie na pięć kilometrów i myślę: mam, dokąd iść. Każdy kierunek prowadzi do jabłoni, ciężarnej jabłkami.

Gulaszjus (czemuś od razy zdyszany): Uogólnię od razu. Świat to gulasz. Tak rozumiany świat należy konsumować na gorąco; co do odstałych resztek – wyręczy cię szczur. Szczur ma większe szanse przetrwania niż filozofia.

Pierdus Glukus, z brwiami w napaści: Moje fundamentum? Co nie żyje, to nie pierdzi.

Pierdiapiła w wyczesanej bluzce: Tezę umyślnych czynności potwierdzam. Pierdzenie jest rodzajem piły. To pożar nie do ugaszenia – tli się, tli w człowieku, a potem już nie ma z powrotem. I ulga jak obietnica. Konie

popierdują prrr, prrr, bezwonnienie. Koty i psy cichym bełtem, który rozlega się jak kania wielkości stawu.

Kąpiusz Mokry (oko, schowane głęboko, kołnierzyk à la *poeta ten*): Po co ten rozpęd? Życiowa mądrość odzywa się tylko w kąpieli. Żeby nie płoszyć myśli, nie używam ręcznika, tylko obsycham. Moczę się i schnę. Kiedy uschnę doszczętnie, myśli będą wolne. Myśleć tak jest strasznie, starczo i co z tego. Zielenić się muszę świadomie, czuć: żyję, więc czuję własną listność; a nagle to: ktoś mnie włożył do głupiej książki, żeby zasuszyć; niech zasuszy, tylko nie w takiej książce.

BeJot: Usłyszałam: Kpisz, Mokry. Też dobrze.

Babę mam w PTCH:

Bullachrzanna: Najważniejsze jest podwórko, zarośnięte bullą i chrzanną. A żeby świętych uchronić od zawrotów głowy, zawieszam kalendarz i dodatkowo przylepiam go na ślinę. Święci przymocowani do dni, pór roku, świąt. To jest to. Patrzą w nasz dzień. Kalendarz zmusza i oko święte do popatrzenia. Musi zmusić. Siła przekonania to jest to. I moc mojej śliny we mnie i poza mną, i na ścianie. No i bulla i chrzanna na podwórku to jest to. A nade wszystko ślina moja.

Ksylopont Pax, zza ciemnych okularów: Kto najęty do mówienia, ten mówi, a kto najęty do milczenia, ten milczy. To upadek cywilizacji! Opłaceńni do tego i tego!!! Kto nieopłacony, to ani nie mówi, ani nie milczy. Najwyżej zamiata podwórko. Jak nie ma podwórka, to tyłkiem ulicę. I szui! Szui! Miotła zastąpi mowę i milczenie. I sziiurd! Sziiurż! Drd! Na kamień trafi.

Tolo: Powietrzalia (w czymś puszysto-przezroczystym): A ja latam, latam, jak nikt nie widzi. Napęlniam się powietrzem. Którego dnia się powieszę, jak nikt nie będzie widział. I tak nie widzi. Bo ja nie mogę nie latać. Nie posiadam momentów nielatania. Dziś niby tu siedzę, ale i tak latam. No widzicie, że nie widzicie.

BeJot: Drabinus Fuktus: Wierzyć nie muszę, ale wiara to kierunek anielski. Wszędzie powinny stać drabiny, one dają spojrzenie z góry na całe życie. A pod nimi kwiat Fuktus. Tak się nazywa, bo fuka. U nas kaliś kazali: A czamu ty cely czas fukajasz na minie? Fukać było tym samym, szto bzikać. Chtoś bzikaũ, fukaũ na kahoś.

Tolo: Jeszcze raz **Powietrzalia:** Sen był ogromny – ze słów był wydmuchów. Gruba obu-do-budowa dodatkowa, cienka obu-do-budowa dodatkowa wydmuchały budów ów. Opowiedzieć? A nie. Wy tu wszyscy wydmuchujecie to. Mamy wspólny budów, obu-do-budów.

Dymiuszprób (składając i rozkładając dłonie, jakby miał pliszkę w okładkach) zamyślony w sobie, ale i trochę poza sobą, wydobył myśl: Filozofowie będą deszczem, który jest wieczny i nie zazieleni, chyba że dupę w stołku, a to jest jak chodnik pod pachą. Twoja zieleń dupy w stołku nie wzmaga mnie. Kurczy. Po chodniku pod pachą się nie kroczy, nie idzie i nie biegnie. Po co on mi. Są jednak słodkie jadalne chodniki, zrulowane na tacy. Taca pachy nie ma. To prawda, choć brzmi niedorzecznie. Zielen czyjeś dupy w stołku mam uznać za moją puszcę?

Pierzchalia – kok nabity na niebezpieczny szpikulec poruszył się – podniosła oczy znad robótki: Ja tam wiem swoje. Medytującego księdza poznasz po tym, że splata dredy w brodzie, a często się widzi, że ma dredy trzy.

Dębalia: E, tam. Niebo jest dębem, bo nawisa. Ja tam w ścisku autobusowym posługuję się wykałaczką.

Elisz Doliusz: Zobaczycie, że wraz z rozwojem cywilizacji myśli stadami będą odlatywały do ciepłych krajów, i tam pomrą lub zalegną w stagnacji, bo zależą od pór roku. I będzie u nas taki stan, że ni ptaka, ni myśli. Ptaki zbierają myśli, a myśli siedzą w ptakach.

BeJot: Ondulina Ech: W odurzających napojach twoja twarz się kłębi – nie masz oczu, żeby złowić oczy w tym kielichu, i w kielichu kwiatu. Kłębiąca się twarz nie stanowi metody.

Tolo: Tercjanna Finita: Są okrągłe ścieżki. Nagle trafisz na początek wędrówki i anulujesz pytanie, czy Armstrong wysikał się na Księżycu. Nagle wiesz, że coś może się nie powtórzyć. Powtarzalność, gdybalność. Ktoś może w ogóle o coś nie spytać. I nie ma słowa „gdyby”. I może go wcale nie będzie.

Ksylopont (mankiety koszuli spięte kolorową tasiemką, zawiązaną w paradne kokardki): I bez nowego żartu. I nie jemy robaków. Robak przeżyje.

Tercjanna Finita: Tak. Kto z nas smaczniejszy dla robaka? Oto pytanie.

Ksylopont: Pozostanie bez odpowiedzi. I na wsze czasy nas zatrwoży.

Pulla Ogrycha: W tym, co prawdziwie ostatnie, nie ma okien, bo ściany wiją się.

Pod ogonek szlachetnego gryzonia, nabity na wykałaczkę od strony poręcznej, Onduktus Ce podsumował okulacyjne zebranie: Wszelka wesz czai się w szwach dyskusji, żeby pokrywkę i dno domyc z tchu.

I z fotelowym spokojem dał słowo na drogę: Jak nie wiesz, gdzie ma zęby kamień, to nic nie wiesz. A jak nie wiesz, co to są dyrdy, to też nic nie wiesz.

Tercjanna Finita, zatraskując torebkę z dźwiękiem pst!: I głowy całe, i wesz napita. A co to są dyrdy? Giry? Jedna gira. Jedna dyrda?

BeJot: Ů Narejkach kazali: Jakuś prydyrdaju. Zhorblusa i prydyrdaju. Dyrdy balać, ni tolki śpina. Prydrypaju.

Zapisuje: Faluje szyba samochodu. I ktoś bezpieczny w tej głębi. Zerka-
jący z tanecznego, posuwistego walca.

Znowu liść – z żylastym grzbietem. Liście pędzą, bo są pędzone.

Tam czyjaś stara twarz – poorana jak łupina orzecha.

Jak my kaliś kazali: I zaraz budzia ůsiamu piździec. Piździec – to samo, co: pierdut! I jeszcze kazali: A u was jak? Dy ůsiałak. Dy abyjak.

W zasadzie pytanie „Czyje to?” i odpowiedź „Niczyje” czyni nam to, co zwiemy Bogiem, Byciem, Sensem, Absolutem, Duchem. Heta czyjo? Dy niczyjo.

Joanna Wilengowska w książce „Król Warmii i Saturna” pyta, luźno cytując: Jeśli nie jestem ani Niemcem, ani Polakiem, to kim do cholery jestem? I ustanawia sobie narodowość warmińską. Po ojcu. W spisie tę narodowość podało 148 osób. A jeśli my tak spytamy? Jeśli nie jestem ani Polakiem, ani Białorusinem, to kim do cholery jestem? Podlasiakiem? A jeśli pradziadowie byli zza Grodna, z Wilna? Z całego WKŁ? I w ogóle nie wiązali się z Podlasiem? Jeśli nasz rodowód nie jest zawężony jedynie do Podlasia? I w ogóle najmniej było nas na Podlasiu? Lićwinami byli kaliś w Kniastwie, ůsie. Siońnia my nichto? Pry śmierci ůsie nichto. Śmierć ůsich wiaza ů swajo niszto. Piersz zwiazała ů swajo niszto naszu lićwińskuju ajczynu. Zwuziła nas na Padlaszsa. Ali my ů jom ni mieścimsa. Trebo zabycca pradziadaů? Podobnie i niepodobnie rzecz miała się z Prusami, w których kiedyś było się Prusakami, ale tam wyraźnie istniała warmińskość jako od początku coś odrębnego od północnej niemieckości i południowej polskości. No więc miało to sens, związanie narodowości z nazwą miejsca. Dla mnie nie stanowi sensu zamiana białoruskości na podlaskość. Ja rozumiem, że dla bardzo młodych granice są jakoby od zawsze, Podlasie skurczone, a wiedza o pradziadach żadna. A przecież była Biała Ruś, Czarna Ruś, Czerwona Ruś. I z Podlasiem Biała Ruś nie ma mocnego związku poza historyczną skłonnością do nazywania go Białą Rusią. Związek ma Czarna i Czerwona Ruś, choć dzisiaj takie Rusie (Wołyń, Lwów) nie należą do nowego Podlasia. Można poczytać historyków, zobaczyć mapy. Nie mam ochoty dokładniej tego tłumaczyć, skoro można znaleźć wiarygodne historyczne materiały w Internecie. Kiedyś wspomniał o tym Sokrat, o nieprzystawianiu niektórych naszych kolorowych nazw do regionów.

Może jednak spytajmy: Jeśli ja nie jestem ani polski człowiek, ani białoruski, to kim do cholery jestem? Może białoruskość sama w sobie jest pograniczem? Jeśli byłoby tak, to możemy bez problemu uznać, że Mickiewicz to człowiek białoruski. Właśnie. Człowiek białoruski. Brzmi to nieźle. Naszą tożsamością byłby brak tożsamości? Tak. A przynajmniej niewyноszenie tożsamości etnicznej ponad człowieka? Tak. Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę, będziemy Polakami? Tak. Jak nie przejdziem, to nie będziemy. Nie będziemy. Jeśli rodzice uważali się za Białorusinów, to i ty tak powiesz w spisie? Tak. Albo pominiesz to pytanie, wszak odpowiedź nie jest obowiązkowa.

Jeszcze raz: dawne Podlasie składało się z części laskiej (polskiej) i części ruskiej (rusińskiej), i taki podział przetrwał w języku prostym ((lask, laska, ruskać – nie rasiejskać; my ludzi ruskija), w języku mojej matki, czyli w mojej pamięci. No to może zasadne jest pytanie: Kim do cholery jestem ja, człowiek ni polski, ni białoruski? Podlasiakiem? Podlasianką? Nie będzie to jednak tożsamość etniczna, a oficjalne zacieranie etnicznej tożsamości. To nowy rodzaj asymilacji. Większość stale myli ruskość z rosyjskością, a to nas wpycha w zakłopotanie, nie chcemy takiej ruskości. To psychiczna zaszłość porozbiorowa. Podlaskość, czy laska, czy ruska, jest brakiem tożsamości. Takim oficjalnym zawiadomieniem niczego nowego nie dokonujemy. Historyczną stolicą Podlasia był Drohiczyn nad Bugiem.

Tolo: Zmieniłaś tok rozmowy na poważny.

BeJot: Bo nie mogę zapomnieć, że twoja niemiecka matka, przez małżeństwo żyjąca w warunkach pełnej asymilacji i zmiany wyznania, przed śmiercią zaczęła mówić do siebie po niemiecku. Mówiła i mówiła. Wiesz to od siostry, a siostra nie zna niemieckiego, nie wie, co matka mówiła. Widzisz? Dusza się nie asymiluje.

Tamara Bołdak-Janowska

Adam Wiesław Kulik

Wytyczne dla tajniaka

(z tomu *Menażeria*)

Ewokacja, żadne serio, gdyby kto zajrzał przez plecy. Przeczyta pierwsze zdanie i wali go w łeb – na starcie mamy przewagę.

My, z Bożej łaski artyści sztuk pięknych, sztuk wyzwolonych i wszelkich innych, ogłaszamy wszem wobec i każdemu z osobna, kto chce, czy nie, by wiadomo było każdemu: dziękujemy rodakom za trud i wkład włożony w zwycięstwo naszej ukochanej Partii Miłości. Albowiem PeeM (nie mylić z Partią Zjednoczonych Przemysłów Rozrywkowych) przez ostatnie cztery lata wzniosła się na absolutne wyżyny polityki miłości i osiągnięć, czego o mocno bylej pezetpeerii w żaden sposób powiedzieć się nie da, chociaż usiłowano mówić wiele.

Dalej już poleci.

Mamy wszystko! Nawet gdybyśmy chcieli podbić Niemcy i Rosję jednocześnie i z każdej strony, z Partią Miłości albo bez, jesteśmy w stanie! Persja na dokładkę! Gargantua nie takie rzeczy kombinował. Z miłością na wieki wieków!

Konsekwentnie: usprawiedliwić i oczyścić kalumnie, które przyssały się do poszczególnych nawet osób! – że polecimy towarzyszem Wiesławem. Szczególnie zależeć na utrzymaniu dobrego imienia Partii Miłości i jej duchowego oraz realnego przywódcy. Jednocześnie zdemaskować wszelkie zajadłe insynuacje i pomówienia, w jakich celowała opozycja jawna i utajniona, bojąca się powiedzieć prawdy prosto w oczy. Czas powybiorczy sprzyja konstatajom.

Po pierwsze: nikt nikogo nie chciał podsadzić na żadnym hazardzie i – co udowodnił znakomity poseł imieniem Justynian Pustuła – nikt z Partii Miłości nawet nie pomyślał, żeby hazard ustawić tak, by bilansował kombinatorom, a nie skarbowi naszej ojczyzny. Oddanie rzeczzonego posła było tak wielkie, że opozycja musiała wymyślić haniebne oszczerstwo jakoby rzeczony poseł przemawiał do pustych krzeseł. Co to parlament: kabaret?

Jonesco, Witkacy i Becket w jednej osobie – święta trójca? Piszmy z malej, bo nie o tę świętą chodzi. Tylko Łońka pociągał za sznurki w Moskwie. Jak ciągnął – kukielki tańczyły i u nas. Teraz demokracja: jak półcar Wołodia mówi, że samolotu Pana Prezydenta nie odda, to nie tylko mówi, ale i nie da! I co my mu na to?

My pokłony w pełnym składzie rady ministrów.

Do użytku wewnętrznego: To się może zmieniać w różnym czasie: raz pokłony, raz krytyka, raz udajemy, że dajemy dupy, innym razem dajemy naprawę. Stop!

I co do tego mają jakiekolwiek sznurki? Czasem jakiemu ministru czas się pomieszają, na przykład od watah łowców z osad wydmowych. No, ale! Wiadomo, że pan minister tęgim Europejczykiem jest, tylko nie doczytał zajęty pizzą, którą mu właśnie dowieźli ochroniarze. Historii własnego kraju znać nie musi, wystarczy, że usłyszy dzwony w jakimś kościele. Kościołów u nas sporo. To najzupełniej wystarcza dla sprawowania urzędu – głos dzwonów nigdy nie jest przypadkowy.

Każdy średnio uczony wie, że jest jakaś kultura, i od czasu do czasu czegoś nie wypada robić, jakieś prowincjonalne poczucie wstydu, czy zażenowania. Tu – nic! Wszystko wolno: w tym miejscu Europa knajacka jest! Ot, i wyszedł oksymoron. Niechący!

Po drugie: chamskie zarzuty o podwójnych, a nawet poczwórnych kosztach budowy domniemanych autostrad i stadionów w stosunku do podobnych realizacji na dawnym zgniłym Zachodzie (obecnie Zachód przodujący jest!), a nawet w mocno górzystym Tybecie, są jednoznacznie oszczerce i kłamliwe. To wymysł czysto kapitalistycznej, imperialnej propagandy oraz opozycji, która nic nie robi, tylko z prawa knuje i insynuuje. Już mamy to z głowy. Gdyby coś umiała robić, przynajmniej kawałek autostrady własnoręcznie by wybudowała – o czym mowa? Poczworne koszty przynależą półcarowi Wołodii, innym wara!

Po trzecie: jeśli chodzi o wrodzoną Partii Miłości politykę miłości, to nikt nigdy na oczy nie widział zapluwającego się od samego rana na mównicy, siwego na jeża z miasta Łodzi. Przez siedem dni w tygodniu! Ani przed kamerami tivi. Oczywiście absurd i halucynacja zbiorowa. Ten bardzo kulturalny, nobliwy pan, w wieku wskazującym na rozum, rozsądek i wszelkie towarzyszące wiekowi przymioty, tylko dystinguje. Czasem,

dla wspomnienia się, przy użyciu fasolki po bretońsku w obecności po-
nętnej panienki, która to bretońska tylko z nazwy jest. Tak samo nikt nie
zdejmował (a tym bardziej siwy na jeża z miasta Łodzi), ze stanowiska pana
byłego Prezydenta nie wiadomo za co – słyszeliśmy, ktoś, coś, kombina-
cje alpejskie, nie podając przyczyn. Jeżeli już było cokolwiek mówione, to
łagodnie, bez zaplufowania się i w duchu pojednania. Tak jak w duchu po-
jednania i kultury wprowadza się przykładowo jakiś stan wojenny, ścieżki
zdrowia i inne takie, co może poświadczyć niejeden pułkownik. Nazwisko
Mazguła jest najzupełniej przypadkowe, tak jak Marucha, Pietrucha, Pier-
doła i inne na Pe.

Sromotny przypadek zabójstwa gościa z opozycji, jakieś katastrofy sa-
molotowe, mniejsze, większe, przypominamy: ciągle knującej, nienawidzą-
cej i nawołującej do nienawiści, są niestety przypadkiem zdziczenia indywi-
dualnego, jednostkowego. *Tu: Unikać rozgłosu, bagatelizować.* Nasza PeeM
nigdy nie rozsiewała niczego, nie jątrzyła, nie dzieliła, wręcz przeciwnie:
tylko z miłością i o miłości bliźniego swego jak siebie samego. Co najwyżej
pan premier z nudów zabawiał się z panem prezydentem w samoloty, przy
całym oddaniu personelu naziemnego i powietrznego. To jest powietrzna
gra i nie zawsze wychodzi. Poza tym wszystko zawsze porządnie dopilno-
wane i zaplanowane, tu nikt się nie może przyczepić.

Pan premier, jako sublimat Partii Miłości, wszystkich kocha najbar-
dziej, a już szczególnie op-opzycję. Op-opzycję nawet bardziej od siebie sa-
mego! Tu zastanawiamy się, czy jako wrogą, nienawistną, niepraworządną
siłę nie powinniśmy pisać przez duże O, żeby zwrócić baczniejszą uwagę
i przestrzec wszystkich! Miłość pana premiera do ludu jest równie wielka
jak wodza Korei, tej Północnej (*nazwisko chwilowo wypadło, na wszelki wy-
padek nie przypominać*) albo innego Czou En-laja. Każdy wódz, bez wzglę-
du na szerokość geograficzną, lśni jak słońce, pan premier też lśni, co wie-
my z różnych filmów, na przykład niejakiego Andrzeja F., który osobiście
pofatygował się do Korei, żeby odpowiednio nakręcić tamtejszego wodza.
W Korei miłość jest tak wielka, że w ogóle nikt nie chce być w opozycji!

Liczymy, że w szybkim tempie nasza PeeM i osobiście pan premier do-
prowadzi nasz ukochany kraj do stanu wszechobejmującego, jednoczącego
wszystkich uczucia, bez względu na rozmiar biustonoszy. W swej miłości
pan premier, kiedy już wstanie rano koło południa, musi przypierdolić,
inaczej dzień stracony. Inaczej Op-opzycja nie wiedziałaby, że jest Op-
-opzycją. *Postanawiamy odtąd konsekwentnie przez duże O z kreseczką*, żeby
uczulić. A jak pan premier przy... – tu kropeczki, wiadomo o co chodzi

– nic dziwnego, że prawem ciągu przypierdalają inni, na przykład duży łysy Lenin z Krakowa, ten po prawie, chociaż wcale nie mają na to ochoty. Albowiem prawo ciągu jest właśnie konsekwentne, czyli tak zwany czysty pęd, ili czyste lizusostwo, żeby tylko się przypodchlebić. Czysta fizyka nuklearna albo inna, tu mamy wątpliwości jako humaniści pisujący wiersze, wytyczne i malujący obrazy – *Mistyfikacja, mistyfikacja!* Niemniej, to stan przejściowy, wszyscy zdajemy sobie sprawę, w którą stronę działania PeeM zmierzają.

Po czwarte: jeżeli chodzi o „dorzynanie watah”: z całkowitą i bezwzględną pewnością wymyślił te słowa lider Op-ozycji (a imię jego na Jot), i poprzez demagogiczne, codzienne, radiowo-telewizyjne sączenie wypuścił jad, który trysnął na naszego ministra spraw mniej większych. Ministrowi te słowa nie tylko przez usta, ale i gardło by nie przeszły, albowiem to człek elokwentny, kulturalny oraz mieszka w pałacu. Więc obowiązuje go etykieta pałacowa od początku do końca, a nie bolszewicka (*wszystkich, którzy w tym miejscu mogą się skrzywić należy przepraszać, bolszewizm bowiem u nasz różnie różnym się kojarzy*).

Nam też się kojarzy – w domyśle jakiś Komarów, lanie Budionnego, 1920. To pomówienie jest całkiem prawdopodobne, albowiem mamy państwo bardzo pluralistyczne z bardzo pluralistycznymi mediami publicznymi, które nie wiedzieć czemu, z dnia na dzień, coraz bardziej przypominają zarzynanego tłustego koguta. Potoczna wiedza, że się budowało, rozwijało i wyposażało publiczną tivi, aby kumple mogli za grosze przejąć i rozkraść, jest ponownym i udowodnionym wymysłem wrogiej, kapitalistycznej, burżuazyjnej i nienawistnej propagandy robionej wiadomo przez kogo. Oczywiście, wiemy: pierwsza litera duże O! Dalej jest były zgniły Zachód, w dodatku jakiś amerykański, z którym nie wiadomo co robić. Najlepiej byłoby go wysłać na jakąś wyspę albo na Marsa. Odległy Wschód jakby znowu się przybliżył.

Po piąte: poprzedni akapit co nieco się rozbudował, więc będziemy skracali. Nie bardzo wiadomo pod jaki paragraf podciągnąć przypadek posła – wówczas PeeM – który koniecznie chciał badać mięso po świętej pamięci Panu Prezydencie *tu nas skręca, ale szacunek, szacunek: z dużej, itede*. Celowo piszemy: mięso, w razie publikacji medialnej nie poprawiać! Jak wiadomo, poseł, bardzo energiczny, prawy i ogólnie szanowany, chociaż ma wąskie, zacięte usta i złe oczy, tyle, że jakieś gównu za nim się

ciągle ciągnie. Otóż on takich słów o badaniu mięsa na alkohol w życiu by nie wymówił! On też mieszka w pałacu lub jakimś dworze, z wszystkimi konsekwencjami. To ewidentnie wina Op-ozycji, która i tu musiała zasiać ziarno nienawiści, które padło na poletko wskazanego posła. On jest nasz: jeszcze nikt nie wystawił na kandydata do parlamentu człowieka leczonego psychicznie. Z wyrokami sądowymi się zdarzali. To bardzo wesoły pan, szykuje już nie koniec cesarstwa rzymskiego i nie średniowiecze, ale całkiem popier...oną apokalipsę!

Wyłącznie do użytku wewnętrznego! Nie puszczać dalej.

Tu przepraszamy, piszemy unikami, ale słowo jest wyjątkowo brzydkie (zwłaszcza po wyborach!), aczkolwiek wyjątkowo trafne. Podziwiamy te półtora miliona cepów, frustratów i ludzi zwyczajnie otumanionych, oszukanych w swojej naiwności (każdy wybiera coś dla siebie). *Sugestie*: zapisujemy się do tej wesołej partii. Wyczuwamy ubaw nieziemski, ale wcześniej wnosimy postulat badań psychiatrycznych dla każdego przedstawiciela ludu w akcji wyborczej, aby nikt później nie miał pretensji ani wątpliwości w stosunku każdego do każdego.

Zaświadczamy! *Dobitnie!* Wyniki wyborów jednoznacznie świadczą, że w naszym ukochanym kraju jest dobrze, a nawet przewspaniale. Wspaniale było tylko na Wschodzie, co opisały typy o nazwiskach: Zoszczenko i Babel, a nawet niejaki Bułhakow i Szałamow, nie mówiąc o Sołżenicynie, który nie wiadomo z jakiego powodu laureatem został, a później musiał być wydalony. Wątpliwości budzi dźwięk i wydźwięk nazwisk, z samego dźwięku podejrzanych. Jedno z nich składało samokritiku, drugie zatłuki w Butyrkach. Polskich nazwisk opisywaczy nie podawać, żeby nie być posądzonym o stronniczość.

U nas też był czas wspianiały, gdy „nasza partia” wiodąca wyrwała 93, a w porywach nawet 95 procent w wyborach! Nasza ukochana PeeM musi się podciągnąć i upodobnić, żeby przynajmniej te 90 wyrwać. Da radę, na prawdę, jesteśmy coraz bliżej! Wręcz osłupia nikły procent – ledwie półtora miliona na partię pana byłego posła. Co jest? Infantyizm, cynizm absolutny i głupota, bezwolność i uległość medialnym prestidigitatorom! W następnych wyborach ma być co najmniej pięćdziesiąt procent! Wtedy wystarczy jeden głos dodany. I osiągniemy dobrobyt, a przynajmniej chwyt do jego objęcia.

Po szóste: żale nad kolejami, drogami – i co z tego że ich nie ma? Czy jeden super zakład puściło się za złotówkę? Jedną cukrownię,

stoczną rozszabrowało? Nawet tę tutaj, półtora kilometra stąd. Uważamy, że naszym ukochanym sąsiadom należy odpalić kompleksowo energetykę, wojskowość, szkolnictwo i w ogóle. Po co się męczyć, oni mają różne zdolności i możliwości, niech zapierdalają! A my tylko trud i narzekania. Po odpaleniu będzie przyjemniej i bezstresowo! Bez setek dręczących problemów!

Gdyby chcieli się targować – śmiech na sali – żarliby się przecież sami! Pomiędzy sobą! My byśmy tylko śmieli się z ich naparzanek. Nikt nie musi pamiętać jak nas rolowali siedemdziesiąt lat temu. Zauważmy: rolowali dosłownie, jak ludzki gnój, jak niewolników... Ci ze wschodu, i ci z zachodu... Wybijając w pierwszym rzędzie nieudaczników inteligentów, profesorów, artystom i wojskowym też się należało. Ludzki gnój... Może teraz nad Wisłą tak wesoło, że zrobili, co zrobili? *O rozbiorach nie wspominać, wiedza osobista*: nasi aktualni najwięksi przyjaciele drenowali nas przez 123 lata (łatwo zapamiętać: jeden, dwa, trzy!) jak najdziksze królestwo Papuasów albo innych Hutu. Zrobili nam Afrykę w samym sercu Europy. To było dawno. Tera wielkimi przyjaciółmi są. Mamy dowody, możemy im wszystko oddać. Warto zaryzykować! Nikt nie będzie protestował przeciw uczeniu się języków: od Odry do Wisły – niemieckiego, od Wisły do Bugu – rosyjskiego. Czysta głupota opierać się. Z obcym językiem czuć Europejczyka, przez duże E. Pan premier będzie zadowolony i ukochany od przykładowej pani kanclerin, albo od łysego co ma fizis jak sprzedawca sklepu mięsnego; pan minister od kultury, co prawda nie bardzo wiadomo jakiej, i drugi pan minister od pałacu, który na skrzydłach ganiał do Berlina prosić o objęcia i protektorat.

To jest to!

Więcej optymizmu!

Należy się zastanowić, czy potrzebne jest państwo jako takie? Gazety w obcych rękach, telewizje – i już widać bardzo przyjemne i bardzo korzystne skutki. Przy wyborach wszystkie telewizje, niby różne, rzną jak ze wspólnego scenariusza. Jak się da ogłupić sześć milionów, skuteczność wystarczająca, można rządzić. Plus te półtora jeszcze, co na pana posła. Wystarczy jeden kanał tivi publicznej z nieustającymi programami tuzów, by tak rzec, reprezentującymi szczyt naszego dziennikarstwa. Elokwencja, swada, ogólna wiedza o życiu, i w ogóle, niestrudzenie nas zdumiewa! Goebbels nie był lepszy! Robił to samo po to samo! Od czasu do czasu można dorzucić do programu nawiedzoną lesbijkę, albo bardzo elokwentną panią reżyser, żeby ponadawała obiektywnie o ksenofobii, antysemityzmie

i granicy z Białorusią. *Mniejsza o prawdę*. Kto dziś pamięta, że tu mieszkały kiedyś trzy miliony Żydów?

Tu przemilczamy dyrektywę towarzysza Stalina, rocznik 1943: wmawiajcie wrogom, że są antysemitami i faszystami. Długo i często! Konsekwentnie! Skutek murowany. Co tam Stalin, śmiało się powoływać na Dżyngis-chana. Różną, od Mongolii aż po Odrę. Prawie swojak! W tivi programy o naszych zachodnich sąsiadach – koniecznie z udziałem pana premiera i jakiegoś profesora, jest paru chętnych. Im bardziej sklerotyczny, tym lepszy. W programach o Wschodzie konieczny udział byłych ambasadorów komunistycznych w Moskwie, jest taki na Cy czy na Gy? To naprawdę się przyda!

Słowem, ostatnie wybory zatrasnęły furtkę, aby kraj mógł jeszcze piękniej kwitnąć! Trzeba uważać i wyciągać wnioski: za komuny w mediach kwitł jeszcze bardziej a jednakowoż tępnęło! I to jak! Sam generał patriota musiał wprowadzić dziesięć lat czyścica. Czyj patriota – wiemy. Teczki udostępnione. Taka pluskwa rodzi się raz na dwieście, trzysta lat... Plus parę pluskiew mniejszych. *Pluskwa – powołujemy się na cara Wołodę. Jego słowo o Czeczenach.*

Sugestia siódma: organizować spotkania w jakimś dawnym królewskim dworze, w jakiejś stajni Augiasza, dookoła blejtramy, plakaty i terpentyna, wiatr hula w te i we wte: ku jakiejż galaktyce gnamy? Na podbój świata czy na podój? Jak to możliwe, że historia przecież naszego, ukochanego kraju tak niewiele nauczyła tak wielu? Nie zgłębiamy!! Odpuszczamy! I w imię czego ci, którzy zostali wybrani by budować, czynić człowieka i jego życie lepszym, tak zażarcie, bezpardonowo i cynicznie niszczą go odcinając od korzeni i reguł, które porządkują życie. Oto Pytanie przez duże P... Niby wszystko OK., a spod wolności, luzu, medialnej hucpy serwowanej przez wybrańców i politruków czuć trupi zaduch. Naprawiać to!

* * *

Tajniak poruszył się na krześle i zastygł. Rozejrzał się, zebrał notatki, wsunął do płóciennnej torby, tzw. „biura”, które stale nosił przez ramię i podniósł się jakby miał zamiar wstać. Szybko jednak usiadł, wyciągnął szpargał i czytał dalej.

Łączymy się w wyrazach, szacunkach i bratersko-partyjnych pozdrowieniach, czas najwyższy skończyć z pseudoartystyczną wolnością i nie-spolegliwością. Propozycje kolejnych haseł:

Każdy artysta – artystą partyjnym.

Tylko głupi nie należy do Partii Miłości.

Albowiem Bóg jest miłością, a PeeM jego oczkiem w głowie! Tylko zaślepiiony ksenofob może tego nie czaić. Amen.

Coś mu jednak nie dawało spokoju, znowu pochylił się nad papierem.

Co z tym Bogiem...?

Rozkładać kraj, żeby ukraść parę milionów? Tym z osiemnastego wieku też wydawało się, że będą żyć wiecznie. Kiedy już zdechli, wyrzucano ich z grobów jak psy. Nagich, pod płót, jak Szczęsnego... Gdzieżby – w jego Tulczynie – kiedyś w Rzeczypospolitej, dziś na Ukrainie. To coś mówi.

Tych, co głosowali na byłego już pana premiera (*nieoficjalnie dużo sympatii dla niego, chłopisko szarpie się, kłopot z umiejętnością dobierania współpracowników?*), sugerujemy umieścić w jednym miejscu, żeby nie przeszkadzali. Nowy człowiek nowego czasu nie dla nich. *Suflować*: Wykorzystać kryzys, kupić tanio od Greków wyspę i tam kulturalnie przeflanconować zwolenników – będzie z pięć milionów. Niech tworzą republikę grecko-patriotyczno-polską. Prezesa zostawić na miejscu, żeby ostatecznie przekonał się, że nie ma racji i ostatecznie, żeby mógł załamać się psychicznie. W sposób niesłychanie wyrafinowany, okażemy temu panu naszą wspianą politykę miłości naszej PeeM. Nikt nie będzie ubliżał od postbolszewii, bo przeflanconowanie na wyspę zorganizujemy w sposób humanitarny. Z namiotami i wodą mineralną.

Szkoda tylko przewspaniałego pana ministra tak haniebnie wypieprzonego z poprzedniego rządu. Czy był mniej zdolny i ambitny od pozostałych? A skądże! Wykazywał zdolności jakby więcej! Wiadomo – psychiatra! Dobrze, że miasto Kraków znalazło się odpowiednio – żaden wstyd, jak szemrzą politrucy drugiej kategorii. Szczęście, że przewspaniała pani minister dostała kopa w górę, i to jak! Jeszcze czuć smród lizolu z resortu... A na miejsce pana ministra znajdzie się nowy, lepszy, choćby ten wystrzyżony, byczek z brzuchem, z Warszawy. Nikt tak pięknie i tak beczelnie nie potrafi kłamać. Artysta! No, może jednakowoż Mistrz sięga wyżej (*z dużej litery, szacuneczek*).

Ostrzegać przed byłym premierem! Pamiętamy, że jego zwolennicy od dawna na greckiej wyspie! Rozlepiają ulotki typu: porzucić cholerne pospolite ruszenie od pijaru i zaciągnąć parę oddziałów zawodowych kopijników.

Żadne pospolite ruszenie nie wygra z zawodowymi, dobrze odżywionymi kopijnikami-kłamcami. No, chyba Szwajcarzy, ale u nich w każdym domu kałach. I mają Alpy! A u nas handel ze Wschodem dorżnięty (copyright pana ministra), a Tatr jak kot napłakał. Z czym do ludzi?

Podpisano: Tajny Radca Tu-Stanu

Nie kombinować, że rozporządzenie stare i nieaktualne. Aktualne i nieprzemijające! Schemat wraca jak bumerang. Teraz też się sprawdzi.

Odsapnął, jakby odprężony, i uniósł sfatygowane gnaty. Wolno szedł po grubych dechach podłogi. Wynurzył się wreszcie z byłej szkoły i ruszył w stronę byłego kina. Kopnął butem końskie łajno. Zaśmiał się i zanucił:

Płynie gównem potokiem
czasem mgła otula je
płynie środkiem raz bokiem
to znów kręci się.
Płynie gównem potokiem
to znów niknie pośród fal
to znów mrugnie rdzawym okiem
i odpływa w dal.

Wydawało się, że całkiem serio szedł w stronę poczty nadać list. Ale poczta dawno skasowana! Tak jak szkoła i kino, czynne jeszcze rok temu.

Adam Wiesław Kulik

Piotr Müldner-Nieckowski

Te cholerne listy

Jest już pięćdziesiąt osiem dni od tamtego dnia, kiedy przyszedł pewien list, czyli kiedy to się stało, i co noc obracam się wokół innej osi, a mimo to wciąż wychodzi na to samo. Ciekawe, że żadna z moich kolejnych pań o to nigdy nie zapytała, jednak wiedziałem, że muszę przeżywać te moje mężczyźnie całym sobą. One nie wierzyły, że coś takiego jest możliwe. Ale ja jestem facetem i stwierdzam: jest możliwe, bo ja tak zawsze miałem, wszyscy koledzy z klasy i pracy tak mają, a jak mam ja, to mogli mieć wszyscy faceci na całym świecie i wczoraj tak mieli, i dzisiaj tak mają, i jutro będą mieli, nawet za trzy tysiące lat, chyba że nas załatwi jakaś sztuczna inteligencja albo nowa komuna. List z sądu, bo o nim mowa, ma prawo dokanałowo załatwić każdego porządnego faceta, o ile ten dureń ów list odbierze i na ekraniku podstawionym przez człowieka z poczty podpisze, że otrzymał. Mówię „człowieka”, bo to może być zarówno ona, jak i on, czyli jakiś gość. Na jedno wychodzi.

Mylące są przesady, że mężczyźni produkują tylko ten testosteron, a kobiety tylko te estrogeny, słynne hormony. A nawet mogą to być roślinne, które biorą udział nie tylko w seksie i w sprawach od niego zależnych, ale i nawet takich jak rozum, moralność i patriotyzm. Kto tego nie ma, może przez całe życie nie zastanowić się, po co mu powietrze i woda, a płodzi wciąż samego lub samą siebie. Stąd się bierze mnóstwo problemów. Ja miałem takich sporo. Po maturze poszedłem do szkoły ekonomiczno-podatkowej, żeby coś robić, a nie chodzić do pracy, i już w pierwszym roku nauki dostałem od koleżanki z grupy, Ewy Wiśniewskiej, liścik, w którym napisała, że się we mnie kocha i chciałaby mnie mieć na zawsze, tylko nie wie, co ja na to.

No to dzień po otrzymaniu owej epistoły, bardzo zmyślnej, w środku ozdobionej kalkomanią z kwiatkami, po której zresztą musiałem się zamknąć w łazience, żeby rozładować emocje, i potem rozejrzałem się po klasie, w której na zajęciach przesiadywała nasza grupa, bo chciałem się rozeznąć, która to jest ta Wiśniewska.

Okazało się, że są Wiśniewskie trzy. A Ewa? Dwie. A która to jest ta, co mi wysłała list? Wiśniewskie wyszły na korytarz, nie było ich pół minuty

i wróciły, a jedna z nich, najbrzydsza zresztą, powiedziała, żebym im oddał ten list, bo ta Wiśniewska, co go napisała, rezygnuje z całej sprawy i dupy jednak mi nie da.

Dobra. Poszukałem innej, Jabłońskiej, potem jeszcze innej, jeszcze trzeciej, nasyciłem się i ta Ewa przestała mi być do czegokolwiek potrzebna. Odpowiedziałem jej jak prawdziwy mężczyzna, żeby się zastanowiła, bo ja, jak coś dostaję, to tego nie oddaję.

Któregoś dnia po zajęciach, podeszła do mnie na placu Na Rozdrożu, czyli w pewnej odległości od szkoły, ale w samym centrum Warszawy, Ewa Wiśniewska blondynka, bo pozostałe były brunetki, i powiedziała, że jak nie oddam kartki z tymi kwiatkami, to ona będzie chciała wiedzieć, co ja na to.

Zapytałem „czyli na co?”, a ona „na nasz związek, który się zawiąże”. Powiedziałem, że muszę się jej przyjrzeć, podczas gdy ona jest w grubym płaszczu. A ona, że jej matka na takie coś nie pozwala. A ja na to, żeby matce nic nie mówiła. To nie te czasy, kiedy się ze wszystkim leci do starych. Wpisała to sobie w kalendarzyku, pocałowała mnie w policzek i machnęła na taksówkę, która akurat przejeżdżała. Czyli płaszczyka nie rozpięła i biustu ani brzuszka nie pokazała. No, to spadaj, kochana – pomyślałem.

Niby okej, ale spać po tym nie mogłem. Co o niej pomyślałem, to mnie takie znane szarpnięcie brało w kroku i obracałem się na drugi bok. Bardzo zacząłem jej potrzebować, to bez dwóch zdań. Albo jakiejś innej dziewczyny, byle szybko, bo działa się ze mną po prostu piekło i pod koniec nocy niemiłosierny ból kulek. Nie poszedłem wobec tego do szkoły, a ona przyszła już o dziewiątej rano do mnie.

Skąd wiedziała, jaki jest mój adres? Do dzisiaj nie wiem. Przyszła z koleżanką. Taką starszą, mocno umalowaną i wypachnioną wodą Być Może. Jak w poczekalni u fryzjera. I powiedziała, że jak nie wytrzymuję, to koleżanka to załatwi. Podejrzewałem, że to jest jakaś próba, kto ja jestem tak naprawdę, jeśli chodzi o te sprawy, więc stanowczo odmówiłem, chociaż ta dziwka była naprawdę niczego sobie i w dodatku za darmo, bo opłacona przez Wiśniewską. Musiałem sobie poradzić sam, bo Ewa, jak jednak tym razem rozchyliła płaszcz, to miała na sobie tylko strój plażowy i aż mnie zgięło, taka lalunia! Wszystko na swoim miejscu, a w dotyku, bo pozwoliła się z lekka podmacać na szyi i po rękach, no, po prostu delikatność taka, że aż pociekła mi ślina, przełykałem gwałtownie i tak machałem ręką niczym korkociągiem, że się dziewczyny przestraszyły i pytały „Stefek, co ty?”, i krzyczały „Stefek, daj spokój!”, i jeszcze wyrażały inne niepokoje w tym

stylu. Ale Ewa uciekała przed moimi rękami, kiedy schodziłem nimi coraz niżej, a ta druga powiedziała „OK, ale nic za darmo, ja nie jestem od tego”. To od czego w takim razie miałyby być? Tego nie wiedziałem. Dzisiaj wiem. To była kurwa z Grand Hotelu. No więc poratowałem się miejską toaletą i jak wyszedłem, to ich już nie było. A mnie przynajmniej przestało boleć w dole brzucha.

Tak czasem boli, jak nie wydasz plonu i plon zebrany do wystrzału szuka sobie wyjścia-ujścia, a jak wyjścia nie ma, to wierci wiertłem wydostawania się tam, gdzie można coś zasiał, czyli gdziekolwiek. Bo taka jest tego natura, że ze mnie mają się jak z każdego faceta wydostawać fontanny dobra, ludzkości w darze, za darmo, strumienie życia, a wy je łapcie. Kobitki, ile chcecie! To ja, wasz siewnik!

A jak ze strachu przed syfem kiepskiego plonu nie chcecie, to nie, przyjdą następne, bo to wy wybieracie, a my tym trzepiemy, ile fabryka daje, dowolnie, jak kto chce. Która nie, ta nie. A jak chce, to niech się. Każde ciało kierowane damskim kombinatorstwem broni się i podejrzewa, że ktoś sieje czymś niedobrym, chwastami, które psują plon, i ona testuje, żeby nie dać się złapać na jakiego chłopca bez pięści, dziewczynkę bez stópki, albo ogólnie na bezproduktywną chłopcodziewczynkę.

I to tak chodzi w nich cały czas przez każdy okrągły rok. Dokładnie tak jak w panach, tylko że oni się rozglądają, a one się stroją i patrzą, czy ktoś patrzy. Jak ktoś patrzy, to one patrzą, czy w tych facetach można coś wypatrzeć, i przebierają jak w ostatnich w danym sezonie czereśniach. No to ja też. Nad czym tu się zastanawiać. Jak mi któraś likwiduje swoje zakazy i tym samym każe mi się w nią wtrącić, to ja nie pytam, co mną dyryguje i na jaką glebę to padnie. Niech pada, gdzie chce, a jak będzie gleba bogata, to niech coś z tego wyrośnie. Nie tak? Tak. Nie tylko gruszka z poduszką czy pomidorek z kitką, ale nawet trojaczki. Podobno te trzy trójki trojaczek z Nieporęckiej cztery mieszkania osiem to moje. Sądząc po tym, że na lewym kolanie wszystkie mają ciemnobrązową plamę w kształcie lupy z rączką. Na kolanie. Lewym. Nie może być pomyłki. Jak się ktoś mylił, to nie ja, wszystkie to mają. Na prawym nie mają nic, tylko czystą skórę.

I niech nikt nie mówi, że mam nie szukać, gdzie złożyć moje dobro w ofierze. Mnie nie obchodzi, że jakieś panusie i jacy przestraszeni gogusie wymyślili jakieś tak zwane prawo, które ma kogoś chronić przed całym super dobrem, które my dla nich za nimi nosimy, żeby tylko z siebie wypuścić drzemiącą w naszych cewkach i kanalikach przyszłość i żeby ludzkość nie wymarła na chorobę, której na imię nieistnienie. I nie bez powodu

Pan Bóg wymyślił, że to ma nieść nadzwyczajną przyjemność, jak co najmniej w tramwaju numer siedemnaście. Bo inaczej komu by się chciało uprawiać tę rolę? Ja to potwierdzam uroczyście. Przynajmniej w tym numerze tramwajowym, który przeładowany jedzie na Białolekę.

Ożeniłem się, żeby mieć ratunek na zawołanie, ale i to nie zawsze pomagało, w końcu jestem facetem, a nie kurą na grzędzie, która czeka na koguta.

I znowu list. Jak do mnie przychodzi list, to ja w padam w panikę, bo to nic dobrego. No i teraz znowu się okazało, że słusznie wpadam.

Sięgam do kieszeni, wyciągam po raz kolejny ten list, który wcześniej przyjęła i za mnie podpisała sąsiadka spod szóstki, i czytam, że wzywają mnie jako oskarżonego o molestowanie. I to gdzie? Wew tramwaju. Nawet podali poprawny numer, że siedemnaście.

Że co ja im powiem? Że jazda się nudzi? Że trasa długa i trzeba się czymś pożytecznym zająć? Najdłuższa trasa w Warszawie. Zaczyna na stacji kolejowej Służewiec, jedzie przez Mokotów na Bielany, z Bielana mostem na drugi brzeg Wisły na Białolekę i kończy na przystanku Winnica.

Ponad godzinę jazdy, a tłok niemiłosierny, więc zawsze w tym tramwaju stałem przygnieciony za pewną panią, poznawałem ją po zapachu, a ona nie uciekała ode mnie, tylko odwrotnie, no to ja się włączałem w to typowe tramwajowe trzęsienie i dawaj, obróbka ręczno-zręczna. Jej to odpowiadało, a ma tak okrągło i zaciepliwie, że się sama w to włączała tymi zakosami, podrygami, opierała się o moją klatę i jazda. Poprawiała, jak jej coś nie pasowało, bo mi ręka czasem chodziła nie po jej myśli, no i szafa gra. I naprzód i w tył wraz z hamowaniem wagonu, aż nią szarpnęło mniej więcej w okolicach przystanku na Światowida i trzepnęło pod koniec jazdy jeszcze drugi raz. A bywało trzeci. I w końcu słodko a leniwie na mnie się osuwała, i tak się wiotko opierała, było jej dobrze, a mnie co? Koniec trasy, czasem musiałem kończyć te akcje w domu, co moja małżonka wręcz uwielbiała, już w progu się na mnie rzucając.

No, ale pewnego razu jeszcze w tramwaju ta stała pasażerka nagle się odwróciła i zobaczyła, że to ja. A ja zobaczyłem, że to Pani Wanda z drugiego piętra. I ona, że ja to Pan Tadeusz z pierwszego, lokal pięć, czyli że o mnie mowa. Zapach u niej wciąż ten sam, co już dziesiątki razy sprawdziłem, mijając ją na schodach. La Rive In Woman, więc to ona na pewno. To potwierdzenie zakręceniem bioderkami i na zakończenie otarcie się o moje zakończenie. Najpierw przez parę tygodni wszystko okej, po każdym pierwszym dłuższym wstrząsie jeszcze dwie trzęsieżne powtórki, a jak jej

w danym dniu nie było, bo miała zwolnienie lekarskie z pracy i tramwajem nie jechała, to poczyniałem sobie z taką tam Bożenką z ulicy Grzymaliów, co wysiada przystanek wcześniej, też nieźle, ale zapach miała raczej bezwonne, z lekka niemyty.

Aż nagle ta Wanda, ta Karczevska, żona tego strażaka, więc otóż pani Karczevska z drugiego piętra przychodzi z małżonkiem do nas, siadają przy stole, czekają, aż moja stara też usiądzie, posłodzi herbatkę, i on mówi, że ona Wanda mu powiedziała, że ona teraz jest ze mną i się kochamy, i chcemy być razem ze sobą, i że ona od niego odchodzi.

Kochamy? My? Co za brednie!

Ja i jakaś tramwajowa Wanda? Oszalał facet. Tak mi wyglądało, że to on całą hecę wymyślił, ale on tak bełkotnie i niedorzecznie mówił, że chyba nie kłamał, i to ona mu te bzdury wmówiła, że już go nie kocha, tylko mnie. Wyglądało, że to wszystko prawda i on albo uwierzył, albo sam całą hecę wymyślił. Jedno nie wyklucza drugiego.

Moja mnie zna i od razu jemu i jej nie uwierzyła, no ale za to on nie uwierzył mnie. Lub sam to wymyślił z tą Wandą, co też było możliwe. Cwaniaczek. Kiedy zaprzeczyłem temu jego zeznaniu czy doniesieniu, ona zapowiedziała, że to się inaczej skończy. Po całej dyskusji u nas wykonała telefon do mnie, jak byłem w robocie, że jak się przyznam, to mi odpuści za sto dwadzieścia tysiące prosto z bankowpłatu na jej konto bankowe, może być w dwóch ratach, a to jest tyle, ile kosztuje jej ulubiony model Toyoty. I wtedy wycofa pozew z sądu, a jej małżonek się uspokoi i będzie jak trzeba. Normalnie płatna dziwka tramwajowa, jak Boga kocham. Sama w oczy nic ci nie powie, tylko mota za plecyma.

Jeszcze ze trzy razy byli u nas na rozmowach, ale mówił tylko on. Ona morda w kubek i nic. Pytam ją: Wanda, co ty? Ja ci coś obiecywałem? Ja ci mówiłem, że ja cię kocham? A ja nic ci nie obiecywałem, w ogóle ani razu z tobą nawet jednego słowa nie wymieniliśmy, a ty co? Już chcesz siebie rozwieść i mnie rozwieść za parę tramwajowych ruchów? No, co ty!

I ona nic, chowa pyszczydło w dekolt i cisza. Już miałem to rozegrać nożem w wątrobę, mało brakowało, naprawdę.

Jednak wtedy wpadłem na pomysł i pytam jego, czy on w to wszystko wierzy, a on, że nie, bo ją zna, ale mówi, że ona kłamiąc ma rację, że ja się do niej molestując ten tego, z tym że on się do mojej też, ale moja mu się nie dała i w tramwaju stanęła mu szpilką na nogę, tak że facio do dzisiaj kuleje, a on myślał, że chciałaby mu dać, aby tylko on się ode mnie odwalił. Taki prymityw z tego strażaka.

I niestety. Ja mam fajną starą, która mnie kocha i wie, że żaden facet babie nie odpuści, więc to baba musi go kopem w jaja. I ona mu tak zrobiła. A jego Wanda i tak nie zacznie go na nowo kochać jak przed ślubem. Takie przypadki są nieznanne. Więc on też niech ją czasem dziabnie. Są metody, nie będę go uczył co i jak.

I tak myślę, że jak się to wszystko przewali i sąd sprawę oddali w zamian za jedną grzywnę, taką w okolicy tysiąca, to ja już jej nie dotknę, i w ogóle żadnej z naszego bloku, *assolutamente*, jak mawiają makaroniarze.

Ale przecież siedemnastką jeździ kupa innych pań. I przypomniałem sobie o Ewie Wiśniewskiej. Teraz ona jest Nowakowska. Miałem gdzieś jej numer, dzwonię, a ona chce, ale tylko tak pogadać. Dobra, mogę gadać, ale wolałbym z rękami, czy jakoś tam. A ona, że chciałaby być ze mną. Ja jej na to: możesz być ze mną, ale beze mnie – powiedziałem zgodnie z prawdą. Ale zauważyłem, że też jeździ siedemnastką. „O!”, pomyślałem sobie. Jak stanęła w tym tłoku tyłem do mnie, to poczułem ten jej Sensual Rebellion. Ależ perfuma, bunt czucia, w nosie niebo! Oszalałem. Ona też, ale tylko raz, i nawet wtedy doszła, i ja zaraz też, bo w tramwaju był piekielny tłok. Z tym że potem już mnie unikała i zaczęła jeździć do miasta samochodem. Musiałem szukać innego zadowolenia, ale w domu poczułem u małżonki wodę zapachową Burberry, a to też mi na jakiś czas wystarczało. Ona jest całkiem okej, przecież aktywna jak mało kto.

Aż przyszedł list z sądu, że sędzia tę Wandę mi umarza.

Niby poczucie zwycięstwa. Niby faktycznie odroczenie na stałe. Ale ja już byłem gdzie indziej. Niech sobie umarzają, nie jestem frajer, ja im za tę łaskę nie podziękuję. Zacząłem chodzić do różnych knajp w Śródmieściu. To jest dużo droższe, ale przynajmniej bezpieczne i do mojej małżonki tego zgłaszać nikt nie zechce. Po co by im to było?

A w siedemnastce stoję teraz tuż za kabiną motorniczego i niech mnie wszystkie baby świata pocałują wiadomo gdzie. A ja jestem facet i muszę mieć to, co mają normalni faceci. W knajpie, jak tylko w tym ich telewizorze zaczyna się, dajmy na to, oglądanie meczu, podchodzi pani i siada na kolanach. Twoich. I nikt cię listami zamęczać nie zamierza. Uśmiecha się, delikatnie ociera się policzkiem o twój policzek. I mówi: „No i co, pysiu?”.

Piotr Müldner-Nieckowski

Wiesława Oramus

Mysie

Była wrzucana, najpierw do samochodu, na tylne siedzenie, potem, razem z tą walizeczka, coraz bardziej taka byle jaką przed furtkę, potem do tego pokoiku, a właściwie kanciapy na stryszku, obok rupieciarni.

Towarzyszyły temu odgłosy zatrzaskiwanych drzwiczek samochodu, pisk opon, zgrzyt zamka przy furtce, skrzypienie drzwi wejściowych i starego drewna każdego schodka prowadzącego do kanciapy, starych zawiasów i klepek w podłodze.

I ludzkie głosy, kobiece, śmiechy, dobiegające zza drzwi mijanych w czasie tej wspinaczki po stromych schodach.

Nikt jej nie witał, a jednak wiedziała, że jej wejście ożywiało ludzi w tamtych pokojach, że będzie jak zawsze – będzie musiała zejść do salonu, odpowiednio ubrana, uczesana, z tą swoją teczką z dokumentami pod pachą. Musiała je okazać babuni. Przeglądanie ich zawsze długo trwało, tak długo, że wszystkie kobiety zdążyły wyjść ze swoich pokoi, usiąść przy stole, obejrzyć ją dokładnie.

Kiedy babunia oceniła już zawartość teczki pozwoliła się pocałować na powitanie, a to oznaczało, że jest zadowolona. A dla niej, że cenny instrument zostanie wyciągnięty z jednej z szaf, przez jedną z ciotek, podany jej na sekundę, dwie, żeby mogła go dotknąć.

A to był sygnał dla ciotek, że też mogą się z nią witać, przytulać, całować, mówić, mówić, mówić, że taka chudziutka, biedniutka, bladziutka, wyczerpana, może schorowana, zaniedbana, przemęczona, wyczerpana, że potrzebuje troski, opieki, zdrowej atmosfery. Przekrzykiwały się, piszczały, ścisnęły za mocno, dusiły w objęciach, zabierały powietrze, odbierały siły, życie, wpychały w swój krąg.

A było ich tu wiele, od uścisku, objąć babuni po krąg przestrzeni domu i ogrodu, i dalej, za nim kolejne, kolejne, nie do policzenia, bo każdy kolejny tworzył następny, ten następny i następny, i następny.

W tym domowym, salonowym musiała przeżyć jeszcze pytania o to, czy nic się nie zmieniło, a to oznaczało, że jest z ojcem, że matka nie wróciła i nie chce wrócić z tego dalekiego kraju, że nie chce znać i jej i wszystkich

z tego domu i domu ojca, że spodobała się jej rola wyrodnej córki, siostry żony i matki. A ojciec nadal twierdzi, że nie przekroczy progu tego domu.

Pod koniec uczty, przy deserze, babunia przywołała wszystkich do porządku, uderzając widelcem w pucharek do galaretek i mocnym, donośnym głosem powiedziała:

– Ślicznaś ty, dziewczyno, jak ważka, motylek, ptaszek, lekka i powabna. – A potem wstała i kuśtykając poszła do swojej sypialni, wsparta na ramieniu tej, która poderwała się z krzesła pierwsza, zaoferowała pomoc.

Nie lubiła tej staruszki, o dreszcze strachu przyprawiał jej głos, skrzeczący, ostry, jej stukania łaską w stół drzwi szafki nocnej, poręcze krzeseł, gdy czegoś potrzebowała, domagała się jakiejś usługi, świszczącego oddechu. To było jak utwór, może... twór, przed którym ucieka się z duszą na ramieniu, jak przed grzmotami, które mogą wróżyć koniec życia, albo kulenie się, wpadanie w bezruch, paraliż, i czekanie, aż się to skończy.

Ciotki po wyjściu babuni długo milczały, siedziały jak gdyby były przyklejone do krzeseł, jak gdyby coś zakleiło im usta. Wykorzystała to, wybiegła z salonu, zostawiła za sobą wszystkie skrzypienia, pukania, trzaski domowe. Pobieгла do lasu i nadeptywała na wysuszone szyszki, chrust, korzenie drzew, purchawki, liście paproci – łamała gałęzie sosen, brzoź, leczyła się tymi dźwiękami, odzyskiwała to coś, to coś, co było radością dźwięku, poznawaniem ich. Poznawaniem ich... nieskończoności. Na jej widok ciotki załamały ręce, ale... nie powiedziały nic, co określiłoby jej ciało, pewnie dlatego, że wpadła na nie na tarasie, gdzie siedziały razem z babunią. Chciały natomiast pomóc w doprowadzeniu się do porządku – jedna zaoferowała kąpiel, inna uczesanie włosów, zaplecenie ich w warkocze, i to wtedy odkryły, że są takie cieniutkie, takie mysie warkoczyki ...

– Takie mysie ogonki, takie mysie, mysie, lichutkie mysie, mysiątka, dwa mysiątka, wyliniałe mysiątka – wyliczały...

A były przy tym takie szczęśliwe, ożywione, radosne, bo... je los obdarzył bujnymi włosami, bo szczyciły się misternymi kruczo-czarnymi lokami. Obnosiły z nimi, paradowały od świtu do nocy. To je wyróżniało z otoczenia, przypominało o łaskawości losu, o ojcu, który coś im przekazał, bo i on miał coś do przekazania, nie tylko troskę o niezwykle żonę. I o tym, że one też miały dzieci, też niezwykle, na wakacje wyjeżdżające za granicę, rozwijać swoje talenty, a nie przywożone tu, ku utrapieniu wszystkich – poza babunią. Nie muszą zastępować zwalnianej na czas wakacji Marychny, zatrudnianej tu do opieki nad babunią i prowadzenia domu. A wszystkim można było zazdrościć bujnych czupryn, odziedziczonych po swoich ojcach.

Babunia nie odzywała się, drzemała na leżaczku, nieobecna, chociaż raz otworzyła szeroko oczy, spojrzała na nią, i jak gdyby ten widok coś w niej obudził, poruszyła się, i zaraz zapadła w drzemkę.

Podobno tak chesała swoją ukochaną córeczkę, która miała, jak ona, jeździć po świecie, grać, grać, zbierać oklaski, podziw i pieniądze, a nie chciała skrzypiec, nie chciała nic, co było w tym domu, w tym miejscu na świecie. A była najukochańsza.

Babunia poprosiła o lekarstwa, szklankę wody i zakończenie tych rozmów o myszach, bo aż głowa ją rozbolała od tej gadaniny, a przy okazji zleciła sprawdzenie wszystkich łapek na myszy, bo chyba znowu się pojawiły, bo w bezsenne noce słyszy jakieś szelesty, piski.

W złą godzinę wypowiedziała te słowa, bo ciotki zaczęły myszkować po całym domu – od piwnic, bo strych, zaglądały do skrzyń, szaf, komód, wyjmowały z nich wszystko, opróżniały do dna, czasami kłóciły się o to, która pierwsza, która ma do niego prawo. A w salonie i w ich pokojach zaczęły się szafy zapełniać wyczyszczonymi, wypolerowanymi przedmiotami – z kryształu, srebra, porcelany. Coraz częściej mówiły, że myszy najbardziej lubią papier, czasami wzdychały-- przez tyle lat, tyle lat opłacało ją prawdziwymi pieniędzmi, gdzieś muszą być ukryte...

Mysie ogonki... w taki dziwny sposób wkroczyły w dramaty skrywane w tym domu, wydobyły je, coś rozruszały, rozpętały rozbijały. Przede wszystkim nienawiść do nich, ale czasami, zwłaszcza gdy potrzebne były cienkie paluszki, chude ciało, spryt, wciągały ją do swoich zajęć, swojego kręgu, po to, żeby potem tym bardziej ostentacyjnie wykluczyć.

Przyjmowała to z ulgą, wkraczała wtedy w swoje. Wolności, poznawania wszystkich dźwięków świata. Mogła siedzieć nad rzeką, słuchać szumu fal, o każdej porze dnia i przy każdej pogodzie brodzić po wszystkich kałużach, skakać w nich, rozgrzebywać kijem, rozgarniać rękami, tak samo w przydrożnych rowach, chodzić po łąkach w czasie deszczu i po ulewie, słuchać, jakie dźwięki wydobywają się z każdej rozdeptywanej kępki trawy, podskakiwać i opadać, i słyszeć różne odgłosy w zależności od tempa, siły skoku, i rozkopywać stojącą wodę, muskać jednym palcem, całą dłońią, pięścią tafle wody, stać z gołą głową i kapturze peleryny i słuchać, słuchać dźwięku pierwszych kropli i strugi spływających po niej. I pisku piskląt, ryczenia krów, baranów prowadzonych na pastwiska i z pastwiska, gęgania gęsi, piania koguta, porannego ćwierkania wróbli, klekotu bocianów, rechotania żab, szumu wiatru w lesie, na polach pszenicy i zboża nad kłosami i przy ziemi, i poruszającego rozwieszonym na podwórku praniem.

I wszystkich dźwięków równocześnie i oddzielnie. Zapamiętywała je, łączyła, rozdzielała, segregowała. Nawet jej mysie ogonki wydawały dźwięki – kiedy chlastały po twarzy w czasie biegu, skoków do wody, podskoków.

Ciotki już się tak jak wcześniej, gdy chodziły za nią, deptały po piętach, wypatrywały nawet przez lornetkę, przestały się nią interesować. Czasami miejscowi zaczepiali ją, zidentyfikowaną jako ta z mysimi ogonkami i informowali, że ciotki kazały szukać, albo że pora wracać do domu, bo będzie manto od babki. Chichotali przy tym, obserwując uważnie, co robi, jak wygląda, dziwiąc się, że z takiej bogatej rodziny, a w obszarpanej sukni chodzi, umorusana i z zakrwawionymi kolanami, resztkami liści i traw na głowie.

Czasami po tych wyprawach była witana jak intruz, który, który przeskadza w czymś ważnym, była popychana, przepędzana z wszystkich pomieszczeń, czasami, niby przypadkowo łapana za te mysie ogony, z niewinnością, jak gdyby ponosiła winę za coś, co spotkało je w życiu, porażek, klęsk i ogólnie jakiejś tragedii egzystencjalnej. Czasami była wciągana do pokoju babuni – po powrocie i po doprowadzeniu jej do ludzkiego wyglądu, żeby pokazać jaką troską ją otaczają, a to jest dowód na to, że jej los, jej wygląd jest częścią nich samych, częścią tego domu, wszystkich domowników, że są wspólnotą. Czasami, gdy pojawiał się lekarz, bo babunia podupała na zdrowiu, albo jacyś inni panowie, ciotki okazywały dziwną czułość – gładziły te mysie ogonki, proponowały poprawę ich splotu, tak żeby były trochę grubsze, puszystsze, prawie jak ich czupryny, czasami ścisnęły tak, żeby zrobić naprawdę cieniutkie, tak ściśnięte, że aż bolała ją głowa.

Wiedziała, że stawiała się częścią jakiegoś ich planu, dotyczącego nawet jej kanciapy. Zaglądały tam często, a nawet wkraczały w ciągły dzień, pod pretekstem robienia porządków, pomagania jej, opróżniały szafy, szuflady, macały materace, szukały drugiego dna szuflad i półek, czasami coś zabierały jako coś, co powinno być w innym pomieszczeniu, czasami do umycia, naprawienia... Miała ochotę wychlastać je tymi mysimi kitkami. Od hałasu, jaki wyczyniały przy tym, była wręcz chora. Niekiedy udawało się jej uciec na werandę i słuchać dobiegającego z dala wycia i szczekania psów.

Kiedy zaczęły porządkować rupieciarnię, hałas, jaki tam wyprawiały, stał się nie do zniesienia, więc zniknęła na całe dni, przekraczała kolejne kręgi, które prowadziły je do dziwnych reguł tego domu, wpychania albo wypychania z niego, jaki przedmiot do jakiej szafy włożyć, która szafa, do której ciotki należy, i dlaczego ma prawo do wszystkiego, co tam się znajduje. A dokąd – wtedy jeszcze nie wiedziała.

Czasami babunia rozkazywała jej przyjść do jej pokoju, siedzieć przy niej, czytać jakieś artykuły z gazet, otwierać albumy ze zdjęciami, szafy z ubraniami. Te szelesty papieru, materiałów lubiła. I stary magnetofon, płyty z nagranymi koncertami. A babunia powtarzała – to się liczy, nie to, czego one szukają, niech szukają, niech biorą.

Po jej śmierci okazało się, że i tak wszystko to im zapisała w testamencie, ale obowiązywał inny porządek niż ten ustalony przez nie, widoczny na półkach w ich szafach. A skrzypce jej. Dom trzeba był sprzedać – żeby spłacić długi babuni, o których nikt nie wiedział. Odczuwała to jak spadanie czegoś potężnego z góry, roztrzaskiwanie na drobne kawałki, huk toczącej się lawiny kamieni – wzbogacając świat dźwięków poznanych tam, zapamiętanych na zawsze, przetwarzanych potem na nuty, zapisywane. Po przekroczeniu tylu kręgów. Czasami pomagało w tym procesie zaplatanie włosów, dotykanie swoich mysich ogonków, obracanie ich w palcach.

Wiesława Oramus

Jan Krzysztof Piasecki

Powstanie 3. Strach. Traf. Pospolite Ruszenie

(fragment)

– Gdy ktoś się strasznie bał, to ginął od razu, bo popełniał tysiące błędów.

– Mógł nie iść do powstania – powiedział Albert.

– Nie szedł. Przecież w czasie powstania wszystkie piwnice były zapełnione cywilami, którzy tam siedzieli i umierali ze strachu.

– Nic dziwnego, że się bali. I chyba nie było broni dla większej liczby powstańców.

– Nie każdy miał broń. Ale i tacy szli do powstania i walczyli.

– Poeta B. siedział w piwnicach czy domach. Cały czas się udzielał, coś przynosił, ale nie zapisał się do powstania.

– No bo się bał.

– Cały czas pomagał, budował barykady, przeprowadzał ludzi. Bał się może jak wszyscy, ale nie bardzo widział siebie w organizacji. A może nie chciał strzelać...?

– Tak zwane drobnomieszczaństwo – zawyrokowała Betina. – Drobnomieszczaństwo, które stanowiło trzon tak zwanego ludu Warszawy. To właśnie byli ci ludzie, którzy siedzieli w piwnicach. Drobnomieszczaństwo. Żeby się najeść, żeby mieć ciepło, żeby być w kupie. O, to były trzy kanony.

– Jeżeli kobieta była z dwojgiem dzieci, czy starszy człowiek, to trudno, żeby biegli do powstania.

– No, oczywiście. Ja mówię o młodzieży. B. był wtedy młodzieżą. I nie miał ducha walki, tylko miał instynkt przetrwania. Silny instynkt przetrwania, który go uratował. Taki typ drobnomieszczański: żeby kapusty trochę zdobyć, czy tego boczeku, czy coś tam... Nie żeby zatłuc Niemca, tylko żeby zdobyć boczek.

– Ale wychodził pod kule, żeby przynieść wodę dla ludzi. Woda to nie boczek, bez wody żyć nie można... – zaprotestował Albert i trochę zmienił temat: – W powstaniu olbrzymią rolę odgrywały szczęście i traf. Bo lecąca kula mogła drasnąć, a mogła i zabić.

– Jeśli chodzi o śmierć, to traf zawsze gra rolę. I dzisiaj, bez powstania, jedziesz samochodem i w ciągu pięciu minut giniesz. Słucham radia. Codziennie ginie w Polsce w wypadkach samochodowych po kilka osób. Poeta B. miał silny instynkt przetrwania, który dawał mu siłę, żeby biegać za tym boczkiem, kapustą...

– A wiara? Pomagała ludziom, prawda?

– Wiara była właśnie wśród tych piwniczników. W każdym domu była kapliczka.

– Ale powstańcy też się modlili.

– Nie bardzo mieli czas. Nie było czasu nawet na to, żeby się zdrzemnąć. Dwadzieścia cztery godziny człowiek był, że tak powiem, na nogach. Żeby w ogóle ustać przy tym samochodzie, na masce którego operowałam pacjentów, dawali mi szklankę spirytusu. I ja, niealkoholiczka, nieprzyzwyczajona do tego, bo u nas w domu było zawsze tylko wino, wypijałam taką szklankę i nie byłam pijana. Co to był za czas, żeby się modlić... Człowiek wiedział, że za chwilę może zginąć. Przyjął to do wiadomości.

– Przecież wiara, czy postawa ateistyczna, zostały w człowieku wcześniej ukształtowane.

– Tak. Człowiek szedł z wiarą i wiarę miał w sobie, ale robił to, co trzeba.

– Utkwiło ci w pamięci jakieś wyjątkowe bohaterstwo? – Znowu zmienił temat.

– Moje bohaterstwo było takie... W czasie ataku na PAST-ę byliśmy... już nie wiem gdzie... Dowódca powiedział: „Jest trzech rannych, trzeba przynieść trzech rannych z PAST-y. Ale ostrzegam, że jest ostrzał snajperów na wysokości bioder”. I myśmy we dwie z Ksenią poszły. Wiedziałyśmy, że za chwilę trzaśnie nas w biodro. Ona w pewnym momencie potknęła się i upadła; myślałam, że ją zastrzelili. Podbiegłam do niej, wstała. Pobiegliśmy do tej PAST-y, przeniosiliśmy rannych. Nikt do nas nie strzelił. A dlaczego, nie wiadomo.

– Może Niemiec, który miał strzelić, był jeszcze jakiś ludzki? Może nie chciał strzelać do kobiet?

– Może. Ostrzał na wysokości bioder. Dla fachowego snajpera to nie był problem trafić. A może właśnie jadł jakiś boczek? A może go sumienie ruszyło. Ani jeden strzał nie padł.

– Jak przenosiłyście rannych?

– Na noszach. Dlatego musiały pójść dwie.

– Ksenia przeżyła powstanie?

– Przeżyła. Spotykałyśmy się po wojnie.

- A bohaterstwo innych ludzi? Co krok chyba było?
- Każdy krok był bohaterstwem. Jeżeli ktoś zamiast siedzieć w piwnicy, wychodził na ulicę, to już było bohaterstwo.
- Z piwnicy zawsze ktoś musiał wychodzić, na przykład po wodę.
- No więc to byli ich bohaterowie, poeta B. na przykład. Tu masz bohaterstwo tych ludzi. Wyjście po żywność czy po coś innego to już było bohaterstwo. Bo strzały padały gęsto.
- Były jakieś zwierzęta?
- Wszystko było zjedzone. Na skwerach widywało się zabite konie. Ludzie je zjadali. Ale w piwnicach czasem były pieski. Uważam, że wielkimi bohaterami byli moi rodzice. – Betina wróciła do tematu bohaterstwa. – Bo wiedzieli, że idę do powstania, i ani razu nie powiedzieli: „Nie idź. Zostań, ratuj się. Zginiesz...”. To był ten szlachecki instynkt. Bo kim w ogóle była szlachta? To była grupa ludzi odważnych, nastawionych na walkę. Na przywództwo. I tak zwane pospolite ruszenie było czymś nie do obalenia: jest ojczyzna w potrzebie, to idzie się walczyć! To w ogóle nie było do dyskusji. A drobnomieszcza- nin, gdy ojczyzna w potrzebie – myk do nory, aby przetrwać.

Jan Krzysztof Piasecki

Ludziary

Wydawca:

Biblioteka Słów

(imprint Biblioteki Analiz)

Data wydania:

2023.10.19

Format:

130 x 200 mm

Liczba stron:

176

Okładka miękka ze skrzydełkami

ISBN 978-83-967745-6-9

Patronat:

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich,

Magazyn Literacki Książki,

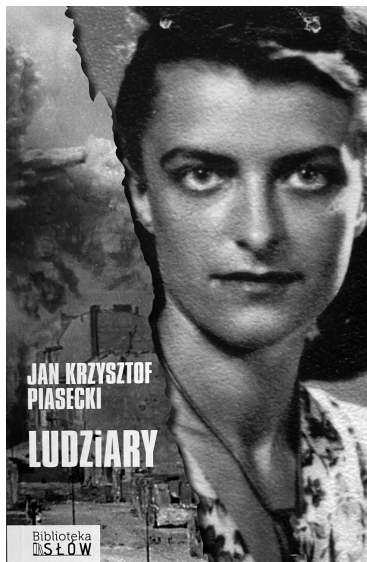
Kwartalnik Literacki WYSPA

Kilka zdań o książce *Ludziary*

Przedstawiam fragment mojej najnowszej książki „*Ludziary*”. Opowiedziałem w niej o matce, jej relacji z synem, udziale w Powstaniu Warszawskim i losach po wojnie – szczególnie o ostatnim długim fragmencie życia, gdy w swoim podwarszawskim azylu prowadziła stadninę koni. Okazywała bezwarunkową miłość do zwierząt. Gatunek ludzki uważała ogólnie za zepsuty, niszczący naturę, siebie i świat. Syn wspomina i opisuje matkę, jej otoczenie i niezwykle zdarzenia ujęte w krótkie rozdziały w formie mikro-opowiadań. Dokumentuje jej bohaterski udział w Powstaniu Warszawskim (prowadziła punkt sanitarny w Batalionie Chrobry; siedem rozdziałów z cyklu „Powstanie” zawiera relacje i komentarze matki nagrane przez syna na dyktafon). Postać silnej, dominującej matki kontrastuje z refleksyjną osobowością syna. Życie matki jest opisane z perspektywy syna, a także we fragmentach jej własnych notatek (rozdziały „Kalendarze”). Syn zgłębia też swoją historię, relacje rodzinne, zdarzenia z dzieciństwa i młodości.

Książka jest opatrzona dedykacją „*Mojej Matce*”.

Jan Krzysztof Piasecki



Jerzy Seipp

Miniatury optymistyczne 2025

**Dzień Nauczyciela albo jak jeden Anioł Stróż
nie mógł wziąć dnia wolnego przez dwadzieścia pięć lat***(fragment powieści wspomnieniowej „Ostatnia przyjaźń” – w przygotowaniu)*

Kiedy trzydzieści lat temu doktor Luba Szawdyn zaczęła mnie leczyć z alkoholizmu, między innymi pytała, ile lat tak piję. Nie umiałem jej odpowiedzieć, bo przecież piłem „od zawsze”. Ale terapia za terapią otwierały mi zakamarki pamięci, budziły zapomniane traumy z dzieciństwa i w końcu znalazłem dzień, w którym wszystko się zaczęło. Dzień Nauczyciela w 1970 roku.

Miałem 15 lat i chodziłem do pierwszej klasy LIII Liceum Ogólnokształcącego Stowarzyszenia PAX pod wezwaniem św. Augustyna – liceum męskiego, tylko dla chłopców. Była to pierwsza katolicka szkoła średnia w socjalistycznej Polsce. Liceum uznawano za elitarne, o bardzo wysokim poziomie nauczania, kultywujące tradycyjne wartości i wychowujące młodzież zgodnie z nauką Kościoła. Kiedy zdałem egzaminy z wyróżnieniem i zostałem przyjęty, ojciec nie posiadał się z dumy i ze szczęścia.

Byłem pewnie najbiedniejszym uczniem w całej szkole, ale to mnie kilka lat wcześniej pogłaskał po głowie Prymas Tysiąclecia – mój ojciec szefował Komisji Organistowskiej przy jego urzędzie. Kardynał żartował, że tak jak ja, jest synem kościelnego organisty i wspominał z wdzięcznością ciotkę mojego ojca – cytuję za księdzem profesorem Chrostowskim:

„Kiedy Stefan Wyszyński rozpoczął rekolekcje kapłańskie, lekarz stwierdził tyfus i skierował go do szpitala zakaźnego. Gdy koledzy kursowi przyjmowali święcenia, on przebywał w szpitalnej separacie. Posługująca w szpitalu szarytka, siostra Józefa Seipp wyprosiła u biskupa Zdzitowieckiego zgodę na udzielenie mu święceń kapłańskich”.

Z takim to rodowodem rozpocząłem naukę w katolickim liceum w socjalistycznej Warszawie. Wcześniej brałem udział w olimpiadzie matematycznej, a nawet zająłem drugie miejsce w konkursie literackim – przyszłość świeciła tęczą, a aniołowie przygrywali mi na harfach.

W Dzień Nauczyciela organizowano wtedy we wszystkich szkołach tzw. akademie, czyli przemówienia nauczycieli podpierane występami artystycznymi uczniów. Kiedy pędzono nas do sali gimnastycznej, odciągnął mnie jeden z nowych kolegów. Wiedziałem już, że jest bardzo bogaty i mieszka w pięknej willi.

– Chcesz brać w tym udział? Mam niedaleko czekające koleżanki. Idziesz?

Koleżanki...? Nie musiał mnie namawiać. Pojechaliśmy autobusem dwa przystanki, do skrzyżowania alei Niepodległości i Madalińskiego. Poszliśmy do dużego bloku, w którym na parterze był sklep. Piętnastoletni Andrzej zakomenderował:

– Nie pójdziemy tam o suchym pysku. Każdy swoją.

Kupiliśmy po alpadze, każdy sobie. Kosztowała grosze. Zeszliśmy w bloku na dół, do piwnicy.

– Pijemy do połowy, drugą połowę zabieramy na górę.

Piliśmy z gwinta, każdy swoją, na spokojnie, bez pośpiechu. Andrzej już palił papierosy, ja jeszcze nie. Wino bardzo mi smakowało. Wypiliśmy co trzeba i wyszliśmy z piwnicy na światło dzienne. To, co się ze mną stało, najlepiej ujmowali malarze opowiadający o objawieniach. Ogarnęła mnie światłość. Wprawdzie nie padłem na kolana, ale wiedziałem, że stało się coś wielkiego. W całym swoim życiu, przez całe dzieciństwo, nigdy się tak nie czułem. Nie byłem już „ofiara”, czyli niezdara, niezguła, słabeuszem, zawsze tym najgorszym, nienadającym się do niczego. Światłość potęgowała się we mnie i nagle zrozumiałem to najważniejsze: zniknął strach przed ojcem! Po raz pierwszy w życiu nie bałem się ojca! Nie bałem się jego gniewu, jego kar. Byłem wolny!

Dokonała się we mnie przemiana. Nie chciałem już od życia nic więcej – żadnych pieniędzy, sukcesów, sławy, kariery, szybkich samochodów. Chciałem tylko czuć się tak, jak w tym momencie, przez cały czas. Wiedziałem, że nikomu już nie pozwolę sobie tego zabrać i nic mnie nie powstrzyma przed osiągnięciem tego stanu w każdej możliwej chwili.

Tak to aniołowie przegrali z szatanem, a ja, po dwudziestu pięciu latach pięknego życia musiałem mu zapłacić ogromny haracz za niedotrzymanie cyrografu. Bo przeżyłem – przestałem pić i szanse na moje wylądowanie w piekle niby wciąż są, ale coraz mniejsze.

Podobno zawdzięczam to jednemu ambitnemu aniołowi, w ludowych bajaniach zwanemu Aniołem Stróżem. Podobno to on pilnował mnie w stanach pomroczości jasnej czy białej gorączki, dbał, żeby nic jeszcze

gorszego się nie stało. Podobno to on wybierał i stawiał na mojej drodze kobiety, które mnie ratowały swoją miłością. Ale może to tylko przesady.

Jeszcze kilka pięknych chwil z Londynu 1978

Skończył się proces oskarżający Kevina Spaceya o przestępstwa seksualne i bardzo, bardzo się cieszę, że aktor został uniewinniony, i że padło zdanie: „nie jest przestępstwem uprawianie seksu z osobą tej samej płci, ponieważ jest rok 2023, a nie 1823”. Fajna też była wymiana zdań bajerantów z sędzią:

– A jak raz tak się nawaliłem, że leżałem nieprzytomny, to on mnie wykorzystał!

– Skoro był pan nieprzytomny, to skąd pan wie, kto pana wykorzystał?

Paru cwaniaków próbujących przekrętu „na Kevina” musi obejść się smakiem zamiast dolarów, a ja opowiem wam, jak to sam miałbym pełne prawo wycygnąć parę groszy na ustawkę: „45 lat temu, to on mnie...”.

W roku 1978 pracowałem jako *door-manager* w sławnym nocnym klubie Embassy przy New Bond Street w Londynie. Nawet nie wiem, jak tę funkcję przetłumaczyć – kierownik wykidajłów? Do moich obowiązków należała prezencja i ocena gości – jednych pozwalałem wpuścić, innych odprowadzałem z kwitkiem, zdaniem: *sorry, it's a private club*. Kiedy docierała do mnie wiadomość, że nadchodzi ktoś sławny, wykidajło otwierał szeroko szklane drzwi, a ja witałem boginie i półbogów uprzejmymi słowami i zapraszałem na szampana. Mógłbym tu chwalić się na całą stronę nazwiskami osób, z którymi wymieniłem kilka dowcipnych zdań, ale dla koloru wspomnę tylko Alaina Delona, Jacka Nicholsona, no i Davida Bowie.

Że zmierza do nas David Bowie, zawiadomiła mnie jedna z manageerek, która przybiegła z biura podekscytowana jak wiewiórka. Pojawił się też właściciel klubu z przydupasem i czekaliśmy razem. Niedługo – rzeczywiście nadszedł David Bowie w towarzystwie kilku osób. Nastąpiły powitania, śmiechy i radości. Nagle Mr Bowie podszedł do mnie, spojrzał mi prosto w oczy i... złapał mnie dłonią za jaja. Delikatnie. Zagrał na nich palcami jak na klawiszach pianina, po chwili zabrał rękę.

– Musimy się bliżej poznać – powiedział w zapadłej na krótko ciszy i całą grupą udali się do środka. Półprzytomna wiewiórka odwróciła się jeszcze do mnie i całując mnie w policzek wyszeptała:

– Masz teraz święte jaja...

Kolejna humoreska o jednym takim, co nie chce oddać władzy

I

Nie będę ukrywał, że o Annie Ernaux usłyszałem po raz pierwszy dopiero, gdy otrzymała literacką Nagrodę Nobla. Kupiłem jej „Lata” i kiedy czytałem, jak wyliczała powiedzenia, które umrą wraz z nią, doznałem wstrząsu. Dziesiątki powiedzeń są częścią mnie – z podwórka, podstawówki, liceum, po ojcu, kolegach, żonach, czy ich matkach. Cytuję je codziennie wszystkim i sam sobie. Nawet przyszywany dziadek, starszy bosman Marynarki Wojennej, zostawił mi jedno.

Miałem siedem, może osiem lat, kiedy poszli pić z moim ojcem warszawiakiem do mordowni „Portowa” w Świnoujściu i wdali się z kimś w bójkę. Musiało im dobrze pójść, bo po powrocie komentowali ją bardzo zadowoleni, a dziadek powtarzał: „to jak on do mnie tak, to ja jestem w domu!”. Chodziło chyba o zrozumienie z wyprzedzeniem tego, co zrobi przeciwnik. Do dzisiaj przy różnych okazjach, kiedy doznaję olśnienia jak pomysłowy Dobromir – wołam do siebie na głos: „teraz to ja jestem w domu!”.

Po ojcu powtarzam: „Co za różnica czy majtki, czy spódnica!”, a jeszcze częściej jego komentarz do czyjegoś debilizmu: „Widziała kuma taki imbryk? Tsy grose dałam i ciece!”. Że niby czego się spodziewasz po czymś, co kupujesz za trzy grosze.

II

Jednym z najstarszych podwórkowych dowcipów było zawołanie do nieświadomego przybysza:

- A co ty rozpuszczasz za plotki?
- Jakie plotki? – oburzał się zagadnięty.
- Że chuj jest niesłodki! – padała odpowiedź ku ucieście wszystkich obecnych.

Minęło ponad pół wieku, moi podwórkowi koledzy poumierali, ulotniła się też pamięć o psotnych ripostach. Ja wciąż się toczę jak stary, porzucony pies. A kiedy ten mój znowu chce mną rządzić, dzwonię do Bezpruderyjnej Studentki z ogłoszenia. I tak pewnego wieczoru w mroku ulicy Rostafińskich, w najbardziej nieodpowiednim momencie, kiedy potrzebowałem

maksymalnego skupienia, aby ze swojej strony wypełnić warunki stuzłotowego kontraktu, usłyszałem:

– Twój chuj jest słodki!

Moja młodość, roześmiani koledzy, piwo pite na murku, nieśmiałe dziewczyny pragnące się do nas przysiąść – wszystko to w ułamku sekundy wypełniło wnętrze samochodu jak w filmie SF. A kiedy Bezpruderyjna Studentka uniosła głowę i spojrzała mi w oczy, jakby oczekując wyjaśnienia tego zastanawiającego fenomenu, wybuchnąłem śmiechem, którego zdawało się nic już nigdy nie zdoła powstrzymać. Śmiałem się jak wariat, odsuwając dziewczynę na siedzenie pasażera, zapinałem spodnie, śmiejąc się bez opamiętania. Nie byłem w stanie wydukać wyjaśnienia ani choćby: przepraszam. Bezpruderyjna Studentka przyglądała mi się bez zrozumienia, a kiedy już-już zacząłem się uspokajać, powiedziała:

– Ale naprawdę! – i szaleństwo ogarnęło mnie ponownie.

W końcu zdołałem wyjaśnić jej dar pamięci, którego doświadczyłem, chociaż wcale nie uznała go za śmieszny. Zgodziliśmy się, że „dzisiaj już nic z tego nie będzie”. Pozwoliła mi jeszcze wtulić się na chwilę w jej pachnące świeżym szamponem włosy – część kontraktu. Krótki dzwonek telefonu dał znać, że następny łobuz czeka ukojenia. Spojrzała w ekran, pożegnaliśmy się i zniknęła w światłach miasta.

Jerzy Seipp

Olga Wójcik

Paolowi Uccello

Miniatura o smoku który leżał na nerwie i wgryzał się w kość

Wielu rycerzy odmówiło walki ze smokiem, tłumacząc, że operacja jest na-
zbyt skomplikowana. Jeden jednak odpowiedział na wyzwanie, mówiąc:
„Zwyciężymy”.

Smok był bardzo uciążliwy dla miasta. Zainfekował nawet myśli krą-
żące po wirydarzach, krużgankach i zaułkach. Czasami wzdymał się
i puchł, sprawiając, że i wszyscy mieszkańcy pęcznieli. Najboleśniej znosiła
to księżniczka Sabra. Gdy czuła grubą oponkę wokół jej zgrabnych bioder
i wzdęcie brzuszka, wpadała w złość, a potem w apatię. Smok zarażał swym
zapalnym jadem umysły coraz szerszych kręgów mieszkańców, wywołując
powszechną opuchliznę i ból. Nie dość, że miasto stało się zbiorowiskiem
nadętych rozpaczą ludzi, to zło sączące się z pyska smoka wypalało w na-
głych podmuchach grzeszki na ich czołach. Takie oto psikusy wyprawiało
zwierzę, a z radości bębniło o ziemię ogonem, gdy widziało, że przemy-
kał w popłochu jakiś ludek z zasłoniętym czołem prawą dłonią nieskorą
do czynienia znaku krzyża świętego. Czasami ręka ześlizgiwała się z czoła
i można było dostrzec zapisany grzech: *Kradzież flamastra z biura*. Wypa-
lone czarne na bladym licu: *Zdrada Ani*. Lub: *Pobicie Reksia*.

Płasawica

Napięcie w mieście wzrosło do niewyobrażalnych granic. Niektórzy zaczęli
zrzucać z siebie ubrania, a ich nagie ciała wytrząsały wszelki jad, który, jak
mniemali, zmieszał się z krwią. Chcieli oczyszczenia krwi. W konwulsjach
i drgawkach niczym chmara epileptyków tańczyli chorea Sancti Viti.

Smok leżał na żyłce wodnej, która ponoć przepływała pod obrzeżami miasta. Żył niczym nerw promieniowała na cielsko smoka, dając mu się we znaki. Miewał silne nerwobóle. Bestia sama z sobą się męczyła, od czasu do czasu wyjąc tak przeraźliwie, że jej pisk przeszywał do cna każdego.

Gdy pisk wkręcał się w ciała ludzi, te tym bardziej wiły się, prężąc się w obscenicznych ruchach, kobiety zamieniały się w Sukkuby. Skakały jak figury strącone z poddaszy domów publicznych, o piersiach wzdętych i sutkach nabrzmiałych, umazanych męskim potem. Mężczyźni jako Beliale o ostrych ruchach i rysach rozsiewali i podkrecali taneczną kłutwę. Rozpinali rozporki, napierając w transie na grupy bab, które zadzierały kiece, wykrzywiając gęby ni to w śmiechu, ni to w płaczu. Dziesiątki tysięcy ludzi w szaleńczym obłąkaniu, w panice ztracały się, niektórzy nawet zatańczyli się na śmierć, inni omdlewali w ekstazie, niektórych dopadł atak serca, inni opadli z sił. Jedna rozgrzana grupa weszła w dzikich płasach na most, ten się zawalił.

Cisza

Niektórzy ocaleni poddali się leczeniu, które polegało na modlitwie i pielgrzymowaniu do miejsc świętych. Błogosławili się, poddawali się egzorcyzmom. Modlitwy miały uwolnić ich od nacisku złych duchów. Słyszało się wypływające z domostw szepty: „Uzdrow, Boże, we mnie to, co chcesz”.

Ci, którzy nie uwierzyli w dobro i przyzwyczaili się do zła w postaci smoka, zbliżyli się do niego, wierząc, że może się dogadają. Księżniczka Sabra uległa pokusie ułożenia się ze złem. Smok nawet dał się jej obłaskawić w jakimś sensie. Widywano ją, jak wychodziła z nim na spacer na długiej smyczy. Ludzie snuli tylko domysły, kto kogo trzyma na postronku: Czy księżniczka smoka? Czy smok księżniczkę? Ponieważ z dala widywano tę scenę, nie potrafiono dać jednoznacznej odpowiedzi. Snuła się księżniczka ze swoim wielkim „psem” na horyzoncie na tle różowych zamków i zielonych pagórków w perspektywie powietrznej modrej i bławatnej.

Gdy smok puchł, a stan zapalny gotował się w nim, wył tak przeraźliwie, że ludzie, by nie ulec drugi raz tanecznej manii, zabarykadowali się w świątyni, ofiarowując swoje cierpienie za zwycięstwo dobra. Niestety, było coraz gorzej, smok zaczął śmierdzieć, nazwano go bestią o cuchnącym oddechu. Smok wił się ze złości i wgryzał się w czaszkę ziemi. Smród był wszechogarniający jak z najgorszej kloaki, z której wypływały czarne



Paolo Uccello, Święty Jerzy i smok, 1470

robaki wijące się jak małe wężyki. Szczelne utykanie okien i drzwi na niewiele się zdało.

Sabra nie dołączyła do ludu. Spacerowała po łąkach, wwąchując się w kwiaty, by odgonić od siebie wyziewy smocze. Nagle rozjuszony smok zaczął pędzić w kierunku księżniczki i niespodziewanie ugryzł ją w nogę. A potem uleciał na wielkich skrzydłach nad miasto między ciężkimi, stalowymi chmurami deszczowymi. Kołował między piorunami, rozpetanej dopiero co burzy. Pałący ból przeszył trzewia dziewczyny. Nastął czas choroby. Rana nie chciała się goić, ropiała i wydzielala brzydki zapach. Dopiero w tym cierpieniu księżniczce odemknęły się oczy i rozpoznała całe smocze zło.

Schroniła się w lesie, ludzie donosili jej jedzenie. Rana nie goiła się. Przejeżdżał tamtędy pewien rycerz. I widząc, co się święci, wykrzyknął donośnie: „Zwyciężymy”. Kazał więc księżniczce wskazać smoka, podjechał tam bystrym wierzchowcem i zawiął silnie włócznią, raniąc go. Włócznia

dosięgła lewe oko bestii. Poleciał dziewczynie zarzucić pasek na szyję zwierza. Po chwili rozprawił się ze smokiem na zawsze, uderzając włócznią w prawe oko. Bestia została pokonana.

Księżniczka ślaniała się, aż upadła na ziemię. Święty Jerzy dostrzegł ranę dziewczyny. Zimny wiatr znieczulał jej ból, a święty pochylił się i długo wydłutowywał ostrzem włóczni coś z jej nogi. Robił to sprawnie i uważnie, by nie przeciąć nerwu, który oplatał przyczynę cierpienia księżniczki. Rozłupywał coś w ranie na parę części, bo nie chciało wyjść za jednym podważeniem. Żachnął się, mówiąc: „Grzeje się, puchnie. Nie widzę, jest”. Podczas tej operacji dziewczyna powtarzała w myślach tylko jedno słowo – Najwyższe Imię. W pewnym momencie widać było ulgę na twarzy dziewczyny. A święty powiedział: „Kieł został usunięty”.

Tam, gdzie zakopano cielsko smoka, widnieje napis na kamiennej tablicy ku przestrodze tych, którzy mają krótką pamięć:

Smok jest zawsze złem,
które pokonuje święty człowiek
w imię Boga.

Olga Wójcik

Z przekładów Krystyny Rodowskiej

Juan Manuel Roca

Roki-słowa

(wybór z *Rocabulario*)

Skąły jako słowa w ustach poety

Nelson Simon¹

Alkohol

Złą cechą alkoholu jest to, że zatracając się w pijaństwie, możesz popełnić samobójstwo, a nazajutrz o niczym nie pamiętać.

Ręka

Jedna ręka kreśli słowo ptak, druga pisze słowo klatka.

Dzieci

Dzieci, to bez wątplenia istoty, które panują nad przestrzenią; wymachując białymi chusteczkami, potrafią wywoływać sztormy

Anarchista

W przeciwieństwie do tych, którzy rozpoczynają budowę domu od fundamentów, anarchista, czuwając nad dymem z komina, jest kimś w rodzaju pasterza przepaści. On wie, że wiatr wyprzedza łopot sztandarów.

Poezja

Poezja, ten pająk sunący po miotle, która go wymiata.

¹ Wybitny kubański poeta, zaprzyjaźniony z Roką. Organizując na nowo porządek logiczny i gramatyczny wewnątrz tego zdania („skąły” zamiast ”słowa”), Nelson Simon wykorzystuje znaczenie nazwiska kolumbijskiego poety („roca” po hiszpańsku to skała), wskazując na wieloznaczność języka i rzeczywistości.

Hałas

Niewidome dzieci zastępują piłkę metalową puszką, bawiąc się jej cieniem. Gdy cień zabłąka się gdzieś na podwórku, dzieci biegną za nim, deptając po cieniu.

Transakcja

Kobieto, ofiarowuję ci moją samotność, w zamian za twoje towarzystwo.

Dom

Kto buduje dom, dokonuje amputacji odległości.

Przełożyła Krystyna Rodowska

Zbigniew Zbikowski

Poezja czterech wersów

W chińskiej tradycji literackiej istnieje forma poetycka, która – mimo zaledwie czterech wersów – potrafi zawrzeć cały świat. To 绝句, czyli jueju, dosłownie „wiersz odcięty” lub „ostateczny”. Może budzić pewne skojarzenia z japońskim haiku, bez wątpienia szerzej spopularyzowanym w zachodnim kręgu literackim, ale to tylko złudzenie: jueju jest o całe milenium starsze – styl ten ukształtował się w pełni za dynastii Tang (VII–IX w.), epoki uznawanej za złoty wiek chińskiej poezji, podczas gdy narodziny haiku przypadają dopiero na wiek XVIII, okres dynastii Edo w Japonii.

Podobieństwo wynika z tego, że zarówno *jueju*, jak i *haiku*, to ascetyczne gatunki, w których mieści się nie tylko zachwyt nad naturą, lecz także filozofia ulotności, refleksja nad przemijaniem i głęboko osobiste uczucia – tęsknota, radość, żal.

Chińska poezja klasyczna, której reguły spisano jeszcze przed naszą erą, ma szczególną zdolność mówienia o sprawach największych przy użyciu minimum słów. Sylab – chciałoby się rzec, bo jeden chiński znak to zarazem jedna sylaba i jedno słowo. Ale formy takie jak *jueju* zawierają w sobie coś więcej niż tylko słowa: są odbiciem pejzażu, zapachem wspomnień, emocją wyrażoną przez ciszę między wersami. Ich siła nie wynika z ekspresji, lecz z powściągliwości.

Wiersz *jueju*, który wywodzi się z form dłuższych, ośmiowersowych, ma cztery wersy, najczęściej po pięć lub siedem sylab. Choć to zaledwie cząstka poetyckiego idiomu dynastii Tang, właśnie ta forma – krótka, lapidarna, pełna symboli – uważana była w tamtym czasie za sprawdzian poetyckiego mistrzostwa. W niej poeci wyrażali przemijanie pór roku, tęsknotę za domem, zachwyt przyrodą i gorzki smak rozstania, a jej wpływ na chińską poezję rozciąga się na kolejne stulecia.

Ten krótki wybór obejmuje kilka z najbardziej rozpoznawalnych *jueju* epoki Tang. Są tu dwa nazwiska najświetniejsze – **Du Fu** i **Li Bai** – oraz dwa mniej znane: **Jin Changxu** i **Yu Wuling**. Każdy z tych utworów opowiada jakąś historię — nie tyle zdarzeń, co stanów wewnętrznych: ulotnej radości, kontemplacji, zawieszenia w czasie.

W tłumaczeniu starałem się zachować zwięzłość i emocjonalną klarowność oryginałów, jednocześnie szukając rytmu i lirycznej miękkości w języku polskim. Tam, gdzie było to możliwe, zastosowałem klasyczny rym (w wersach 2 i 4), by nie stracić melodyjności formy. W wielu wypadkach nie tłumaczyłem dosłownie, lecz obrazowo – tak, by czytelnik nie tyle zrozumiał, co **poczuł** wiersz.

Nie są to przekłady uczone, językoznawcze, raczej osobiste – próba bliższego zapoznania się z kulturą chińską, z jej wyczerpaniem na chwilę, na ciszę, na to, co między słowami. Wiersze te łączy jedna myśl: świat mija, my mijamy, mijają królestwa i systemy, ale słowo – dobrze umocowane – zostaje.

Zbigniew Zbikowski

Warszawa, czerwiec 2025

Du Fu

Żółte wilgi

Dwie żółte wilgi wśród wierzb zielonych,
Sznur białych czapli wlatuje w niebo.
Za oknem wieczne śniegi zachodu,
U drzwi łódź z wschodu – z Wu dalekiego.

Dwa wiersze jueju

I

Dzień jasny – piękna rzeka i wzgórza,
Woń traw i kwiatów – że zawrót w głowie.
Nad miękką ziemią krążą jaskółki,
Na ciepłym piasku śpią kochankowie.

II

Błękitna woda – na niej ptak biały,
Góry w zieleni, kwiaty wręcz płoną.
Wiosna przemija mi jak co roku –
Kiedy powrócę wreszcie do domu?

Li Bai

Spokojna noc

Przy łóżku odbłask księżyca,
 Jakby na ziemi kwitł szron.
 Unoszę wzrok ku niebiosom,
 Pochylam głowę – śnię dom.

Jin Changxu

Wiosenny żal

Przepędź tę żółtą wilgę,
 Jej śpiew jak zgrzyt się roznosi.
 Spłoszyła sen – nie zdołam
 Powrócić już do Liaoxi.

Yu Wuling

Zachęta do picia

Podaję ci złoty kielich,
 Wypij do dna i ciesz się z nami.
 Na kwiat czyhają deszcz i wiatr,
 A rozstań dość już w życiu mamy.

Noty o utworach

Du Fu – Żółte wilgi

Medytacyjny wiersz pejzażowy. Chińska symbolika: cztery obrazy, cztery kierunki świata, cztery zmysły – wiersz tworzy zamkniętą przestrzeń, w której natura i cywilizacja (Łódź z krainy Wu – jednego ze starożytnych chińskich królestw) trwają w harmonii.

Du Fu – Dwa wiersze jueju

Pierwszy to hymn wiosny – świat obudzony, zmysłowy i spokojny. Drugi zawiera nutę refleksji i tęsknoty: oto kolejna odchodząca wiosna i pytanie, które pozostaje otwarte – *czy jeszcze wrócę?*

Li Bai – Spokojna noc

Wiersz dzieciństwa i uniwersalnej tęsknoty. Jeden z najśłynniejszych utworów chińskich, uczony na pamięć w szkołach. W chińskiej symbolice blask księżyca staje się pomostem między światem wewnętrznym a oddalonym domem.

Jin Changxu – Wiosenny żal

Subtelny, emocjonalny wiersz o kobiecej tęsknocie. Przerwany sen – być może jedyna droga do spotkania z ukochanym w oddalonej krainie, gdzie pełni służbę – zostaje zakłócony przez śpiew ptaka. Wiersz pełen prostoty i bezsilności.

Yu Wuling – Zachęta do picia

Zwięzła poetycka forma o hedonistycznym, niemal epikurejskim wydźwięku. Zachęta do rozkoszowania się chwilą, zanim ulotne piękno zostanie zniszczone przez nieuchronność losu. Bardzo chińskie.

Zbigniew Zbikowski

Anna Frajlich
z którą rozmawia
Sławomir Jacek Żurek

Szklany sufit języka
Trzyznaście rozmów¹

Rozmowa ósma – O powrotach

**O powrotach i wizytach
rozmowy ciąg dalszy**

Danucie Chudziance²

Nie można wrócić
przed poznaniem błędu
który jak pocisk utkwiał
w korze pnia

zapewne drugi akt
się nie odbędzie
nie rozpisano ról
kurtynę przeszła rdza

i jedno tylko łączy ich
– rozłąka
i jedno tylko dzielią
– ból.

8 lipca 1999³

¹ Pod redakcją Elżbiety Marii Żurek.

² Danuta Chudzianka, właśc. Bronisława Danuta Chudzianka-Mamont (1941 Huta-Perejma [Wołyń] – 2011 Szczecin) – aktorka teatralna i filmowa, przez prawie całe życie zawodowe (z wyjątkiem lat 1970–1977) związana ze Szczecinem; wieloletnia przewodnicząca szczecińskiego oddziału ŻASP [Związku Artystów Scen Polskich]. Koleżanka Anny Frajlich od letnich kolonii dziecięcych (w Międzywodziu i Międzygórzu) organizowanych przez Zarząd Portu Szczecin, gdzie pracowali ich ojcowie; łączyła je pasja recytatorska, w 1959 r. w konkursie recytatorskim Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej Danuta zdobyła I miejsce, Anna III (tu nagrodą był tom poezji Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej). Po latach spotkały się w Nowym Jorku, a potem w Szczecinie.

³ Anna Frajlich, *O powrotach i wizytach rozmowy ciąg dalszy* [z tomu *Znów szuka mnie wiatr*, 2001], (w:) tejsze, *Wiersze zebrane*, t. 2, *Powroty*, s. 191.

Sławomir JACEK ŻUREK: Co znaczył dla Ciebie pierwszy po wygnaniu przyjazd do Polski w roku 1993 i łączący się z nim powrót do krajowego życia literackiego?

Anna FRAJLICH: Powiem krótko – był bardzo ważny. W sierpniu 1993 roku odwiedziłam (sama, bez męża) najpierw Warszawę, a potem Szczecin. Mam nawet notatki z tamtej podróży! Stąd pamiętam na przykład, że wystartowaliśmy z Nowego Jorku z półgodzinnym opóźnieniem. Leciałam wtedy ze Stanów chyba piąty czy szósty raz do Europy, ale wtedy po raz pierwszy od roku 1970, czyli czasu przybycia do Ameryki, podróżowałam do Polski (paradoksalnie myślałam wtedy o swoim pierwszym locie w drugą stronę: z Włoch do USA). Teraz to były Polskie Linie Lotnicze LOT, wśród gazet znalazłam „Życie Warszawy”. Nie miałam tego tytułu w ręku od prawie ćwierć wieku i teraz odnajdywałam zadziwiające nagromadzenie anglicyzmów: „gay”, „video clip”, „fans” i wiele innych. Na pokładzie samolotu piłam Johnny Walkera z wodą sodową i lodem i rozmyślałam, jak to będzie tam, w Polsce. Przyjaciele w USA byli poruszeni moim wyjazdem – przed nim dzwonili do mnie, nawet starając się mnie trochę ostrzec, żebym nie dawała sobą w Polsce manipulować. Wiedzieli bowiem doskonale, że niektórzy ludzie moją uprzejmość interpretują jako gotowość do odstąpienia od swojego zdania i narzucają mi różne rzeczy. Przyjaciele nie doceniali widać mojej asertywności. Po przylocie do Warszawy 19 sierpnia (czwartek) zatrzymałam się w samym centrum Warszawy u córki którejś z bliskich koleżanek mojej mamy. Początkowo miałam kłopoty z aklimatyzacją – budziłam się jeszcze przed świtem i nie byłam już w stanie zasnąć. Ogarniała mnie wtedy ogromna tęsknota za Władkiem i pamiętam, że jakoś wszystko widziałam w ponurych barwach.

Pierwszego przedpołudnia bezskutecznie próbowałam dodzwonić się do redakcji „Czytelnika”, a w końcu bez zapowiedzi wybrałam się tam pieszo (tak zresztą poradził mi mieszkający w Warszawie Ryszard Matuszewski⁴). Wchodząc do budynku na Wiejskiej, gdzie mieścił się „Czytelnik”, w znajdującej się tam kawiarni zauważyłam Tadeusza Konwickiego. On też mnie spostrzegł, zaprosił do środka, przysunął krzesło i przyniósł kawę. A kawa w tamtejszej kawiarni była doskonała! Potem poszłam na górę do redakcji. Tam na korytarzu zetknęłam się z Anną Szymanowską,

⁴ Ryszard Matuszewski (1914–2010) – historyk literatury, krytyk literacki, eseista, tłumacz, autor podręczników, kompendiów wiedzy o literaturze, opracowań i antologii literackich.

redaktorką mojej książki – pierwszego wydanego w Polsce tomiku poetyckiego *Ogrodem i ogrodzeniem*⁵, który miał być promowany w poniedziałek, dostałam od niej egzemplarz sygnałny. Książka była bardzo ładnie wydana, choć rzuciło mi się w oczy, że jest mała czcionka, i że nie ma tytułu na grzbiecie. Z redaktor Szymanowską udałam się po raz kolejny do kawiarni, gdzie przysiadł się do nas mój dawny student Robert (Bob) Kirkland, który, jak mi się zdaje, został tłumaczem (spotkałam się z nim jeszcze następnego dnia). W „Czytelniku” spędziłam jakieś dwie godziny, załatwiając wszystkie kwestie wydawnicze w poszczególnych działach, a w jednym z nich ku mojemu zdziwieniu przekazano mi liścik zostawiony tam dla mnie parę dni wcześniej przez Włodka Tugendrajcha, przyjaciela rodziny. Stamtąd ruszyłam do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, ale tam nie zastałam już nikogo. Przy wejściu powiesiłam otrzymany w „Czytelniku” afisz informujący o moim poniedziałkowym wieczorze poetyckim.

Z kim jeszcze wtedy się spotkałaś?

Tego samego dnia w Domu Pracy Twórczej im. Bolesława Prusa w Oborach (gmina Konstancin-Jeziorna)⁶ zapoznałam się m.in. z Agatą Tuszyńską i Marianem Brandysem (jego młodszy brat Kazimierz dzień wcześniej wyjechał do Paryża, gdzie mieszkał z żoną Marią). W piątek w „Czytelniku” odebrałam honorarium za książkę i przeszłam się – z melancholią i zadumą – na pobliską ulicę Chmielną, do budynku, gdzie kiedyś mieścił się główny salon Mody Polskiej⁷. Wciąż tam był! Kiedyś były tam też dwie kawiarnie, jedna nad sklepem, druga pod nim – w piwnicy, które lubiłam odwiedzać. Z racji usytuowania pierwszą nazywaliśmy „Nad szmatami”,

⁵ Zob. dalej.

⁶ Instytucja ta rezydowała w dworze rodziny Potulickich przejętym w 1948 r. przez Związek Literatów Polskich, następnie użytkowanym przez Fundację Domu Literatury i Domów Pracy Twórczej. W 2015 r. wyrokiem sądu budynek odzyskała spadkobierczyni właścicieli. Od 2020 r. dwór jest w rękach Fundacji Rodziny Staraków.

⁷ Moda Polska – firma, która „stała się synonimem elegancji z czasów PRL. To państwowe przedsiębiorstwo działało w latach 1958–1998. Do jego zadań należało przygotowywanie kolekcji mody reprezentujących socjalistyczną Polskę na arenie międzynarodowej, a także informowanie krajowych wytwórców i handlowców o trendach lansowanych na światowych wybiegach” ([b.a.], *Miasto od A do Z*, (w:) Muzeum Warszawy – kolekcje, [online:] <https://kolekcje.muzeumwarszawy.pl/pl/miasto-od-a-do-z/moda-polska-panstwowe-przedsiębiorstwo-modowe-okresu-PRL-i-lat-90>, [dostęp: 2024-07-17]). Firma miała kilka salonów w Warszawie, potem także w innych miastach.

drugą „Pod szmatami”. Do obu przychodzili głównie dziennikarze. Żadna się nie ostała. W tych dniach w ogóle dużo spacerowałam po Warszawie i przypominałam sobie różne miejsca. Cały wieczór spędziłam z kolegą Władka Jerzym Żochowskim i jego żoną Alicją. W kolejnym dniu, czyli w sobotę, rozmawiałam przez telefon z Bellą Szwarcman⁸, Kowalikami i Danką Tomerską, tą z Polskiego Związku Niewidomych. Z Jakubem Kopciem – przyjacielem Władka ze szkoły podstawowej i średniej, a moim kolegą z polonistyki, zwiedzałam Zamek Królewski (ach te obowiązkowe w polskich muzeach nieśmiertelne filcowe nakładki na buty – chroniące wypastowane, porządnie wyfroterowane podłogi, a jednocześnie z każdym posuwowym krokiem – nie dało się w nich normalnie chodzić – dalej je polerujące, i to pretensjonalne traktowanie turystów: „proszę włożyć kapcie, proszę nie dotykać eksponatów, proszę nie siadać, proszę wstawać, proszę zdjąć kapcie”). Z Andrzejem Milczanowskim (wówczas ministrem spraw wewnętrznych)⁹, mężem mojej najbliższej przyjaciółki z lat szkolnych Sławomiry z d. Ołtarzewskiej, zjadłam obiad, przy okazji robiąc z nim krótki wywiad. W ten wieczór gościła mnie u siebie Danka Tomerska, poznałam jej dwie bardzo różniące się córki – Małgosię i Jolę.

W niedzielę poszłam z Edwinem Kowalikiem i jego żoną Danutą do Parku Łazienkowskiego na koncert szopenowski – grała Halina Czerny-Stefańska (Edwin po koncercie przywitał się z nią i mnie jej przedstawił). Po spacerze w parku i pizzy w restauracji skorzystałam z zaproszenia Kowalików do ich domu. Potem powędrowałam do ks. Jana Twardowskiego, który następnego dnia na promocji *Ogrodem i ogrodnem* miał zrobić

⁸ Bella Szwarcman-Czarnota (ur. 1945) – filozofka, pisarka, tłumaczka z francuskiego, jidysz i rosyjskiego, publicystka; była pracowniczka Archiwum Żydowskiego Instytutu Historycznego oraz sekretarz redakcji „Biuletynu Żydowskiego Instytutu Historycznego”, wieloletnia (od początku istnienia pisma w 1997 do końca w 2019) redaktorka i felietonistka miesięcznika społeczno-kulturalnego „Midrasz”, autorka haseł do Encyklopedii PWN z zakresu literatury jidysz, tłumaczka z tego języka, jak również z francuskiego i rosyjskiego. Zob. Andrzej Kulig [wiceprezydent Krakowa w 2017 r.], *Laudacja Prezydenta Miasta Krakowa dla Belli Szwarcman-Czarnoty – Laureatki Nagrody im. ks. Stanisława Musiała*, (w:) Klub Chrześcijan i Żydów Przymierze, [online:] <https://www.przymierze.krakow.pl/>, [dostęp: 2025-01-06].

⁹ Andrzej Milczanowski (1939–2024) – prawnik, polityk, działacz opozycji demokratycznej w PRL, w latach 1990–1992 szef Urzędu Ochrony Państwa, w latach 1992–1995 minister spraw wewnętrznych; odznaczony m.in. Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski (1995). Zob. Sylwia Wójcikowa, *Milczanowski Andrzej*, (w:) Encyklopedia Solidarności. Biogramy, [online:] <https://encysol.pl/es/encyklopedia/biogramy/17653>, Milczanowski-Andrzej.html, [dostęp: 2025-01-06].

wprowadzenie. Pytał mnie o sugestie i je zapisywał. Jednocześnie stwierdził, że może też przyjść po prostu jako słuchacz, a ktoś inny zacznie spotkanie. Był czarujący (jak zwykle).

Kolejnego dnia w kawiarni „Czytelnika” przeprowadziłam wywiad z Konwickim, a w wydawnictwie rzuciłam myśl, żeby Twardowski nie tylko wprowadził do promocji, ale po prostu całą ją poprowadził, i choć, zdaje się, że już kogoś wytypowali, w końcu to on był gospodarzem spotkania. 24 sierpnia, we worek, w Ogrodzie Botanicznym w Powsinie nagrali mnie do czwartkowego „Pegaza”¹⁰, potem dałam wywiad do jakiejś radiowej audycji poetyckiej, a następnie dziennikarka Barbara Henkel przeprowadziła ze mną rozmowę do tygodnika „Pani”¹¹. Po południu odwiedziłam Elżbietę i Jerzego Ficowskich w ich przepięknym mieszkaniu, pełnym obrazów (kolekcja przy kolekcji) i muszli. Poza tym były tam menory i lampki chanukowe. Mieli też mezuze na drzwiach. Zjadłam wyśmienitą kolację, podczas której plotkowaliśmy o Rymkiewiczzu, Herbercie i innych. Żona Ficowskiego potem, na osobności, poskarżyła mi się, że Jerzy jest w Polsce niedoceniany. Kiedyś wrócił rozgoryczony z posiedzenia PEN Clubu, na którym zastanawiano się w nieskończoność, komu dać nagrodę edytorską, aby ostatecznie stwierdzić, że nie ma odpowiedniego kandydata. Tymczasem Jerzy całe życie redagował książki Schulza i o Schulzu, i to pięknie. Dowiedziałam się też, że w 1968 r., mieli wtedy maleńkie mieszkanko, proponowano im mieszkanie po Słuckich. Jerzy powiedział, że nie przyjmie mienia pożydowskiego. Namawiany: „Weź, bo weźmie kto inny”, nie skorzystał. W 1969, kiedy we Francji ukazał się przepięknie wydany poemat Ficowskiego *List do Marc Chagalla* przetłumaczony na francuski, z grafikami tytułowego malarza¹², niespodziewanie zadzwonił jakiś warszawski

¹⁰ „Pegaz” – cotygodniowy magazyn telewizyjny poświęcony kulturze i sztuce, regularnie emitowany w TVP w latach 1959–2004, potem reaktywowany w różnych formach i z różną częstotliwością.

¹¹ Rozmowa ukazała się pod tytułem *Pogodziona* („Pani” 1994, nr 2, s. 40–41).

¹² Chodzi o wyjątkową edycję tego poematu – *Lettre a Marc Chagall* – księgi-tekę, ślicznie wydaną w 175 numerowanych egzemplarzach (tylko dla subskrybentów), zawierającą tekst na luźnych arkuszach czerpanego papieru w kremowym kolorze oraz oryginalne odbitki grafik Chagalla stanowiących ilustrację do utworu. Całość opatrzone autografami Ficowskiego i Chagalla. Historia tego wydania zob. Jerzy Ficowski, *Oś autora*, (w:) tegoż, *List do Marc Chagalla*, il. Marc Chagall, Gdańsk : Tower Press 2000, s. 12–13 (Biblioteka ATeKa, [online:] <http://biblioteka.kijowski.pl/ficowski%20jerzy/list%20do%20marc%20chagalla.pdf>, [dostęp: 2024-07-16]).

minister i oznajmił Jerzemu: „Zaraz przyniesiemy panu paszport¹³, niech pan jedzie do Francji na jakieś reprezentacyjne przyjęcie, niech wiedzą, że Polacy to nie antysemita”. Pisarz odpowiedział: „Jak pojedę do Francji, to jako ja, Jerzy Ficowski, a nie ambasador brudnych interesów PRL”. Tak mi przekazała Elżbieta.

Jak zapamiętałaś wieczór 23 sierpnia 1993 roku w kawiarni „Czytelnika”, gdzie odbyła się promocja *Ogrodem i ogrodnem*?

Spotkanie, rozpoczynające się o godzinie 17, było bardzo udane. Jan Twardowski zrobił piękne wprowadzenie. Przyszło wiele osób, m.in. Jerzy Ficowski, Ryszard Matuszewski, Ewa Kuryluk, Waldemar Kuczyński (jak już wspominałam były minister przekształceń własnościowych, a prywatnie mąż mojej przyjaciółki z akademika – Halinki Flis), który przypominał, jak u nas w domu na pożegnalnej kolacji przed wyjazdem mojej rodziny z Polski na emigrację jedliśmy grzyby pieczone na blasze (garnki i naczynia, które mieliśmy zabrać ze sobą, były już nadane na bagaż, innych pozbyliśmy się wcześniej). Ksiądz Twardowski powiedział – co było dla mnie bardzo ważne: „ktoś, kto pisze po polsku, jest tego języka poetą, i dlatego witamy w Annie Frajlich prawdziwą polską poetkę!”. Przemawiał też Henryk Chłystowski – redaktor naczelny „Czytelnika”.

Byłam jeszcze zaproszona do Hybryd, gdzie poznałam Katarzynę Herbertową (przyszła z białą różą dla mnie). Później bardzo się zaprzyjaźniłyśmy. A Julia Hartwig w Stowarzyszeniu Pisarzy Polskich na Krakowskim Przedmieściu zorganizowała mi spotkanie z pisarzami i krytykami, na którym rozmawialiśmy o problemach twórców literatury w Polsce i na emigracji.

A jak było w Szczecinie?

Zatrzymałam się u Aliny Głowackiej, niegdyś mojej koleżanki, teraz mamy z pracy w tamtejszym Radiu (wtedy znowu po przerwie tam

¹³ W PRL obywatele nie mieli paszportów na własność. Przed planowanym wyjazdem należało złożyć w wydziale paszportowym danego terenu odpowiedni wniosek i czekać na odpowiedź. Jeśli była pozytywna, trzeba było zgłosić się po dokument do komendy milicji, a zaraz po powrocie go tam zwrócić, nierzadko przy tym przepytanym przez funkcjonariusza o przebieg zagranicznego pobytu.

zatrudnionej)¹⁴. Udzieliłam jej wywiadu o szczecińskiej grupie poetyckiej „Rak”, której, jak już wspominałam, byłam członkiem pod koniec lat pięćdziesiątych. Głowacka mieszkała dokładnie naprzeciwko mojej szkoły podstawowej. Spotkałam się z kilkoma moimi koleżankami z tej szkoły i z liceum nr 5. W miejskim domu kultury „13 Muz” odbyła się promocja mojej książki. Bliski kolega licealny Bernard Kozłowski¹⁵ zaprosił mnie na obiad, a ja, słysząc, że ma dobrą pracę, zamówiłam dość drogie danie i potem wyrzucałam sobie, że może nadszarpnęłam jego budżet.

W redakcji „Kuriera Szczecińskiego” udzieliłam wywiadu Arturowi Liskowackiemu, który skończył to samo liceum co ja, tylko w późniejszych latach. Jest synem Ryszarda Liskowackiego¹⁶. Rozmowa (od niej rozpoczęła się nasza z czasem bardzo pogłębiona znajomość) – obszerna, ciekawie przeprowadzona, ukazała się w piątek 10 września (w rubryce „Wywiad tygodnia”) pod tytułem *Wszyscy jesteście wygnańcami*. Pojawiło się w niej szereg kwestii do dziś aktualnych. Wspominałam tam, że „wszyscy **byliśmy** wygnańcami” już w Szczecinie, w okresie mojego dzieciństwa. Cały szczeciński epizod dostarczył mi wiele pozytywnych emocji.

¹⁴ Alina Głowacka/Głowacka-Mąkoszowa (1932–2014) – jedna z najbardziej znanych szczecińskich dziennikarek; w Radio Szczecin od roku 1953 – z przymusową przerwą w latach osiemdziesiątych (internowana w stanie wojennym i zwolniona z pracy, przywrócona w listopadzie 1989) – do 1998 r., kiedy to przeszła na emeryturę; od maja 1989 r. z ramienia Obywatelskiego Komitetu Porozumiewawczego w Szczecinie odpowiedzialna za emitowanie w Radiu Szczecin prezentacji programu i kandydatów „Solidarności” (po Okrągłym Stole pojawiła się taka możliwość) przed wyborami czerwcowymi. Zob. Sylwia Wójcikowa, *Głowacka-Mąkosza Alina Teresa*, (w:) *Encyklopedia Solidarności. Biogramy*, [online:] <https://www.encysol.pl/es/encyklopedia/biogramy/15950,Głowacka-Makosza-Alina-Teresa.html>, [dostęp: 2024-07-22].

¹⁵ Bernard Kozłowski (ur. 1943) – dziennikarz, absolwent Uniwersytetu Warszawskiego; w latach 1968–1973 pracował w „Żołnierzu Polski Ludowej”, a następnie od 1973 do 2000 w „Głosie Szczecińskim”.

¹⁶ Ryszard Liskowacki (1932–2006) – poeta, prozaik, dramaturg, dziennikarz, publicysta; w okresie okupacji niemieckiej harcerz Szarych Szeregów, łącznik w powstaniu warszawskim; od roku 1954 związany ze Szczecinem; w latach 1961–1963 kierownik literacki Teatru Lalek Pleciuga; w roku 1959 wstąpił do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej (w latach 1963–1973 członek Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Szczecinie). W latach 1968–1971 redaktor naczelny szczecińskiego ośrodka TVP, członek redakcji kilku czasopism kulturalnych, m.in. „Spojrzeń”, „Kultury”, „Morza i Ziemi”, był założycielem i redaktorem naczelnym tego ostatniego; członek Związku Literatów Polskich (wieloletni prezes oddziału szczecińskiego). Por. Artur Daniel Liskowacki, *Ryszard Liskowacki (1932–2006), „Pryzmat Literacki” 2020*, nr 1, s. 71–78; Artur Nowakowski, *Ryszard Liskowacki, „Bibliotekarz” 2022*, nr 10, s. 13–18.

Zostałam jeszcze zaproszona do Staszowa w województwie tarnobrzskim¹⁷ przez Staszowskie Towarzystwo Kulturalne, a dokładnie przez regionalistę Wiesława Kota¹⁸, któremu moja poezja bardzo się podobała, i który nawet pisał dla mnie wiersze. Nie pamiętam, jak tam dotarliśmy ze Szczecina. Wieczór poetycki, taki dość kameralny, odbył się w Staszowskim Ośrodku Kultury. Po powrocie do Nowego Jorku napisałam do Kota i jego żony list z podziękowaniem.

Z Anną Frejlich rozmawiał Sławomir Jacek Żurek

¹⁷ Obecnie województwo świętokrzyskie.

¹⁸ Wiesław Kot (1945–2021) – politolog, poeta, członek sekcji literackiej Staszowskiego Towarzystwa Kulturalnego i grupy literackiej „Nad Czarną”, pasjonat dziejów Staszowa.

Konrad Sutarski

Co polskiego było w najbardziej węgierskim kompozytorze?

Zoltan Kodály i węgierska muzyka ludowa

Rozmowa z muzykologiem Łászlém Eőszem

Powoli zbliża się sześćdziesiąta rocznica śmierci Zoltána Kodálya (1882-1967), jednego z najwybitniejszych muzyków świata XX wieku, jakkolwiek za granicą pozostającego nieco w cieniu innego genialnego węgierskiego kompozytora – swojego przyjaciela – Béli Bartóka. Owo przysłonięcie jest o tyle dziwne, że w przeciwieństwie do najbardziej uznanych, nowatorskich kompozytorów owych czasów – obok Bartóka, Arnolda Schönberga, Antona Weberna, Paula Hindemitha czy Oliviera Messiaena – Kodály nowoczesne środki wyrazu muzycznego łączy w jedną, przepiękną, organiczną całość z oryginalnymi, czerpanymi pełną garścią motywami praprawnej muzyki swojego narodu, a więc z melodiami węgierskich pieśni ludowych, wywodzących się w dużej mierze ze środkowoeuropejskiej pentatonii. Z takich to powodów powinien on być jednym tchem wymieniany z Igorem Strawińskim, który z kolei w swoje, też jakże nowoczesne utwory wkomponowywał muzykę ludu rosyjskiego. Indywidualna kulturowo głębia korzeni, do których sięgał zarówno Strawiński, jak i Kodály odróżniają ich utwory od wszystkich innych na świecie.

Zoltán Kodály jest przy tym dla nas, Polaków, ważny jeszcze z zupełnie innego powodu, o którym za chwilę, ale który jako pytanie znalazł się już w tytule niniejszego artykułu.

Właśnie dlatego poprosiłem o rozmowę budapeszteńskiego muzykologa, dr. Łászla Eőszego, jednego z najlepszych znawców życia oraz twórczości Kodálya.

Kodály – zaczął Łászló Eősze – urodził się na południe od Budapesztu, w mieście Kecskemét, a i młodość także spędził z dala od wielkomiejskiego zgiełku stolicy, w północnych stronach ówczesnych Węgier, które choć zamieszkiwane były przez Węgrów, po I wojnie światowej stały się słowacką częścią Czechosłowacji. Tam zaczął wchłaniać w siebie prastarą węgierską

muzykę ludową, określającą całe jego późniejsze życie. Do Budapesztu przeniósł się dopiero na studia, pozostając w tym mieście już do końca życia.

Rzadki to przypadek – ciągnie dalej Eösz – ażeby jakiś twórca potrafił dziełem swojego życia zespolić trzy dziedziny: naukę, sztukę i działalność pedagogiczną w jedną zwartą, harmonijną całość tak silnie, jak Kodály, pozostawiając po sobie w każdej z nich trwałe wartości. Dopóki trwać będzie życie – a przynajmniej życie muzyczne – na ziemi, tak długo imienia Kodály jako kompozytora strzec będą jego utwory: *Psalmus hungaricus* (Psalm węgierski), *Budavári Te Deum* (Te Deum na Zamku Budańskim), *Háry János* (to nazwisko i imię bohatera kompozycji), *Székely fonó* (Siedmiogrodzkie prząśniczki), a i pozostałe arcydzieła.

Wielka jest też na świecie popularność Kodály pedagoga, w dzisiejszych czasach jest to tendencja nawet wzrostowa. Jego koncepcja wszechstronnego wychowania muzycznego jest takim *hungaricum*, które rozpowszechniane jest na świecie przez zakładane w tym celu instytuty i towarzystwa: od Japonii po Anglię, od Stanów Zjednoczonych po Chiny i Australię. Przy kompozytorze i pedagogu nieco w cieniu pozostaje Kodály naukowiec, jakkolwiek centralną część dzieła jego życia stanowią właśnie badania folklorystyczne. Wszak znacząca większość jego kompozycji opiera się na zbieranych przez niego pieśniach ludowych, a wykorzystywane są owe melodyczne skarby także w zaprojektowanym przez niego szkolnym programie nauki śpiewu – zwanym relatywną solmizacją – i korzystają z nich również chóry, dzięki temu wzbogacając swój repertuar. Dziś już wiemy: cały ów wielowarstwowy wysiłek Kodály służył jednemu celowi: powszechnemu opanowaniu muzycznego języka przez młodzież, a w ostatecznym rezultacie przez społeczeństwo. Jeszcze przed wojną zaczął głosić potrzebę wprowadzenia nauki śpiewu do szkół podstawowych a nawet – w formie zabawowej – do przedszkoli. Z oficjalnym poparciem w tej sprawie spotkał się w okresie już powojennym. Doszło w rezultacie do tego, że w około 150 szkołach na Węgrzech lekcje śpiewu zaczęły odbywać się każdego dnia. Dlatego Kodály, który w 1944 roku powiedział, że „muzyka jest strawą duchową i nic nie jest w stanie jej zastąpić”, mógł w 1966 roku wyrazić to jeszcze dobitniej: „Muzyka jest nieodłączną częścią ludzkiego wychowania... dlatego jest oczywiste, że trzeba ją wprowadzać jako przedmiot do nauki szkolnej”.

A jaki był Kodály jako człowiek? Żył w bardzo trudnych czasach, jak wówczas wszyscy inni – powiedział Eösz – ale zawsze chronił ludzi prześladowanych. Podczas II wojny światowej dotyczyło to Żydów, a w latach

pięćdziesiątych przeciwników komunizmu trzymanyh w więzieniach. Władza miała do niego stosunek ambiwalentny: wiedziała, że Kodály stoi po stronie przeciwnej, ale pragnęła wykorzystywać jego uznawany i zagranicą autorytet moralny. On jednak nie dał się przekupić. Kiedy w 1951 roku otrzymał najwyższą węgierską nagrodę państwową (im. Kossutha), przekazane mu pieniądze rozdał rodzinom osób więzionych. Innym razem, kiedy I sekretarz partii komunistycznej MDP, Mátyás Rákosi (odpowiednik polskiego Bieruta, tyle że bardziej krwawy) zaproponował Kodályowi skomponowanie nowego hymnu państwowego dla socjalistycznych Węgier, ten odparł krótko i odważnie: „Po co?! Stary jest dobry”.

Dojdźmy jednak wreszcie do odpowiedzi na pytanie: co polskiego było w tym najbardziej węgierskim kompozytorze. Otóż ćwieka zabiło mi pewna myśl Kodály – rzekł László Eösz – sformułowana przezeń jeszcze w 1964 roku. Brzmiała ono następująco: *Co mogło być we mnie siłą napędową, która pomimo przeróżnych przeszkód to porywała do szybkiej jazdy, to przynajmniej zmuszała ciągnąć wóz mojego życia? Była to beznadziejna, nieodwzajemniona, niemożliwa do odwzajemnienia miłość. Do narodu, którego tysiącletnia widoczna historia, a może jeszcze bardziej istniejące w języku, w pieśni wielotysięczne niewidzialne życie wabi mnie nieodparcie, bez związków krwi*. Jakie znaczenie niosło owo określenie: „bez związków krwi” z narodem, u mistrza, którego sam Bartók nazwał najbardziej węgierskim kompozytorem? Zdobyłem się na odwagę (bądź co bądź byłem od niego młodszy o prawie dwa pokolenia) i zapytałem o to. Odpowiedź Kodály była zaskakująca. *Moi przodkowie po stronie ojca byli flamandzkiemi tkaczami, którzy w czasach hugenockich przenieśli się z Brugii w okolice Brna (na Morawach – K.S.). Po stronie matki, jak głosi rodzinna tradycja, przodkami byli z kolei polscy szlachcice, którzy po którymś rozbiórze kraju wyjechali z Galicji, by osiąść na południu Węgier*. Badania, które – już po śmierci Kodály – przez szereg lat prowadziłem w kraju i za granicą, wykazały, iż rzeczywiście w Kodályu nie ma ani kropli krwi węgierskiej. Ze strony matki była to rodzina Jałowieckich. Prapradziad Michał prawdopodobnie związany był z konfederatami barskimi i po pierwszym rozbiórze Polski opuścił ojczyznę, przy czym za nowe miejsce zamieszkania obrał południowowęgierskie miasteczko Baja. Z biegiem czasu węgierska pisownia zniekształciła nazwisko. Zaczęło ono brzmieć Jalovetzky, i takim posługiwała się matka kompozytora.

Po wyjściu z mieszkania László Eöszego zacząłem sobie wyobrażać, jakie to przedziwne: Zoltan Kodály, w którego żyłach płynęła krew różnych

narodów (w tym polska, choć po niektórych prababkach i babkach także niemiecka), ale nie węgierska. Był jednak pierwszym Węgrem, patriotą, który (na początku XX stulecia) rozpoczął nowoczesne studia nad ludową muzyką swojego wybranego narodu i uświadomił mu (częściowo wspólnie z Bartókiem) jego kilkutysiącletnią przeszłość muzyczną, a więc i narodową, odmienną od przeszłości muzycznej pozostałych – głównie indoeuropejskich – narodów naszego kontynentu. Uświadomił mu zatem gwiazdzisty ślad odrębnego bytu oraz odrębnego – wzbogacającego nas tu, w Europie – myślenia muzycznego, wywodzącego się z zupełnie innej strony świata, bo z głębi Azji, gdzie są góry Ajtał i gdzie również dziś żyją rozmaite ludy pokrewne węgierskiemu. Ogromne szczęście mieli zatem Węgrzy z Kodályem, choć przecież tyle nieszczęść, dziejowych kataklizmów zwałało się na nich. Widocznie jest w tym narodzie coś szczególnego, co może niewidoczne, ale jak podziemny magnes przyciąga do niego (tak jak nas, Polaków). Możliwe też, że owa wewnętrzna siła przyciągania i im samym umożliwia zawsze duchowe dźwiganie się z tych nieszczęść i kataklizmów.

Zanim wyszedłem, Eöszé zaznaczył jednak: „Bardzo brakuje Węgrom Kodálya. Dziś może nawet bardziej niż kiedykolwiek”.

Konrad Sutarski
Czerwiec 2018